



Polly Williams

Bezradnik małżeński

1

Obudził mnie strach. Nadszedł dzień, przed którym drżałam od miesiąca. Tak, dwudziesty piąty maja, piątek, godzina siódma trzydzieści trzy rano. Za pięć godzin ma się rozpocząć mój pierwszy służbowy lunch. Spotkam się z nowymi kolegami Toma z firmy Anderson & Co oraz ich małżonkami. Będę musiała mówić same mądre rzeczy we właściwych momentach, uśmiechać się promiennie, uważać, żeby nie zalać ubrania czerwonym winem, którego nie wolno mi wypić zbyt wiele, abym, broń Boże, nie zapomniała o udawaniu kogoś, kim nie jestem. Praca Toma jest bardzo ważna, to z jej powodu przeprowadziliśmy się z Kanady do Londynu. Kiedy o tym mówi, pulsuje mu żyłka na skroni. Ostatnimi czasy nie układało nam się najlepiej, on zarzuca mi, że go niewystarczająco wspieram, a ja narzekam na jego pracoholizm. To spotkanie będzie moją szansą na zadośćuczynienie, nie mogę jej zmarnować.

Znając własne skłonności do dążenia ku chaosowi oraz notoryczne spóźnianie się, postanowiłam przygotować się dużo wcześniej. Wybrałam nawet sukienkę wczoraj po południu, aby uniknąć paniki w ostatniej chwili („O matko, znowu nie mam się w co ubrać!"). Wisi na drzwiach, niebieska koktajlowa z kwiatowym wzorem, zapinana na małe guziki, obszyte materiałem. Jest dopasowana, lecz niewyzywająca, bez dużego dekoltu. Siadam na łóżku i wpatruję się w nią z powątpiewaniem. Chyba nieco przesadziłam. Będę wyglądać jak bohaterka „Domku na prerii". Najlepszym wyjściem z sytuacji wydaje mi się przełamanie przesadnej świętoszkowości kreacji za pomocą szalowych srebrnych szpilek, które kupiłam zeszłego lata na wesele kuzyna. Wytrzymałam w nich całą mszę, a potem chodziłam boso. Tak, dzięki szpilkom zachowam własny styl (choć ostatnio nie jestem pewna, jaki on jest), nie rezygnując z wizerunku idealnej żony. Przynajmniej fryzurę będę miała szalową. Trzy razy potwierdzałam umówioną wizytę u fryzjera. Za każdym razem, kiedy usiłuję samodzielnie ułożyć włosy, wyglądam jak członek grupy rockowej z dostępem do suszarki bez dyfuzora. Nie znam się na urządzeniach z końcówkami. Odkurzacze, suszarki, miksery... Wszystkie one wykraczają poza moje kompetencje techniczne. Szanowny mój mąż twierdzi, iż zostałam obdarzona „zmysłem praktycznym stokrotki", trochę techniki i się gubię. To jedno z jego miłszych powiedzonek. Potrafi być o wiele bardziej złośliwy.

Wyskakuję z łóżka na ciepłą drewnianą posadzkę, by rozpocząć dokładnie zaplanowany co do minuty dzień. Najpierw muszę podrzucić Danny'ego do przedszkola, potem biegiem do domu klienta i z powrotem do domu, gdzie wezmę szybki prysznic, przebiorę się w cnotliwą sukieneczkę i zabójcze szpilki, popędzę do fryzjera, który ułoży moje włosy, podczas gdy ja będę czytać rozkosznie głupkowate pisemka, następnie wkroczę do Ivy, gdzie olśnię kolegów męża urodą i urokiem osobistym. Proste. Ziewając, przeglądam się w łazienkowym lustrze. Widzę niebieskooką trzydziestoczworoletką z gniazdem koloru kasztanowego na głowie. Nie jest brzydka, zwłaszcza kiedy przestaje ziewać i unosi

niecو podbródek, ale ma kurze łapki w kącikach oczu i ślady trądziku na czole. Atrybuty wieku średniego oraz młodzieńczego spotkały się w okrutny sposób. No cóż... Przynajmniej nie widać śladów kaca. Zgadza się, zeszłej nocy omal nie przekreśliłam skrupulatnie poczynionych planów. Tom pracował do późna, a mnie odwiedziła stara przyjaciółka, Chloe.

Przyznaję się do zachowania niegodnego zamężnej kobiety po trzydziestce. Zabawa była przednia. Od wieków tak dobrze się nie bawiłam. Jakby wróciły stare dobre czasy, kiedy miałyśmy po dwadzieścia lat i dzieliłyśmy się wszystkim: ciuchami i facetami. Ja zazwyczaj dostawałam wszystko używane. Mieszkałyśmy razem przez cudowne sześć miesięcy w obskurnej kawalerce w Chelsea z jednym rozkładanym łóżkiem. Obie byłyśmy wtedy bez grosza, Chloe stawiała pierwsze kroki w zawodzie kosmetyczki, a ja kwiaciarki. Żartowałyśmy sobie, że żyjemy jak stare dobre małżeństwo. Oczywiście, wtedy nie miałyśmy jeszcze pojęcia, jak naprawdę wygląda małżeńskie życie. Minęło kilka lat - Chloe wzięła ślub, a potem rozwód, ja mam kilka zmarszczek i kilogramów więcej - ale niewiele się zmieniłyśmy. Niedawno wróciłam z dwuletniego wygnania w Toronto, mam za sobą wyjątkowo paskudny rok. Chloe mieszkała cały czas w Londynie, usiłuje odnaleźć się na nowo po rozwodzie z fotografem, którego poślubiła dwa lata temu w Las Vegas. Ślub był zabawny, rozwód mniej. Miałyśmy sobie mnóstwo do opowiedzenia.

O dziewiątej byłyśmy już mocno wstawione. Chloe usiłowała wywoskować mi pachy, zapewniając z zapalem, o ileż to praktyczniejsze niż golenie. Wszystkie kosmetyczki tak twierdzą. Zanosilał się śmiechem, trzymając posłusznie rękę w górze, od miesięcy nie śmiałam się tak jak wtedy. Powietrze było ciężkie od dymu psychotropowych ziół Chloe (jak można to palić i pozostać przy zdrowych zmysłach?) oraz oparów czerwonego wina. Chloe pociągnęła za pasek z woskiem, piszcząc:

- Dostaniesz za swoje!

- Cicho! - krzyknęłam. - Obudzisz Danny'ego! Aua! Ty sadystko! - Rzuciłam w nią brudną ścierką.

Ten moment musiał wybrać sobie Tom, aby wkroczyć, pełen dezaprobaty. Mąż w garniturze po całym dniu pracy. Chloe usiłowała stłumić chichot, przy czym o mało się nie udusiła. Patrząc na jej poczerwieniałą twarz, sama zaczęłam się śmiać. Tom zachował powagę. Jego poczucie humoru kompletnie wyparowało, kiedy odkrył, że wytrąbiłyśmy obie butelki drogiego czerwonego wina, które przechowywał na specjalne okazje, a w domu nie ma nic do jedzenia oprócz paluszków rybnych i zwietrzałych herbatników.

- Kochanie! - zawołałam wesoło, całując go na powitanie. - Przecież mnie znasz, lepsza ze mnie kwiaciarka niż żona!

Nie udało mi się go rozśmieszyć. Ostatnie słowa, które usłyszałam, zanim przewrócił się na drugi bok i zasnął, brzmiały:

- Tylko się jutro nie spóźnij.

- Nie martw się - odparłam z pijacką niefrasobliwością. - Możesz mi zaufać. - Pocałowałam go w usta.

Wyrzucam na łóżko stertę ubrań z kosza na czystą bieliznę. Pojedyncze skarpetki Toma i Danny'ego, dzinsy moje i Danny'ego. Patrząc na rozrzucone ubrania, uświadamiam sobie, że noszę głównie dzinsy, T-shirty i bluzy z kapturem. Jak moje dziecko. Tylko moje ubrania są większe, tańsze i mniej gustowne. Skłania mnie to do refleksji. Czy kiedy wsuwamy na palec obrączkę i przychodzi na świat dziecko, jakaś pierwotna część kobiecego umysłu szepcze: „Jesteś mężatką. Po co ci szpilki? Wszystkie te okropne niewygodne ubrania? A gdyby tak mięciutkie gumowe podeszwy... Wygodne elastyczne spodnie... Odpręż się”. Może szukam wymówek, a moja garderoba wskazuje na jakiś poważny problem w związku?

Wybieram ze sterty wytarte dzinsy, wielkie szare majtasy i jedyną czystą koszulkę: tę z wielkim jeźdźcem, firmowym znakiem Rolling Stonesów. Chloe przywiozła mi ją z Vegas. Wkładam na nią stary różowy sweter. Nie mam po co się stroić do pracy, zwłaszcza wiedząc, że klienta nie będzie w domu. Ubrania brudzą się od pyłków kwiatowych, zalewam je wodą w ferworze pracy, zależy mi głównie na wygodzie. Wchodzę do pokoju Danny'ego. Na jego gładki policzek pada promień słońca.

- Danny. Skarbie, pora wstawać. - Delikatnie podnoszę rąbek kołdry z nadrukiem Tomka i przyjaciół.

Przeciera piąstkami zaspane oczy, słodki dziecienny gest, całuję policzek, na którym odcisnęła się zmięta pościel.

- Śnił mi się tatuś - mówi, rozglądając się niepewnie, jakby miał wątpliwości, czy już się obudził. - Gdzie on jest?

- Na spotkaniu. Musiał wyjść bardzo wcześnie rano, skarbie. - Powstrzymuję się od dodania: „Jak zwykle”.

Moje dziecko w pośpiechu zjada miskę płatków śniadaniowych, po czym zostaje zapakowane do samochodu razem z kwiatami. Odwożę go do przedszkola, które mieści się w wiktoriańskim budynku z czerwonej cegły, oddalonego pięć minut jazdy od naszego domu. W środku jest jeszcze cicho i pusto. Danny zwykle przyjeżdża ostatni, dziś jest pierwszy. Na miejscu wita nas jedynie Straszna Hanna, przedszkolanka Danny'ego. Przypomina postać z bajek braci Grimm, ma proste czarne włosy z przedziałkiem pośrodku i zęby, które nie mieszczą jej się w buzi. Chwyta Danny'ego za rączkę, żeby nie mógł za mną pobiec. Daję mu szybkiego całusa w policzek i w pośpiechu umykam do samochodu, bojąc się, że inaczej rozstanie będzie zbyt trudne. „Kocham cię!” - krzyczę, naciskam klakson i odjeżdżam. Tracąc z oczu budynek przedszkola, przestawiam umysł na inne tory. Nie jestem matką, tylko kwiaciarką. Zrobię, co w mojej mocy, aby nie myśleć o Danny'm aż do popołudnia, kiedy zobaczę go ponownie. Teraz muszę się skupić na pracy.

Ze zdziwieniem stwierdzam, że w ogóle nie ma korków. Przejeżdżam płynnie przez trzy zielone światła z rzędu, wydarzenie bez precedensu. Niedawno zastanawiałam się, czy moje srebrne stare audi nie ma przypadkiem wmontowanego tajnego urządzenia do zmieniania świateł na czerwone. Ku mojemu niebotycznemu zdumieniu pod domem doktora Prenwooda w Belsize Park natychmiast znajduję wspaniałe miejsce do zaparkowania. To także zdarza się po raz pierwszy, zwykle muszę zostawiać samochód kilka ulic dalej. Ktoś się dziś do mnie uśmiecha z góry.

Dzwonię do drzwi wejściowych i słyszę, jak gospodyni - Aysha, muzułmanka, która zawsze ma szeroki uśmiech na ustach i tę samą chustę w leopardzie cętki na głowie - otwiera jeden po drugim liczne zamki strzegące drzwi frontowych mieszkania doktora Prenwooda. Wreszcie zostaję wpuszczona do środka. Aysha trzyma się za policzek, jej twarz tym razem pozbawiona jest uśmiechu.

- Dzień dobry, panno Sadie - cedzi przez zaciśnięte zęby.

- Dzień dobry. Ojej. Dobrze się czujesz?

- Niezbyt. - Kręci głową.

- O nie. Co się stało?

- Okropny ból zęba. Zakażenie.

- Biedactwo. Umierasz z bólu?

- Umieram. Czekam, aż mój przekłety leniwy dentysta zadzwoni do mnie, podając termin wizyty. Próbowала pani kiedyś umówić się pilnie do dentysty w Londynie? Szybciej by było polecieć do Pakistanu - narzeka.

Zdejmuję adidas i wchodzę na gruby biały dywan w samych skarpetkach. Jestem obładowana pudłami pełnymi kwiatów z wczorajszego targu. To jedyne słabe punkty mojego planu. Normalnie nigdy nie dałabym klientowi wczorajszych kwiatów, ale nie byłam w stanie upchnąć w plan dnia porannej wizyty na rynku kwiatowym. Z czegoś trzeba było zrezygnować.

Doktor Prenwood alias Dostawca Botoksu dla Gwiazd to pogodny gładkolicy sześćdziesięcioletni, który na wypełnianiu zmarszczek pięknych i bogatych dorobił się dość pieniędzy, by pozwolić sobie na wydanie dwustu funtów tygodniowo na kwiaty. Dwa duże wazoniki roślin, które powinny wytrzymać cały tydzień. Jego mieszkanie jest przeciwieństwem mojego: nieskazitelnie czyste i bez dzieci. Wyłożone złotą jedwabną tapetą niczym kosztowny prezent, ściany ozdobione oprawionymi w ramki wycinkami z gazet na jego temat. Miękkie białe sofy na złotych nogach, które na czas jego częstych wyjazdów wakacyjnych okrywane są pokrowcami chroniącymi przed kurzem. Błyszczące złote krany. Wypolerowane wieszaki na papier toaletowy. Na tle tego wszystkiego nie dziwi upodobanie doktora Prenwooda do okazałych bukietów. Jest to florystyczny odpowiednik natapirowanej fryzury. Nie zadowolają go proste kompozycje sezonowe, w których się specjalizuje: bukiety hiacyntów albo pachnącego groszku, przeplatane włóknami rafii i przetykanego gałązkami bazi. O, co to, to nie. On lubi skomplikowane aranżacje, kompozycje z róż, poskręcane gałęzie derenia kwiecistego,

wielkie jak pięści peonie, cały ten blichtr. Nie znam jego orientacji seksualnej, lecz na podstawie upodobań dotyczących kompozycji kwiatowych zakładam, iż być może nie jest ona heteroseksualna. Jest jednym z moich najlepszych klientów.

Kładę swoją płócienną torbę z przyrządami na stole, wydaję sekator, piankę, druty, wszystko, czego potrzebuję, i zabieram się do pracy. Odrywam niepotrzebne liście, przycinam łodygi pod odpowiednim kątem, starannie układam kwiaty. Zawsze nucę, oddając się ulubionym powtarzalnym czynnościom. Wkładam kwiaty jeden po drugim w gąbkę, która poddaje się z cichym chrupnięciem. Wyobrażam sobie, że jestem chirurgiem poprawiającym niedoskonałości natury.

W głębi mieszkania rozlega się dzwonek telefonu, buczenie odkurzacza ustaje, a po chwili na progu kuchni zjawia się uśmiechnięta Aysha.

- Dentysta przyjmie mnie za chwilę! Inaczej musiałabym czekać dwa tygodnie, wyobrażasz sobie? Muszę lecieć!

- Ciesz się! Biegnij!

- Na razie, Sadie! - Chwyta torebkę i wypada z mieszkania, zatraskując za sobą drzwi.

Wkładam ostatnią pąsową różę w piankową kulę, umieszczam całość w wazonie. Cofam się, podziwiając kompozycję, która wygląda jak ogromny rożek lodów truskawkowych. Jeden bukiet gotowy. Kończąc pracę nad drugim, zaczynam odczuwać tępy ból w skroniach. Rozpoznaję symptomy kaca. Jednak nie uniknę kary za wczorajszy wieczór, myślę, nalewając sobie szklanek wody. Zabieram się do sprzątanía, na marmurowej podłodze nie może zostać nawet kropelka wody. Dobra kwiaciarka jest jak wróżka, powinna zostawiać po sobie wyłącznie magię. Wsuwam stopy w stare conversy, zarzucam torbę na ramię, biorę pod pachę puste pudełko po kwiatkach i ciągnę za klamkę.

Potem jeszcze raz. Drzwi ani drgną. Sprawdzam pojedynczo każdy z sześciu zamków, próbując ustalić, który blokuje wyjście. Upuszczam pudła na podłogę i ciągnę za klamkę z całych sił. Pozbywam się torby, próbuję znowu. Bez skutku. Ze zgrozą uświadamiam sobie, że nigdy nie otwierałam sama tych drzwi, zawsze wypuszczała mnie Aysha. Nie mam kluczy. Jak mogłam być taka głupia, myślę, desperacko szarpiąc za klamkę.

- Halo?! Jest tam ktoś? Potrzebuję pomocy - wołam, uchylając klapkę, przez którą listonosz wrzuca pocztę. Mój głos odbija się echem w pustym korytarzu.

Próbuję wywarzyć drzwi, czego skutkiem jest potworny ból ramienia. Zasycha mi w ustach, ból głowy narasta.

Tylko bez paniki, Sadie. Pomyśl logicznie. Trzeba do kogoś zatelefonować. Jak długo trwa wizyta u dentysty?

Czy Aysha wróci jeszcze do mieszkania? Gorączkowo przeszukuję spis telefonów w swoim aparacie w poszukiwaniu numeru doktora Prenwooda. Mam! Dzięki Bogu. Dzwonię, jest sygnał.

Dzwoni także telefon stacjonarny na stoliku za moimi plecami. Trzy sygnały, a potem włącza się sekretarka. Tylko nie to. Mam jego przeklęty numer domowy! Kropla potu stacza mi się po nosie.

Nie mogę się poddać. Nie mogę zawieść. Odszukuję w książce telefonicznej numer kliniki Prenwooda. Osuwam się po ścianie na biały puszysty dywan w korytarzu.

- Klinika doktora Prenwooda - słyszę pogodny, energiczny głos po drugiej stronie słuchawki.

- Dzień dobry pani! Chciałabym rozmawiać z doktorem Prenwoodem.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Mogę spytać, kto mówi?

- Jestem jego dekoratorką. Mam bardzo pilną sprawę.

- Przykro mi, proszę pani. W tej chwili przeprowadza zabieg i nie wolno mu przeszkadzać.

- Rozumiem, ale to sytuacja alarmowa. Jestem uwięziona w jego mieszkaniu, a mam umówione spotkanie. Bardzo proszę, czy mogłaby pani uczynić wyjątek? Byłabym ogromnie wdzięczna. Znalazłam się w rozpaczliwym położeniu.

- Pani wybaczy - chrząka kobieta. - Proszę zostawić swoje nazwisko i numer telefonu, a przekażę wiadomość doktorowi.

- Kiedy ją otrzyma? - Siłę się na uprzejmość, choć mam ochotę na nią wrzasnąć.

- Nie jestem w stanie przewidzieć, kiedy do pani oddzwoni - odpowiada po chwili.

- Nie o to pytałam. Chciałabym wiedzieć, kiedy przekaże mu pani wiadomość.

- Jak tylko będzie wolny. Proszę zostawić namiary.

Mam kolejkę w recepcji.

Podaję jej swoje dane, odkładam słuchawkę i nerwowo chodzę po mieszkaniu w nadziei znalezienia zapasowych kluczy. Otwieram szafki i szuflady. Znajduję pamiętniki, strzykawki, czasopisma medyczne i złotą prezerwatywę, ale żadnych kluczy. Oddycham szybko, jestem cała spocona. Nie wiem, co robić.

Dzwoni mój telefon komórkowy, rzucam się, żeby odebrać połączenie.

- Halo? Doktor Prenwood?

- Przykro mi, nie. Salon Fryzjerski Stevena Harta. Była pani umówiona na czesanie...

- Tak, wiem. Ale...

- Na przyszłość proszę odwoływać wizyty z większym wyprzedzeniem - mówi znudzonym tonem dziewczyna. - Josh jest bardzo zajęty.

- Nie odwołuję! Ja...

- Przyjdzie pani? Jak duże spóźnienie pani przewiduje?

- Nie wiem! - Pod powiekami wzbierają mi łzy bezsilności. - Zatrzasnęłam się w mieszkaniu, nie mam kluczy. Muszę czekać, aż ktoś mnie wypuści. Mam nadzieję, że nastąpi to niedługo. Pojadę prosto do salonu.

- Cóż... - odzywa się po długiej pauzie. - Przekażę Joshowi wiadomość. Na przyszłość...

Przerywam połączenie. Co się dzieje z tymi ludźmi? I ze mną? Ostatnio prześladowuje mnie potworny pech. Czuję dotkliwe pragnienie, więc sięgam do lodówki, wydaję karton soku żurawinowego, nalewam sobie szklanę i wypijam łąpczywie, zalewając przy okazji ubranie. Niech to szlag... Zdejmuję sweter i polewam różową plamę zimną wodą, powiększając ją. Siadam przy stole w kuchni, z rezygnacją chowam twarz w dłoniach. Boję się zatelefonować do Toma. Nie, muszę się stąd wy dostać. Podchodzę do okna, odsuwam rąbek żółtej zasłony i wyglądam na zewnątrz. Trzecie piętro. Ponownie krzyczę przez szparę na listy.

Jeszcze raz telefonuję do kliniki. Wreszcie siadam na sofie i zaczynam płakać z żalu nad sobą oraz poczucia bezradności. Jest za kwadrans pierwsza. Nie zdążę na lunch. Oczyma wyobraźni widzę inne żony w kieckach od projektantów, wchodzące na restauracyjną salę, wymieniające powitania i grzeczności. Boże, Tom mnie zabije. Jak nic będzie awantura.

Akceptuję porażkę, drżącymi palcami wybieram jego numer. Zgłasza się jedynie poczta głosowa. Nagle wydaje mi się, że słyszę zgrzytnięcie klucza w zamku. Podrywam się na równe nogi, by podbiec do drzwi, które właśnie się otwierają.

- Aysha! - wołam radośnie, zamykając ją w objęciach. - Wróciłaś!

- Co ty tu jeszcze robisz?

- Zamknęłaś mnie.

- O nie. - Kładzie rękę na opuchniętym policzku. - Strasznie cię przepraszam.

Szybko zbieram swoje rzeczy, by wypaść na zewnątrz niczym zwierzę uwolnione z klatki.

- Nieważne. Muszę lecieć.

Wydaje mi się, że mogę jeszcze zdążyć. Biegnę do samochodu. O Jezu, nie...

- Nie! - Kopię blokadę założoną na koła. Dlaczego ja? Dlaczego dziś? Wybiegam na główną ulicę, wymachując rękami. - Taxi! - krzyczę.

Są straszne korki, taksówka wlecze się jak ślimak w stronę centrum, a licznik co minutę wskazuje o jednego funta więcej. Przez otwarte szyby wpada gorące powietrze. Jest okropnie duszno, chyba zbiera się na burzę. Co chwilę spoglądam na zegarek, jak gdybym mogła cofnąć wzrokiem czas. Czy Tom zauważył, że dzwoniłam? Czemu się nie odzywa?

Wreszcie zatrzymujemy się pod Ivy. Grupka paparazzi strzegących wejścia chichocze na mój widok.

- Spokojnie - mruczy z urazą jeden z nich, kiedy przepycham się bez pardonowo do środka.

- W czym mogę pomóc? - pyta uprzejmie portier, zagradzając mi drogę.

- Jestem spóźniona. Na lunch. W sali bankietowej.

Portier obejmuje wzrokiem całą moją postać. Patrzy na wielką płócienną torbę, sportowe buty, dzinsy i - o zgrozo - na T-shirt z wielkim czerwonym jęzorem. Zapomniałam o swetrze.

- To spotkanie pracowników firmy Anderson & Co - tłumaczę chaotycznie. - Byłam zamknięta w mieszkaniu i jestem strasznie spóźniona.

- Na górze - zlitował się nade mną portier. Po chwili wahania dodał: - Ktoś panią odprowadzi. - To powiedziawszy, odwrócił się, by szepnąć coś do jednej z szatniarek.

Idę po schodach w towarzystwie ładnej brunetki w wąskiej spódnicy i butach na wysokich obcasach. Z każdym stopniem bicia mojego serca nabiera większego tempa. Widzę przelotnie swoje odbicie w jednym z luster. Wyglądam strasznie: blada skóra z czerwonymi plamami na policzkach, rozczochrane włosy. Zatrzymuję się niepewnie u szczytu schodów, nie wiedząc, czy to dobry pomysł, że bym w ogóle wchodziła na salę bankietową.

Dziewczyna z szatni przygląda mi się podejrzliwie.

- Dobrze się pani czuje?

- Doskonale - zapewniam pośpiesznie, przerażona, że mnie wyprosi. Potykam się na przedostatnim stopniu, upuszczając torbę, którą najwyraźniej niedokładnie zapięłam, gdyż zawartość eksploduje na zewnątrz niczym bomba domowej roboty, zaśmiecając schody kawałkami pianki i drutów. - Cholera jasna. Bardzo przepraszam. - Szybko zbieram rzeczy i sama siebie też usiłuję pozbierać, kiedy już udaje mi się wreszcie pokonać wszystkie stopnie. Za drzwiami z ciemnego drewna słychać śmiechy i gwar rozmów.

- Jeszcze to - mówi z dystansem szatniarka, wręczając mi sekator.

Ten właśnie moment wybrał kelner, aby wyjść z sali z pustą tacą, pozostawiając za sobą otwarte drzwi. Zamieram w bezruchu, wpatruję się jak zahipnotyzowana w pomieszczenie z witrażowymi oknami. Przy wielkich zastawionych stołach, jedząc i gawędząc, siedzą mężczyźni w garniturach i odświętnie ubrane kobiety. Szmer rozmów ustaje i zalega głucha cisza, rozlega się pojedynczy chichot. Wszyscy wpatrują się we mnie, zwłaszcza w tę nieszczęsną koszulkę z wielkim jęzorem i napisem „Poliż mnie”. Odbieram sekator z rąk szatniarki, wszystko zdaje się toczyć w zwolnionym tempie. Rozpaczliwie szukam wzrokiem Toma. Dostrzegam parę znajomych twarzy, młodego agenta i Perfekcyjną Pamelę, żonę jednego z kolegów Toma, która mieszka w sąsiedztwie i prowadzi synka do tego samego przedszkola, do którego uczęszcza Danny. Pam otwiera usta ze zdziwienia, ukazując kęs przeżutego szparaga.

- Chyba pomyliłaś sale, kochana - zwrócił się do mnie mężczyzna o obrzmiałej czerwonej twarzy, siedzący najbliżej drzwi. - Mamy tu bankiet.

Ktoś parska śmiechem, pozostali wpatrują się we mnie, niektórzy z zaskoczeniem, inni z irytacją.

- Wiem - odpowiadam z bezradnym uśmiechem, pragnąc znaleźć się z powrotem w zamkniętym mieszkaniu. - Jestem Sadie Drew, Tom Harrison to mój mąż. Przyszłam... eee... na bankiet.

2

Jeszcze raz cię przepraszam. Ile razy będę musiała to robić? Przecież wiesz, jak było. Omal się nie zabiłam, próbując dotrzeć na czas.

- Twoja obecność była dla mnie bardzo ważna. - Tom potrząsa gazetą.

- Naprawię wszystko przy następnym spotkaniu firmowym. Będę czarująca i urocza.

- Musisz zaczekać do końca sierpnia, kiedy firma urządzi kolejną imprezę. Tylko nie zjaw się na niej we wrześniu.

- Odchrzań się wreszcie, Tom! Jeżeli zamierzasz mi to cały czas wypominać... - Wrzucam brudną filiżankę po kawie do przepelnionego zlewu. Żadne z nas nie załadowało zmywarki. - Lepiej sobie pójdę.

- Proszę bardzo, idź - syczy wściekle. - Wszyscy będziemy mogli się odprężyć.

- Dość tego - mówię, biorąc swoją torebkę.

- Co takiego?

- Wychodzę.

- Dokąd? - Tom odkłada gazetę, wreszcie udało mi się przyciągnąć jego uwagę.

- Gdzieś, gdzie nie będę osądzana jako najgorsza żona na świecie. Gdzie moja wartość jako człowieka nie będzie zależna od gosposi ze spróchniałym zębem, która zamknęła mnie w mieszkaniu. Albo od kulki włosów w odpływie prysznic...

- Ale Sadie, to cholerstwo niedługo zacznie chodzić i nakręcą o nim film dokumentalny.

- To twoje włosy, nie moje. Nie zauważyłaś, że ostatnio powiększyło ci się czoło? - Zachowuję się jak złośliwy dzieciak, ale ta świadomość mnie nie powstrzymuje. - Ty łysiejesz, Tom, nie ja.

- Ciekawe czemu - prycha z oburzeniem. Jest wściekły, posunęłam się za daleko, wspominając o jego przesuwającej się linii włosów. To tak, jakby on wypominał mi fałdki na brzuchu.

Nie czuję skruchy, nadal przepelnia mnie złość. Zarzucam torebkę na ramię ze słowami:

- Za dwadzieścia minut trzeba pojechać po Danny'ego. Jest u Finna. O trzeciej zaczyna lekcję pływania. Trzeba go zawieźć.

- Nie mogę. Jestem zajęty - mówi z celowym lekceważeniem.

- Będziesz musiał.

Tom drapie się po brodzie z zakłopotaniem. Wystraszył się, że jednak nie blefuję.

- Jest mecz.

- To świetnie.

- Widzę, że dobrze się bawisz.

W pewnym sensie. Rzeczywiście odczuwam pewien rodzaj chorej satysfakcji.

- Nie zapomnij o kroplach do oczu o czwartej. Nie lubi, kiedy mu się je wpuszcza. Będzie się mocno opierał. Możesz go unieruchomić siłą, ale radziłabym przekupienie herbatnikiem imbirowym. Są w blaszanym pojemniku, na drugiej półce... Nieważne. Znajdziesz. A twoja matka...

Tom zakrywa uszy jak mały chłopiec.

- Jezu, Sadie. Mówisz, jakbyś miała zamiar się wyprowadzić! Proszę cię, przerwij na chwilę ten potok słów. Miałem cholernie ciężki tydzień, nadal dobija mnie różnica czasu po przylocie z Nowego Jorku. Potrzebuję odrobiny ciszy i spokoju, kilku minut dla siebie. Nie każ mi wsiadać w samochód i pędzić po Londynie jak szofer na sterydach...

- Sam mi kazałeś wyjść! - przypominam rzucone nieopatrnie słowa, które przypieczętowały jego los. - Więc wychodzę.

- Przestań dramatyzować. Nie musisz robić z siebie męczennicy, Sadie Drew. Przyjąłem wiadomość. A teraz siadaj i napij się kawy. Spróbujmy uratować resztę sobotniego poranka.

- Nie. - Sama jestem zaskoczona uporem, z jakim trwam przy tej domowej rebelii. - Wychodzę.

- Nie możesz! Co z Dannym? Ja jestem zajęty. Mecz...

- No to patrz.

Zatrząskuję za sobą drzwi, czując, jak wolność dodaje mi skrzydeł. Nigdy wcześniej nie zachowałam się w ten sposób. Owszem, kilka razy groziłam, że to zrobię, lecz po raz pierwszy wyszłam z domu, zostawiając sprawy własnemu biegowi. Tak, dałam mu nauczkę. Teraz... teraz... No właśnie, co teraz? Staję jak wryta na środku chodnika. Dokąd mam pójść, do diabła? Może na zakupy. Albo do muzeum. Istnieje mnóstwo rzeczy, o których zawsze mówiłam, że chciałabym je zrobić, gdybym miała więcej czasu, a kiedy pojawiła się okazja, wszystkie tracą urok. Jestem zbyt pobudzona, żeby w skupieniu podziwiać dzieła sztuki, a zakupy w takim stanie umysłu zakończyć by się mogły spontanicznym nabyciem okropieństwa w rodzaju nietwarzowej kanarkowej sukni w poziome paski. Tudzież kolejnej granatowej podkoszulki z napisem GAP. Oglądam się przez ramię, by sprawdzić, czy Tom nie obserwuje mnie z okna z triumfalnym uśmiechem. Dziękuję opatrności, widząc zasłonięte żaluzje. Z braku lepszego pomysłu podejmuję szybki nerwowy marsz w kierunku stacji metra. Jest mi gorąco i nadal nie wiem, dokąd chcę się udać.

Postanawiam uniknąć zgiełku, tłumu oraz zakupowych pokus, jakie czekają w centrum Londynu, wysiadam na stacji Regent's Park i wychodzę na Marylebone Road, sznur samochodów przemyka obok mnie. Ryk silników wydaje się głośniejszy niż kiedykolwiek. Wszystko jest jakieś intensywniejsze. Regent's Park jawi mi się jako oaza spokoju, zielony azyl, w którym zamierzam poszukać schronienia przed pędzącymi autami, zabieganymi ludźmi, a także zacietrzewionymi gołębiami latającymi na wysokości mojej głowy. Przed bramą znajduje się stragan z kwiatami. Róże. Słoneczniki. Tulipany. Kwiaty mają dla mnie magnetyczną moc przyciągania. Staram się im oprzeć równie bezskutecznie jak nastoletni chłopcy, próbujący odwracać wzrok od nagich piękności na plaży dla nudystów. Zerkam.

Przystaję. Waham się. I kupuję bukiet lśniących tulipanów o płatkach przypominających wielkie różowe języki, który mogłabym sobie sprawić w hurtowni za jedną czwartą ceny, jaką zapłaciłam. Doskonale wiem, że nie potrzebuję tych kwiatów, ale co tam... Znajduję sobie ustronne miejsce pod kwitnącą czereśnią. Trudno mi się odprężyć. Niektóre kobiety wyglądają niezwykle malowniczo, siedząc na tle parkowych krajobrazów. Nie należę do nich. Zaczynam się wiercić, bołą mnie plecy, rozmasowuję zdrewniałe ramiona. Nagle robi mi się chłodno. Patrzę w niebo. Nadal jest słonecznie, lecz od strony zachodu zaczyna się chmurzyć. Skłębione obłoki przypominają szaroliliowe hortensje. Znosi się na deszcz. Żałuję, że przed wyjściem z domu nie pomyślałam o wygrzebaniu swetra z kosza na brudną bieliznę.

Powinam cieszyć się tym wykradzionym dla siebie czasem, lecz nie pozwala mi na to wściekłość, którą wciąż odczuwam. Nic mi się nie udaje. Od lat nie byłam sama w żadnym parku, bodajże od narodzin Danny'ego. Nikt nie żąda ode mnie picia ani batoników. Nikt mnie nie rozprasza sprawdzaniem poczty elektronicznej w swoim blackberry. Koszmar wczorajszego popołudnia zaczyna blednąć w mojej pamięci, zastąpiony przedziwnym uczuciem oczekiwania. Jestem sama i wszystko może się zdarzyć! Różne rzeczy przytrafiają się wzburzonym młodym mężatkom, samotnie spacerującym po londyńskich parkach. Widziałam w telewizji. Jak na zawołanie mija mnie atrakcyjny dwudziestoparolatek o blond włosach, w opadających w pasie džinsach. Chłopak prowadzi na grubej metalowej smyczy psa rasy buldog. Pies mógłby do mnie podbiec, myślę chaotycznie. Zaplątałabym się w smycz, musielibyśmy rozpocząć rozmowę, a wtedy... Przystojny młodzieniec nie zaszczycił mnie nawet przelotnym spojrzeniem. Dlaczego niby miałyby się za mną oglądać?

Ponury nastrój powraca, znów myślę o nieszczęsnym bankiecie i późniejszej kłótni. Nie potrafię powstrzymać gonitwy nieprzyjemnych wspomnień. Analizuję każdy drobiazg, usiłując odnaleźć moment, od którego wszystko zaczęło się psuć. Nie nastąpił on wczoraj, dochodzę do wniosku. Nie jest łatwo wskazać konkretne wydarzenie, od którego dwoje ludzi zaczyna się od siebie oddalać. Wspólna droga, którą zgodnie podążaliście, nagle się rozwidła. Byliśmy szczęśliwi w Toronto, życie w obcym kraju to jakby urlop od rzeczywistości. Tom miał miłą bezpieczną posadę w firmie reklamowej, stałe godziny pracy, uroczego szefa i niezbyt wiele zawodowych wyzwań. Wynajmowaliśmy śliczny nowoczesny apartament na pięknym strzeżonym osiedlu. Dwie sypialnie, widny i przestronny pokój gościny, znikoma ilość mebli. Nawet mnie nie udawało się tam zbytnio nabałaganić. Poza tym Tom nie miał wtedy takiego bzika na punkcie porządku jak teraz. Wydawał się bardziej zrelaksowany. Ja byłam młodą mamą wychowującą dziecko za granicą, nie pracowałam zawodowo. Żyło nam się łatwo i przyjemnie. Zazwyczaj jadaliśmy w restauracjach albo zamawialiśmy coś na wynos. Jeździliśmy na nartach w Blue Mountain, urządzaaliśmy sobie pikniki nad Niagarą, a upalne lipcowe weekendy spędzaliśmy na plaży Wasaga. Cieszyliśmy się świeżym powietrzem i wolnością. Teściowie nie komplikowali nam życia. Jednak jak przystało na - prawdziwych Anglików, stęskniliśmy się za naszą drogą, zatłoczoną

wysepką. Tom dostał propozycję pracy w Londynie - złożył aplikację w tajemnicy przede mną, a pomoc starego przyjaciela pomogła w jej pozytywnym rozpatrzeniu przez nowego szefa - nigdy nie widziałam takiej pasji w jego oczach. Twierdził, że to jego wielka szansa. Lubił Toronto, lecz w porównaniu z Londynem wydawało mu się prowincjonalnym miasteczkiem, tęsknił za wyzwaniem. Nie stawiałam zbyt wielkiego oporu. Pomyślałam, że dla mnie to również jest szansa: na powrót do zawodu, nim będzie za późno. Sielankowe wakacje dobiegły końca. Wróciliśmy do domu, do naszego prawdziwego życia.

Rzeczywistość zbyt gwałtownie upomniała się o nas.

Wyobrażałam sobie, że powrót do Londynu będzie powrotem do dawnego życia, sprzed wyjazdu. Do szczęśliwych dni z początku związku, kiedy byliśmy w sobie szaleńczo zakochani. Nie mieliśmy wtedy dzieci, ale co z tego? Przyznaję, iż miałam mnóstwo nierealnych oczekiwań. Ponadto zakładałam, że oczekiwania Toma są całkowicie zbieżne z moimi. Zaplanowałam nasze życie. Pomieszkamy w Londynie przez parę lat, myślałam. Później przeprowadzimy się na wieś, do Sussex albo Oxfordshire, razem z powiększającą się gromadką ślicznych pociech. Do miasta będę jeździła tylko od czasu do czasu, postanowiłam, w sprawach zawodowych. Na co dzień zajmę się organizowaniem wielogodzinnych obiadków przy drewnianym stole, nakrytym kosztownym obrusem z Francji. Stół postawimy w wielkim ogrodzie z mnóstwem drzew, odgrodzonym od reszty świata kamiennym murem.

Dzieci będą się wspinać na jabłonki, a my będziemy się raczyć drogim winem w towarzystwie pękających z zazdrości gości z Londynu.

Moje plany legły w gruzach. Tom bardzo się zmienił, jest nieustannie zdenerwowany i zmęczony. Za wszelką cenę stara się udowodnić swoją wartość w nowej firmie. Zaczyna mu rosnać brzuch od tych ciągłych służbowych obiadków i kolacyjek. Londyn także jest jakiś inny. Mniej przyjazny i droższy niż w moich wspomnieniach. Trudno tu wychowywać małe dziecko. Ciągłe słyszę o popełnianych w okolicy przestępstwach. Na domiar złego większość moich znajomych wyprowadziła się z miasta w poszukiwaniu większej przestrzeni i lepszych szkół, co wydaje mi się jak najbardziej sensownym posunięciem. Ale kiedy w obecności Toma zaczynam głośno myśleć o przybliżonej dacie naszej przeprowadzki, przyprowadzam go o wstrząs. Patrzy na mnie, jakbym zaproponowała przeniesienie się do Mongolii, zamieszkanie w jurcie i zrezygnowanie z noszenia ubrań. Nie ma mowy, odparł stanowczo. On musi mieszkać w odległości trzydziestu minut jazdy od Soho. Nie zniesie życia na angielskiej wsi wśród gnoju i błota, wiejskich sklepików, barów oraz gier planszowych. Nie, to nie dla niego. Po trzech latach spędzonych w Kanadzie ma potrzebę życia w centrum wydarzeń. Innymi słowy, ma jeszcze wiele do udowodnienia sobie oraz światu. Uważa, że dotychczas wykazywał się zbyt małą ambicją, a teraz otrzymał szansę, żeby wszystko zmienić. Ta praca to jego los na loterii. Być może. Z mojego punktu widzenia jest tak: praca Toma, która ściągnęła nas tu z Toronto - kierownicze stanowisko w dużej renomowanej firmie reklamowej Anderson & Co z wyznaczoną ścieżką awansu - zmieniła jego

życiowe priorytety i sprawiła, że zaczął zaniedbywać sprawy rodzinne. Bierze coraz więcej nadgodzin. Paranoicznie boi się utraty pracy, więc pracuje coraz ciężiej. Sprawdza pocztę elektroniczną przed śniadaniem, przed pójściem do łóżka, po stosunku (nie żeby to było często). W zeszłym tygodniu powiedział, jak bardzo się cieszy, że Danny niedługo kończy trzy latka i wreszcie „zaczynamy odzyskiwać własne życie”. Jakby mówił o dobrym filmie na DVD, który pożyczył koledze.

Tymczasem mnie się marzy kontynuacja. Część druga i trzecia. Tom na razie w ogóle nie chce więcej dzieci, tym samym łamiąc mi serce.

Rozprostowuję swoje białe nogi, odchylam głowę do tyłu i patrzę na koronę drzewa, upstrzoną różowymi kwiatkami, których maleńkie płatki opadają mi na głowę, przypominając sceny z minionego życia. Kojarzą mi się z dekoracją na ślubnym torcie i z konfetti, którym obrzucono mnie i Toma po wyjściu z kościoła. Zamykam oczy, oddając się miłym wspomnieniom, otwieram je jednak, słysząc czyjś donośny głos.

- ...A ja mu na to: „Nie ma mowy, żebym pojechała sama do jakiejś obskurnej kliniki...”.

Krzykaczką okazuje się młoda szczupła dziewczyna, zażywająca kąpieli słonecznej na trawie. Podwinięta spódniczka w kwiatki, odsłaniająca uda, koronkowy czarny stanik, opalony płaski brzuch, rozpostarty na trawie niczym flaga. Mężczyźni zwalniają kroku na jej widok. Tom również by to zrobił, nie potrafiłby się powstrzymać. Dziewczyna z urazą odwzajemnia natarczywe spojrzenia, lecz najwyraźniej nie ma zamiaru się ubrać. Mam dopiero trzydzieści cztery lata, a nie pamiętam już czasów, kiedy byłam równie pewna siebie. A byłam. Szukałam wzrokiem swojego odbicia w wystawowych oknach i szybach mijanych samochodów. Dziś unikam patrzenia na nie, a kiedy zobaczę je przez przypadek, często w pierwszej chwili nie rozpoznaję sama siebie.

Niedaleko młodocianej krzykaczki, oparta o pień starego dębu siedzi starsza pani, obejmując dłońmi kolana. Uśmiecha się delikatnie, jakby bawił ją brak oglądy młodej sąsiadki. Podziwiam jej smukłą i elegancką sylwetkę, pięknie skrojoną szarą sukienkę z dopasowanym żakietem, starannie ułożone srebrne włosy, łaciną twarz o wydatnych kościach policzkowych i ustach pomalowanych szkarłatną pomadką. Starsza kobieta przypomina mi nieżyjącą babcię ze strony mamy - podobna fryzura i nienaganna postawa. Myślę o mamie, o naszym spotkaniu w tym parku podczas mojej zeszłorocznej wizyty w rodzinnym kraju. Stała na palcach, aby zerwać ukwieconą gałązkę tuż pod nosem protestującego strażnika. Nie przejmowała się drobiazgami od czasu diagnozy. Podsunęła mi kwiat do powąchania.

- Powąchaj, Sadie! Na pewno nie macie takich w Toronto.

Namawiała nas usilnie do powrotu do Londynu. Po narodzinach Danny'ego nie miała już żadnych skrupułów.

- Naprawdę chcesz, żeby nauczył się tych wszystkich kanadyjskich naleciałości językowych? - pytała, wpinając kwiat w klapę czerwonej wełnianej marynarki. Rozczuliła mnie jej kruchość. Poszły-

śmy do kawiarni na kawę i ciasto marchewkowe. Teraz nie ma jej już wśród żywych. Za późno wróciłam do domu.

Zerkam na zegarek. Niedługo zaczyna się lekcja pływania Danny'ego. Czy Tom pamięta? Czy spakował jego okulary do nurkowania? Czy domyśli się, że natychmiast po wysiłku trzeba dać dziecku sok i coś słodkiego, żeby nie zasłabło? Przeszkadza mi świadomość, że ja jedyna muszę pamiętać o tego typu sprawach, gdyż Tom się nie poczuwa do odpowiedzialności, najwyraźniej uznając, iż podobne drobiazgi go nie dotyczą. Zbyt jest zajęty swoją wspaniałą karierą. Ważne, żebym stawiała się punktualnie tam, gdzie jestem potrzebna, i nie wyróżniała się pośród zastępu korporacyjnych żon. Żeby grała rolę, o którą się nie ubiegałam.

Chłodny powiew wiatru mierzwi trawę i skłania opalającą się dziewczynę do włożenia bluzki. Słońce chowa się niespodziewanie. Ach, ta angielska pogoda! Wstaję czym prędzej, otrzepuję dzinsy i zabieram tulipany. Wiatr przybiera na sile, pada na mnie deszcz płatków osypujących się z drzewa wiśniowego. Im głośniej krzyczysz, tym szybciej... Deszcz. Spada z nieba jak grad szpilek. Wrzaskliwa dziewczyna rzuca się do ucieczki. Dopada mnie atak paniki, czuję ucisk w klatce piersiowej. Dzieje się coś niedobrego, a ja jestem bezbronna. Zerkam w kierunku drzewa, pod którym siedziała starsza pani, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, ale nie widzę jej nigdzie. Rozlega się przeraźliwy hałas. Co to takiego, do diabła? Bóg wyrzuca zabawki ze swojego wózka? Nagle dostrzegam olbrzymią czarną chmurę tuż nad swoją głową. Niedobrze, myślę, przyglądając jej się jak zahipnotyzowana. Zupełnie jakby moje emocje przybrały fizyczną formę w postaci dziwnych wyładowań atmosferycznych. Biegnę schronić się pod starym dębem. W następnej sekundzie słyszę głośny huk i zapada ciemność.

Spoglądam w górę na twarz nieznajomej starszej osoby, mam w ustach dziwny metaliczny posmak i jakoś tak mi... mokro. O Przenajświętsza Panienko, czyżbym się zmoczyła?

- Zadzwoń po pogotowie, moja droga? - pyta starsza osoba.

- Nie, nie. Nie trzeba. - Rozglądam się wokół, ku swojej nieopisanej uldze odkrywam, że wilgoć na mojej skórze pochodzi z mokrej trawy, na której siedzę, skryta pod koroną dębu przed ulewnym deszczem. Po szyi ścieka mi strumień wody. Starsza osoba rozciąga wąskie pomalowane na czerwono wargi w przyjaznym uśmiechu. Wreszcie ją rozpoznaję: pani w szarej sukni.

- Też tak uważam - zgadza się, wskazując dłonią moje czoło. - To tylko trochę krwi.

Jakiej znowu krwi, do czorta? Dotykam zranionej głowy. Boli.

Kobieta otwiera błyszczącą torebkę z krokodylej skóry i podaje mi chusteczkę.

- Stara perska legenda głosi, że pierwsze tulipany zrodziły się z krwi kochanka.

- Naprawdę? Dziękuję. - O czym ona, u licha, mówi, zachodzę w głowę, ocierając krew chusteczką.

- Uderzyła cię spadająca gałąź - wyjaśnia. - Masz szczęście, że nie wybiła ci oka. Mało brakowało. Niestety, twój piękny bukiet znacznie ucierpiał.

Kwiaty leżą rozsypane na trawie, wyglądają jak sztuczne. Cały trawnik został zasypany płatkami i gałęziami, a także śmieciami z parkowych kontenerów. Kobieta z wdziękiem zbiera kwiaty, po czym wręcza mi je.

- Dziękuję bardzo. Co to właściwie było?

Wzrusza drobnymi ramionami.

- Pewnie motyl zatrzepotał skrzydłami w Kolombo - mówi z uśmiechem. - Doprawdy nie mam pojęcia. Choć muszę przyznać, że było ciekawie. Przynajmniej pajęczyny zostały uprzątnięte.

Uśmiecham się z wdzięcznością, jej poczucie humoru i dystans do świata działają krzepiąco. W jej wieku z pewnością będę zupełnie inna, myślę. Deszcz powoli przestaje padać, lecz niebo jest wciąż zachmurzone. No i to ciężkie powietrze; jakby ciemne niebo było pokrywką szczelnie zakręconego słoika. Ogarnia mnie niepokój, pragnę jak najszybciej znaleźć się w domu.

- Muszę już iść.

- Ja bym jeszcze chwilę poczekała. Przemokniesz do suchej nitki. Popatrz. Nie zauważyłam jednego. - Podnosi z trawy tulipana o różowych płatkach i przygląda mu się z namaszczeniem. - Zachwycający.

- Jestem florystką - mówię, sama nie wiedząc czemu.

Na twarzy kobiety pojawia się uśmiech zachwyty.

- Przeznaczenie mi cię zesłało - oświadcza, podając mi kruchą, upstrzoną plamami wątrobowymi dłoń. Jej ręce wyglądają starzej niż twarz. Na palcu staruszki lśni brylant wielkości żarówki. - Enid. Enid Fisher.

- Sadie - przedstawiam się z uśmiechem. Jej dłoń wydaje się bardzo krucha. Kochana staruszcza. Gesty przyjaźni ze strony obcych zawsze mnie zaskakują. Podświadomie oczekuję raczej ataku niż przytulenia.

Stoimy obok siebie w milczeniu, obserwując padające krople, niczym dwie stare przyjaciółki. Głośny, hipnotycznie monotony odgłos padającego deszczu zagłusza kaca i złość. Wreszcie nieco się przejaśnia.

- Chyba się odważę. Da sobie pani sama radę?

- Oczywiście. To nie mnie znokautowała gałąź. - Enid zerka na moją obrączkę, do której przyczepiły się żdzbla trawy. - Ach, jesteś mężatką. Dobrze. Mąż się tobą zaopiekuje.

- Wątpię - odpowiadam, przypominając sobie swoją ostatnią chorobę - grypę w zeszłym miesiącu - opieka Toma ograniczyła się do jednej filiżanki herbaty oraz prośby, abym nie oddychała w jego kierunku, gdyż miał nazajutrz ważne spotkanie służbowe.

- W takim razie będziesz go sobie musiała na nowo wychować.

Wybucham śmiechem.

- Święta racja. Tymczasem biegnę do metra. Proszę przyjąć ode mnie tulipany. Nalegam. I dziękuję za wszystko. - Podaję jej kwiaty.

- Och, dziękuję! Wspaniały prezent. Chwileczkę. - Otwiera ponownie elegancką torebkę, by wydobyć z niej wizytówkę. - Proszę. Właśnie straciłam florystkę. Zależy mi szczególnie na osobie, która zna się na tulipanach. To warunek konieczny. Bardzo proszę o kontakt.

- Dziękuję. - Uśmiecham się uprzejmie, wiedząc, że do niej nie zadzwonię. Przyjmuję klientów wyłącznie na podstawie osobistej rekomendacji. Poza tym Tom i tak już narzeka, że za dużo pracuję. Jego zdaniem, powinnam poświęcić teraz cały swój czas na sprawy domowe. Nie rozumie, iż nie chodzi mi o pieniądze, lecz o własną przestrzeń. Bez pracy zupełnie bym się zatraciła.

Enid wlepia we mnie badawcze spojrzenie intensywnie niebieskich oczu.

- Wiem co nieco na temat mężów.

Taak, alarm przeciwbabciowy. Szalona staruszka.

- Ja przed swoim uciekam do parku - śmieję się, chowając wizytówkę do kieszeni džinsów. - Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Do widzenia.

3

Zatrząskuję za sobą drzwi wejściowe i odważnie wkraczam w - jak mawia Tom - Korytarz Chaosu, inaczej zwany przedpokojem. Wita mnie przepelniony kosz na śmieci, zawierający zawstydzającą ilość pustych butelek po winie, który znowu zapomnieliśmy wystawić do opróżnienia, kalosze z Tomkiem i przyjaciółmi - nienadające się do noszenia z powodu psiej kupy na lewym bucie, pudełko śniadaniowe Danny'ego, stare kurtki i cztery połamane parasolki. W pokoju czasami udaje się przez kilka godzin utrzymać porządek, ale w korytarzu nigdy. Gdy brakuje innych pretekstów do małostkowych sprzeczek, zawsze można wypomnieć Korytarz Chaosu. Naturalnie Tomowi nawet przez myśl by nie przeszło, aby posprzątać go własnoręcznie. Zbyt ciężko pracuje. Ja wszak mam pracę na pół etatu. No i jestem kobietą. Matką trzylatka. Powinnam być bardziej zorganizowana oraz poznawczo dostosowana do domowego rytmu, podczas gdy jego umysł musi być oszczędzany do ważniejszych celów, takich jak składki emerytalne, kredyt za dom oraz najnowszy odcinek „Prawa ulicy”.

Słyszę szczekanie małego psa. Moja zboląła dusza odszczekuje. No nie. Z oporem uchylam drzwi do kuchni. Oto i on. Teddy, najbardziej nieznośny, rozpieszczony i irytujący pies na świecie, szczekliwy, zgryźliwy jack russel terier w błękitnej obroży, wysadzonej kryształami. Jest też Rona, moja teściowa, jak zwykle nieskazitelna i odprasowana, na tle bałaganu w kuchni wygląda niczym elegancka biała koperta na szczycie stosu starych podartych gazet. Rona jest wzorem kobiety i gospodyni. Jej dom, korytarz, życie lśnią czystością. Talent do sprzątania ma w genach, podobnie jak do pieczenia ciast, prania ręcznego delikatnych tkanin, wysyłania co roku dwustu czterdziestu siedmiu kartek bożo-

narodzeniowych oraz urządzania przyjęć dla współpracowników męża, które wydawała regularnie, zanim Ted przeszedł na emeryturę. Rona nie wierzy w emigrację, opiekę społeczną ani kobiety na stanowiskach. Ona wierzy w papierowe ręczniki.

Siedzi sztywno za kuchennym stołem, starannie unikając dotykania lepkich powierzchni. Nogi odziane w beżowe spodnie - uwielbia markowe beżowe spodnie z materiału - skrzyżowała pod stołem, starannie wypielegnowane dłonie o paznokciach pociągniętych bezbarwnym lakierem złożyła na podłokiu. Patrząc na elegancki profil zadbanej sześćdziesięcioletniej kobiety: lekka opalenizna, nabyta podczas gry w tenisa, popielatoblond włosy, jak zawsze nienagannie ułożone. Moja teściowa wygląda, jakby grała w reklamie suplementu diety dla kobiet w okresie menopauzy albo luksusowego gatunku muesli. Z roku na rok jej witalność wzrasta, tymczasem Ted, ojciec Toma, niknie w oczach. Większość życia mija mu na grze w golfa na polach Hampshire, udaje starcze roztargnienie, aby wykręcić się od małżeńskich obowiązków. Rona woli spędzać czas w kensingtonskim pied-à-terre, który kupiła za pieniądze z emerytury Teda. Coraz częściej wpada z niezapowiedzianą wizytą do nas. „Widzę, Sadie, że przyda ci się pomoc” - mówi i hojnie obdarowuje mnie dobrymi radami na temat prowadzenia domu. Odkąd przestał mnie przed nią chronić bezmiar Oceanu Atlantyckiego, przychodzi o wiele za często. Nie kryjąc swojego rozczarowania moją osobą.

Od początku za mną nie przepadała. Swoim pojawieniem się w życiu Toma przerwałam jego związek z dziewczyną o nazwisku Lucinda Lawn, panną z dobrego domu, sąsiadką Harrisonów z Hampshire. Była to dziewczyna blondwłosa, śliczna, elegancka, o smukłej sylwetce i wielkich brązowych oczkach jelonka Bambi. Miała odpowiednią, niezbyt wymagającą pracę w londyńskim domu aukcyjnym oraz nieudolnie skrywaną ambicję, aby jak najprędzej wyjść za mąż za mężczyznę, w którym podkochiwała się od czasów szkolnych, po czym zrezygnować z zawodu, by nianńczyć jego dzieci. Rona uwielbiała Lucindę. Panna Lawn była ucieleśnieniem jej marzeń o idealnej synowej. Niestety, zjawiałam się ja i świetlana przyszłość Toma legła w gruzach.

Piękna Lucinda oraz Rona bardzo cierpiały. Ich samopoczucie nie poprawiło oczywiście moje zajście w ciążę po kilku miesiącach znajomości z Tomem ani nasza przeprowadzka do Toronto. Ronę dodatkowo zaś mierzi fakt, iż jestem typem kobiety, która nigdy w życiu nie posprzątała za lodówką i nigdy tego nie robi.

- Pozwoliłam sobie wejść. Chyba nie masz nic przeciwko temu, Sadie?

Teddy podskakuje, wachając zachłannie moje krocze. Zaciskam zęby, powstrzymując się przed wymierzeniem mu lekkiego kuksańca. Rona dostałaby palpacji serca. Dopuszcza klapsy w przypadku niezdyscyplinowanych dzieci, ale nie psychopatycznych psów.

- Leżeć, Teddy! Przyszłam po zakupy, które zostawiłam u was dwa dni temu. Torby od Harrodsa... - przerywa nagle. Wpatruje się we mnie z przerażeniem, zakrywa dłonią usta. - Dobry Boże, co ty sobie zrobiła z twarzą?

- Och, nic takiego? - Dotykam bolącego czoła. - Uderzyła mnie gałąź popchnięta wiatrem. Znalazłam się w złym miejscu o nieodpowiedniej porze, w samym środku burzy.

- I stąd ta rana? - pyta z powątpiewaniem. Mruży oczy, mierząc mnie podejrzliwym wzrokiem. Czyżby myślała, że potłukłam się, zakładając na głowę słupki drogowe i zataczając po ulicach, wypiwszy zbyt dużo piwa? - Cóż, szkoda, że nie uderzyłaś się w jakieś bardziej dyskretne miejsce, za linią włosów. Czegoś tu nie rozumiem, moja droga. Nie powinnaś przypadkiem być z Dannym na lekcji pływania? Jestem pewna, że Tom wspominał o lekcji pływania, kiedy rozmawiałam z nim przez telefon.

- Dziś on zabrał Danny'ego. Ja poszłam na spacer do parku.

- Sama?

- Potrzebowałam przerwy.

- Przerwy? Od rodziny? - Widzę, jak drżą jej kąciki ust. - Rozumiem.

Postanawiam ją zignorować, wstawiam wodę. Może sobie pójdzie.

- Herbaty?

- Jeżeli masz świeże mleko. - Chrząka. - Czy ta kobieta, Trish, nadal zajmuje się Dannym?

Ma na myśli uroczą pięćdziesięciolatkę z Indii Zachodnich, która zostawiła w ojczyźnie dwoje własnych dzieci, przyjeżdżając do Anglii. Pomaga nam, kiedy Danny wychodzi z przedszkola, a ja i Tom jeszcze pracujemy.

- Tak. Od czasu do czasu.

- Jak na takie małe dziecko, zajmuje się nim zbyt wiele osób, nie uważasz?

- Nie uważam, mnóstwo dzieci spędza o wiele więcej czasu pod opieką obcych - odpowiadam dziarsko, nie pozwalając się wpędzić w poczucie winy. - Pracuję tylko na pół etatu, Rono.

- Masz rację. Od moich czasów wiele się zmieniło.

„Moje czasy”, oczywiście nic się do nich nie umywa. Biedne cierpiące rodziny współczesnych kobiet.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby oddać takie małe dziecko do przedszkola. Wtedy się tego po prostu nie praktykowało. - Prostuje się na krześle, poprawia jedwabną apaszkę w geometryczne wzory. Często nosi apaszki. Ukrywają szyć, która najbardziej zdradza wiek. Ponownie chrząka znacząco. - Słyszałam o wczorajszej katastrofie towarzyskiej. Cała ta historia brzmi dość dziwnie. Tom mówił, że ktoś cię zamknął w jakimś mieszkaniu.

- W mieszkaniu doktora Prenwooda, zgadza się. - Wrzucam do dzbanka dwie torebki earl greya.

- Doktora Prenwooda? - Na policzkach Rony pojawia się lekki rumieniec. Wolałaby udawać, że pierwszy raz słyszy to nazwisko, a woskową gładkość cery zawdzięcza maseczkom z witaminą C, tymczasem kłamstwo nie miałoby sensu, ponieważ sama dawałam jej numer do Prenwooda, o który poprosiła, dowiedziawszy się o jego profesji. Obie wiemy, że późny rozkwit urody zawdzięcza sztucz-

nemu wspomaganie. Na podobieństwo szklarniowych gerberów. Strzepuje z kolana niewidzialny pyłek, milknie na chwilę. - Właściwie cieszę się, że jesteś, kochana Sadie. Chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

- Ach tak? - Przewiduję kłopoty.

Teddy wskakuje na kolana Rony, a ona bierze go na ręce i pozwala się lizać po twarzy.

- Nie chciałam się wtrącać, ale..

O-o. Podaję jej królewskiego herbatnika. Uwielbia je, chyba ze względu na nazwę.

- Choć czynię to niechętnie, jednak czuję się w obowiązku jakoś ustosunkować. Ach, twój ulubiony herbatniczek, Teddy. - Wącha herbatę, sprawdzając świeżość mleka, po czym moczy ciastko. - Boże mój, czytałam straszliwy artykuł w „Daily Mail” o pięciolatce, która udusiła się ciastkiem. Powinnaś zawsze być przy Danny’em, kiedy je.

- Tak.

Rona przepada za sensacyjnymi historyjkami o domowych wypadkach. Potwierdzają jej wewnętrzne przekonanie, iż znajdujemy się o włos od katastrofy.

- Przejdę zatem od razu do rzeczy - przerywa, poprawia apaszkę. - Miałam już czas poznać cię nieco lepiej od waszego powrotu z Toronto, z czego się niezmiernie cieszę. Obserwowałam, jak funkcjonujecie jako rodzina, co było... - chrząka, znowu poprawia apaszkę - ...ciekawym doświadczeniem. Niepokoi mnie jednak kilka spraw.

- Nie rozumiem. - Zalewa mnie fala gorąca.

Delikatnie usuwa okruszki, które zebrały się w kącikach uszminekowanych ust.

- Wybacz, to ciastko jest lekko zwiędłe. - Podaje niezjedzony kawałek psu, który pochłania go, mlaszcząc głośno i obśliniając jej całą rękę. - Powiem wprost, gdyż wiem, że docenisz moją szczerość. Wasze małżeństwo przechodzi kryzys. Straszliwie się martwię - nie śpię po nocach, co fatalnie odbija się na mojej cerze - martwię się o Danny’ego. O to, w jakim otoczeniu dorasta.

- Martwisz się o Danny’ego? Ależ Danny miewa się świetnie - odpowiadam, krzyżując ręce na piersiach. Jestem wściekła na Toma, choć teoretycznie nie ma nic wspólnego z całą tą sytuacją. Wiem jednak, że usprawiedliwiłoby zachowanie Rony. Jego lojalność wobec matki pozostaje niewzruszona, nie wpływają na nią żadne fakty w rodzaju ewidentnych zaburzeń osobowości tej strasznej kobiety. Mój mąż przy każdej okazji przypomina mi, iż dobrowolnie zgodziłam się na pakt o nieagresji w stosunku do jego matki. Od pierwszego spotkania było jasne, że nasze osobowości będą się ze sobą mocno ścierać. Jej pierwsze słowa do mnie brzmiały: „O matko, brunetka! Tom woli blondynki, Sandro. Masz na imię Sandra, prawda?”.

- Nie krytykuję cię, nie przybieraj postawy obronnej. Bóg pobłogosławił mnie idealnym małżeństwem, ale przecież i ja musiałam włożyć nieco wysiłku, aby funkcjonowało, tak jak funkcjonuje. Małżeństwo bywa trudne, zwłaszcza kiedy pojawia się dziecko.

- Z całym szacunkiem, Rono. Nie sędzę, aby to była twoja sprawa.

- Toteż zmagalam się sama ze sobą, nim zdecydowałam się poruszyć ten temat. - Wzdycha. - Wolałabym udawać, że wszystko jest w najlepszym w porządku, poświęcając prawdę na rzecz dobrych relacji rodzinnych. Ale to byłoby tchórzostwo. Ponieważ kiedy w grę wchodzi dobro mojego syna i wnuka, sprawa jak najbardziej mnie dotyczy. Te kwiaty, którymi się bawisz...

- Jestem florystką!

- ...nie zastąpią... - przerywa i patrzy na mnie znacząco - ...wiesz czego.

- Posłuchaj mnie uważnie, Rono - zaczynam miękkim głosem, wypracowanym specjalnie do rozmów z nią. Chcę wypowiedzieć swoje zdanie szybko i bezboleśnie, po czym chyłkiem wycofać się z rozmowy. Moja teściowa jest jak nieuleczalna choroba, nie można się jej pozbyć, można jedynie spróbować łagodzić objawy. - Doceniam twoją troskę... - Jak cholera. - ...ale Tom i ja dajemy sobie doskonale radę, naprawdę. Rzeczywiście ostatnie miesiące były trudne. On ciężko pracuje. Musieliśmy się odnaleźć na nowo w Londynie. Przeżywamy drobne trudności aklimatyzacyjne. Często działamy pod presją czasu, mamy mnóstwo zajęć. Ale takie jest życie. Wszystko z nami w porządku. - Wcale tak nie myślę, ale ostatnia osoba, której zwierzyłam się ze swoich rozterek, to właśnie Rona. Jej słowa dotknęły mnie do żywego. Powtarzam sobie regularnie, że nie powinnam w ogóle liczyć się z jej zdaniem, ale nie potrafię nabrać dystansu. Ma nade mną jakąś potworną władzę, spotęgowaną przez świadomość, iż jesteśmy na siebie skazane na wieki ze względu na Toma, Danny'ego, połączone łańcuchy genetyczne.

- Nie mam zamiaru chodzić wokół ciebie na paluszkach, jak cała reszta, i udawać, że wszystko jest świetnie, kiedy wcale tak nie jest - oznajmia, głaszcząc psa za uchem. - Na pewno byś tego nie chciała.

- Rona...

- Dlatego powiem szczerze, co myślę. Tak, masz za sobą trudny rok, lecz nie usprawiedliwia to bynajmniej twojej niechęci do wejścia w rolę wspierającej żony.

- Przepraszam bardzo!

Teddy zerka na mnie wrogo jednym ślepiem.

- Bardzo cię proszę, Sadie... Wiesz przecież, że Teddy nie toleruje gwałtownego podniesionego głosu. - Spokojnie sięga do torebki po pudełeczko z wazeliną do ust. - Popatrz na mnie i Teda, skarbie. Niedługo świętujemy trzydziestopięciolecie małżeństwa. Ale to wymaga poświęcenia, nie można się ślizgać po powierzchni. - Pociera wargi jedna o drugą. - Życie to nie bukiet róż.

Co takiego? Bukiet... Myślę o swojej własnej mamie. Uroczej, kochanej mamie, która kochała róże, szczególnie pewien stary gatunek o różowych płatkach, kwiaty zajmowały zawsze honorowe miejsce na stole przykrytym białym obrusem, zastawionym wypiekami. Układała je w ulubionym wazonie przypominającym szklaną kulę dla rybek, na jego dnie znajdowały się błękitne jak ocean krysz-

tały. Mama uwielbiała piec ciasta i była w tym rozczulająco nieudolna. Wiecznie myliła smaki. Ciasto czekoladowe miało aromat kawy, kawowe smakowało melasą. Kiedy już człowiek zaakceptował rozbieżność między oczekiwaniami a rzeczywistością, słodkości okazywały się naprawdę przepyszne. Potwornie za nią tęsknię.

Rona mruży oczy, eksponując kurze łapki, podkreślone smugami fluidu.

- Tom zmarnował już zbyt wiele czasu, Sadie. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, jak trudno matce przyglądać się dziecku w takiej sytuacji. A teraz wreszcie nadeszła jego chwila.

- Nigdy nie był bezrobotny. - Nadmierna presja sukcesu napełniła go zwątpieniem we własne siły i wywołała przejściowy bunt przeciwko robieniu kariery. - Wydaje mi się, że zbyt surowo go osądzasz, Rono.

- Nie rozumiesz, Sadie. Ted i ja... - wzdycha - ...wydaliśmy majątek na jego wykształcenie. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc mu odnaleźć się w City lub jakimkolwiek innym miejscu, godnym jego niewątpliwego talentu. Tymczasem wylądował w branży reklamowej... - Krzywi się. - I to w Toronto.

Mimo nadludzkiego wysiłku nie udaje mi się powstrzymać uśmiechu. Dla mojej teściowej Kanada jest wioską zabita deskami.

- Nie ma się z czego śmiać! W tym kluczowym dla niego momencie życia Tom potrzebuje żony, która byłaby gotowa przedłożyć jego potrzeby nad własne. Teraz jest jego czas, Sadie. A ponieważ jesteście rodziną, powinnaś zrozumieć, iż sukces męża to także twój sukces. - Milknie na chwilę, patrzy na mnie krytycznie. - Poglądy feministyczne prowadzą co najwyżej do sądu rodzinnego, Sadie. Po zastanowieniu z pewnością przyznasz mi rację. - Wstaje i zakłada na ramię oliwkową torebkę Smythson Nancy. - Wybacz, ale okropnie zaniedbałaś swój wygląd, skarbie. - Uśmiecha się zimno. - Nie jesteś już w kanadyjskich górach.

Ta kobieta żywi przekonanie, że pod cienką maską uprzejmości i ogłady Kanadyjczyków kryje się mentalność chłopów od kosy.

- Wyglądasz, jakbyś zbierała kwiaty na polu, a nie zajmowała się ich układaniem. Co się stało ze śliczną dziewczyną z tego zdjęcia! - Wskazuje fotografię wiszącą na ścianie.

Jest to jedna z moich ulubionych fotografii, przedstawiająca mnie i Toma w Positano, podczas naszego włoskiego miesiąca miodowego. Tom - opalony, uroczo roztrzepany, szczęśliwy, promienny i nasycony miłością, obejmuje mnie opiekuńczo ramieniem w talii. Ja sama szczerzę zęby jak idiotka, mam na sobie śliczną srebrno-zieloną sukienkę z wysokim stanem, eksponującą wydatny już brzusek, i obfitą powiewną spódnicą. Czułam się świetnie w tej sukience i nie wyglądałam jak żona misjonarza. Wrzesień, trzy lata temu. Wydaje się, że minęły wieki.

- A dom? Masz śliczny dom, który jednak sprawia wrażenie, jakby gospodyni nie miała pojęcia o sprzątaniu, a jej wyobrażenie o robieniu porządków sprowadzało się do strzepnięcia okruchów ze stołu na podłogę.

Zaczynam podejrzewać teściową o zdolność jasnowidzenia.

- Teddy lepiej by sobie poradził. Nie masz sprzątaczkę? Może niech przychodzi częściej.

- Złożyła wymówienie miesiąc temu. - Wstydzę się przyznać, że zrezygnowała, podając za powód „nierealne wymagania i złe warunki pracy”. Nie dałam się zwariować, jak większość Brytyjek, które sprzątają przed przyjściem sprzątaczkę. Nie zamierzam także zachowywać się jak własna matka. Ona robiła za ojca dosłownie wszystko: gotowała, kupowała mu bieliznę, przypominała o urodzinach jego matki... I nienawidziła tego. Nazywała się żartobliwie „feministką mądrą po szkodzie”. Tłumaczyła mi z błyskiem w orzechowych oczach: „Sadie, im więcej robisz dla męża, tym mniej on sam robi. Popatrz na swojego ojca, w domu jest kompletnie niepełnosprawny. Popsułam go”. Wpatrywałyśmy się w tatę wycinającego sobie przed lustrem włosy z nosa i kręciliśmy głowami. „Rozwiodłabym się z nim już dawno, gdybym go tak nie kochała” - wzdychała. Niezmiennie radziła mi zajmować się własną karierą, nie przejmować się ogłupiającymi obowiązkami domowymi. „Nie popełniaj moich błędów”. I nie popełniam.

Rona kręci głową.

- Tom uwielbia twoją kreatywność i dziwactwa. Ale czy musisz być przy tym tak niechlujna?

Rozglądam się wokół. Przyznaję, nie mam idealnego porządku. Na stole piętrzą się stosy starych gazet, toster zniknął pod nawilżanymi chusteczkami dla dzieci, pod nogami płaczą się resztki jedzenia. Ale za to na stole stoi bukiet świeżych kwiatów, tym razem pachnące latem żółciutkie frezje.

- Czy to naprawdę takie trudne, moja droga?

„Tak, bardzo trudne!” - mam ochotę odkrzyknąć. Obowiązki związane z powrotem do zawodu i prowadzeniem domu nie powinny być tak cholernie trudne, tymczasem ich pogodzenie graniczy czasem z cudem. Zagryzam wargi do krwi.

- Weź się w garść. Nie jesteś jedyną kobietą na świecie, która straciła... - przerywa z wahaniem. Pozwala, żebym sama dopowiedziała sobie resztę.

- Idź już, Rono. - Jestem tak wściekła, że z trudem cedzę słowa. Pakt o nieagresji lada chwila może zostać gwałtownie złamany.

- Wszystko, co powiedziałam, zostało podyktowane wyłącznie troską o ciebie. Gdzie są te moje torby z zakupami? Ach, doskonale. Cóż, miło się gawędziło. Mam nadzieję, że cię nie uraziłam. Miałam dobre intencje. Chodź, Teddy.

Pies zeskakuje z jej kolan i natychmiast zaczyna wachać moje krocze. Rona bierze go na ręce, przedziera się przez bałagan w korytarzu. Tuż za progiem posyła mi ostatni cios poniżej pasa.

- Ja się najzwyczajniej martwię, że jeśli nie opamiętasz się w porę, możesz wszystko stracić. Nie potrafiłabym spojrzeć w lustro ze świadomością, że mogłam cię ostrzec, a nie uczyniłam tego w porę. - Dotyka lekko mojego ramienia, Teddy warczy. - Dzwon, gdybyś czegokolwiek potrzebowała. Czegokolwiek, co pomoże ci stanąć na nogi.

4

Ocieram łzy chusteczką, wściekłość już minęła, teraz czuję się słaba i zmęczona. Słowa Rony brzęczą mi w głowie niczym muchy uwięzione w słoiku. Słyszę trzask drzwi frontowych.

- Mama! - krzyczy Danny, pędząc przez korytarz. Ma na sobie bluzę w czerwono-czarne paski i okulary do nurkowania. Całuję go na powitanie. Pachnie deszczem i słodyczami. Dotyka lepkiem paluszkiem mojego czoła. - Mama ma kuku.

- Bardzo malutkie. Wcale nie boli. Jak się dziś pływało?

- Woda w nosie - prycha.

Tom jest naburmuszony, a jego ubranie pomięte. Koszulka nosi na sobie wyraźne ślady soku porzeczkowego. Sprawia wrażenie człowieka, który stoczył bój z energicznym trzylatkiem i poniósł klęskę.

- Cholera. Co ci się stało w głowę?

- Złapała mnie... - przerywam niepewnie. Właściwie nie wiem, co się stało, nic już nie wiem. Wszystko wydaje się jakieś nierealne, jakby nigdy nie miało miejsca. Wichura, ulewa, elegancka starsza pani, która udzieliła mi pomocy, wizyta Rony. - Dziwaczna i gwałtowna przelotna burza. - Nie wiem czemu, lecz nie mam ochoty wdawać się w szczegóły. Odczuwam opór przed wyjawieniem mu, że straciłam przytomność. Obawiam się, że zostanę potraktowana jak kula u nogi.

- Aha. Słyszałem w radiu ostrzeżenia synoptyków. - Czy to z przyzwyczajenia, czy też poruszony widokiem siniaka na mojej głowie, całuje mnie w czoło.

Pozwalam sobie na chwilę oprzeć głowę na jego ramieniu. Mój wypadek ułatwia nam porozumienie, wchodzimy w swoje pierwotne role męża i żony; on Tarzan, ja Jane. Przystajemy się wściekać na siebie nawzajem, że dom nieposprzątny, udowodniać, kto jest bardziej zmęczony, albo rozpętywać burzę wokół faktu, iż wolę poczytać gazetę, niż wysłuchiwać, jak minął mu dzień w pracy. Bo jestem zmęczona, czytanie jest formą ucieczki, a Tom ucieleśnieniem wszystkiego, przed czym próbuję uciec. Na przykład moich nieudolnych wysiłków dołączenia do grona korporacyjnych żon. Oraz zapchanego odpływu w brodziku prysznic. A także gryzącego niepokoju, że Rona może mieć rację i moje życie legnie w gruzach.

- Przygotuję kolację dla Danny'ego.

- Nakarmiony i napojony - oświadcza z dumą Tom. Można by pomyśleć, że właśnie podbił cały kontynent, a nie wykonał prostą czynność, którą ja wykonuję codziennie bez komentarzy. - Zabrałem go do lokalu.

- Świetnie - chwaleb go, choć daleko mi do zadowolenia. W naszym niepisanym kodeksie małżeńskim Tom jest teraz górą. Udowodnił już swą przydatność, więc prawdopodobnie przez resztę wieczoru będzie spoczywał na laurach, podczas gdy ja powinnam się odwdzięczyć, wykonując jakąś niewdzięczną pracę w rodzaju załadowania i rozładowania zmywarki, rozwieszenia prania albo, co gorsza, odwlekanego od roku sprzątania kredensu. W tym zapuszczonym pomieszczeniu piętrzą się brudne opakowania po płynach do prania, pogięte papierowe talerze, które „mogą się kiedyś przydać”, oraz puszki z fasolką szparagową, które nigdy nie zostaną otwarte. Nawet bez mojej nieszczęsnej wpadki na przyjęciu Tom i tak zaczyna tydzień z dużą taktyczną przewagą.

- Gdzie jedliście?

Tom posyła Danny'emu ostrzegawcze spojrzenie.

- W McDonalddie - oświadcza radośnie nasz synek.

- Tom!

- Było najbliżej...

- Dostałem samochódzik za darmo! - piszczy Danny.

Gdybym to ja zabrała Danny'ego w takie miejsce, Rona zgłosiłaby mnie do opieki społecznej jako wyrodną matkę. Nie, ja muszę stosować mniej popularne rozwiązania: warzywa i owoce oraz śmierdzące kapsułki z tranem, przemywane w ekologicznych jogurtach.

- Minałeś się ze swoją matką. Wpadła po torby z zakupami, które zostawiła u nas parę dni temu - informuję lakonicznie, nie mając zamiaru wdawać się w szczegóły nieprzyjemnej rozmowy w obecności Danny'ego. W ogóle nie mam ochoty o tym mówić. Tom krzywi się nieznacznie, co sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy wie, po co naprawdę przyszła Rona.

- W temacie rodziców: telefonował twój staruszek. - Potrząsa głową, strząsając krople deszczu z ciemnych falujących włosów. O wiele lepiej wygląda z potarganymi chłopciami lokami niż z ulizaną urzędową fryzurą, którą nosi od niedawna. - Ma do przekazania jakieś ważne wieści. Chce to zrobić osobiście. Brzmiał niezwykle radośnie - dodał, podnosząc do góry brew.

- Widocznie służy mu romans z czterdziestoczworoletką. W niecały rok po śmierci mamy. - Zawsze, kiedy o tym myślę, podnosi mi się ciśnienie. W moich oczach ojciec, wiążąc się z Loretą, dopuścił się zdrady wobec mamy, po wielu latach małżeństwa. A zdradzając ją, zdradził także mnie. - Gdzie są nasze zakochane gołąbki? W Miami? Marbelli? Na Marsie?

- W Cancun.

- Niech sobie tam zostaną.

- Dziadzia i Loretta przychodzą? - pyta z nadzieją Danny, który uwielbia nową narzeczoną taty.

- Nie dziś, słoneczko. Dziadek znów pojechał na wakacje.

- Aha. - Danny rzuca się z piskiem na moje nogi, stawia stópki na moich butach, chwytając rączkami za dzinsy. - Ty będziesz potworem, jak dziadek. Idziemy na spacer, mamusiu potworze! - krzyczy.

Ruszam przed siebie z przyczepionym do moich nóg dzieckiem, zadowolona, że udało mi się uniknąć konfrontacji z Tomem.

- Mama potwór, mama potwór - chichocze Danny. - Spacer.

Wtaczamy się do dzieciennego pokoju, gdzie utulam go do snu i czytam po raz setny ulubioną bajkę. Wyłączam lampkę, siedzę przez jakiś czas na brzegu małego łóżeczka, gładząc synka po jego ślicznych czekoladowych lokach. Kocham go całym sercem, tej miłości nie da się nawet porównać z tym, co czuję do Toma. Czyżbym odkochała się w mężu i zakochała w synu? Może jestem nienormalna? Po chwili oczy Danny'ego stają się okrągłe i odległe, jak planety. Powoli opuszcza powieki, próbując jeszcze walczyć ze snem. Przegrywa po kilku sekundach, zaczyna lekko pochrapywać, całuję go i wychodzę, zamykając za sobą cicho drzwi. Wracam na dół, do męża.

- Lepiej dla Danny'ego byłoby, gdyby nauczył się zasypiać sam, kochanie - mruczy Tom, powtarzając słowa swojej matki. Leży na naszej nowej zielonej kanapie, siadam obok, a on nieznacznie się odsuwa. Przypominamy zwierzęta walczące o terytorium w zbyt ciasnej klatce.

Usiadłam na czymś twardym, sięgam pod poduszkę i wydaję zabawkowy wóz strażacki. Przy okazji znajduję niebieską skarpetkę oraz papierka od cukierka. Zgadza się, jest bałagan. Tom na pewno nie posprząta, gdyż zajmował się dziś Danny. Ja nie mam ochoty, ponieważ to nie moja kanapa. Po powrocie z Toronto nie mogłam się doczekać, kiedy znów zobaczę starą kwiecistą sofę z panińskiego mieszkania. Był to zabytkowy mebel, wcześniej należący do mamy, noszący na sobie ślady pazurów dawno nieżyjących kotów. Danny mógłby na niej swobodnie szaleć, a ja nie musiałabym się obawiać, że ją zniszczy. Tymczasem Tom wolał coś bardziej reprezentacyjnego, pasującego do naszej nowej sytuacji finansowej. No i musimy siedzieć na twardym nowoczesnym siedzisku, podczas gdy moja ukochana stara kanapa od George'a Smitha porasta pajęczynami w przechowalni, razem z odciętymi częściami mojej osobowości.

- Czytałaś przecież poradniki. To wyrabianie złych nawyków. - Tom przesuwa stopę w pasiastej błękitnej skarpetce od Marksa & Spencera, której widok doprowadza mnie do szału. W tej jednej małej części garderoby dopatruję się symbolu kryzysu naszego związku. Bawełniany, wyjątkowo mało seksowny symbol przepaści między romanssem a małżeństwem. Boże, jakże ja nienawidzę tej skarpetki. Nienawidzę jej z taką mocą, że za chwilę owa skarpetka zacznie odwzajemniać moje uczucie.

- Twoja matka... - przerywam. Słowa więzną mi w gardle.

- Tak? - widząc jego pełną poczucia winy minę, nabieram przekonania, iż wie, co powiedziała

Rona.

- Zaatakowała mnie. Powiedziała...

- Do diabła - krzywi się Tom. - Skarbie, oboje wiemy, jaka jest moja matka. Nie bierz sobie do serca niczego, co od niej usłyszysz. Ma dobre intencje, choć czasem trudno w to uwierzyć.

Obejmuje mnie ramieniem w geście nawykowego wsparcia, głównie po to, żeby mnie uciszyć. Milknę więc. Brakuje mi ochoty oraz energii do dyskusji. Wtulam się w jego wypukłą klatkę piersiową, słyszę bicie serca, przypominające echo z głębi jaskini. Zawsze mu mówiłam, że gdybym miała go porównać do budynku, byłaby to wiktoriańska stacja kolejowa, pełna łuków i belek. On natomiast porównał mnie do szklarni: kruchej, o ostrych kątach, pełnej światła i kwiatów.

Podoba mi się mocna, solidna budowa Toma. I jego zapach. Porzucałam całkiem miłych facetów tylko dlatego, że dziwnie pachnieli. Nawet najdroższa woda po goleniu nie jest w stanie zamaskować naturalnego zapachu mężczyzny. Na początku ostrożnie podchodziłam do znajomości z Tomem, wydawał mi się zbyt pewny siebie i zanadto przystojny jak dla mnie z tymi swoimi przejrzyste błękitnymi oczami oraz uroczo roztrzepanymi ciemnymi włosami. To zapach jego skóry - zaskakujący, organiczny, niemal leśny - sprawił, że straciłam jasność myślenia. Uznałam, że mężczyzna o tak wspaniałym zapachu z całą pewnością odznacza się niebywałymi przymiotami ducha i polotem skrywanym umiejętnie pod fasadą sztywniaka. Uwierzyłam, iż choć różni się znacznie pod wieloma względami, trzony naszych osobowości są jednakowe, a nasze korzenie splatają się ze sobą. Nie ukrywam: uwielbiałam przede wszystkim figlarny błysk w jego oczach, kiedy myślał o seksie. Oszalałam na punkcie tego mężczyzny.

Jeśli wierzyć zapewnieniom Toma, on od pierwszej chwili wiedział, że jestem tą jedyną i podjął decyzję w momencie, kiedy mnie zobaczył na weselu Lary. Spędzał wieczór przy stoliku w towarzystwie swej nieśmiałej narzeczonej, uroczej Lucindy Lawn, obserwując moje szaleństwa na parkiecie. Balowałam boso (buty mnie cisnęły), z potarganymi włosami, wybuchając co chwila głośnym śmiechem (przesadziłam z szampanem). Już wtedy wiedział, że się ze mną ożeni. To było jak olśnienie, mówił. Następnego dnia rano zerwał ze śliczną miłą Lucindą i zaczął nękać mnie telefonami z prośbą o spotkanie. Nie miałam siły oponować zbyt długo, kac mnie wykańczał.

Nie żywiłam nadziei na trwały związek, uważałam go za podrywacza. Irytowało mnie jego powodzenie u kobiet. Owszem, podobał mi się, ale miał zbyt bogatą przeszłość. W przeciwieństwie do mnie. Moje doświadczenie ograniczało się do dwóch poważnych związków, przedzielonych długimi okresami bardzo intensywnej samotności. Tom miał natomiast tak wiele bardziej lub mniej zobowiązujących znajomości z kobietami, że na większości przyjęć spotykał przynajmniej kilka swoich kochanek. Bóg raczy wiedzieć, jak sobie z tym radziła biedna Lucinda. Czarujący, przystojny, emanujący chłopięcą energią - kobiety kochały go wbrew sobie. Nie potrafiłam zrozumieć, czemu wybrał właśnie mnie.

- Racja, nie jesteś w moim typie, Sadie - powiedział któregoś z tych pięknych przepelnionych seksem dni na początku znajomości, podciągając mój sweter i całując mnie po brzuchu. - Zwykle pociągają mnie eteryczne blondynki, a ty jesteś szurniętą brunetką. Nie mam pojęcia, co się ze mną stało. Wiem tylko, że cię kocham do szaleństwa. Głęboko i prawdziwie. Chcę mieć z tobą dzieci, pragnę, żebyśmy spędzili razem życie.

Zaśmiałam się ze szczęścia, po czym podzieliłam się z nim swoją teorią na temat naszych splecionych korzeni. Rozbawiło go to, poklepał mnie po nagim pośladku i przyciągnął do siebie, nazywając swoją „rozpustną małą kwiaciarczką”. Od dawna tego nie robił.

Nie mam mu za złe, że nie nazywa mnie już „rozpustną”. Moja frywolność odeszła do lamusa po przyjściu na świat Danny'ego, kiedy to życie zaczęło się kręcić wokół odsypiania nieprzespanych nocy. Mała też nie jestem. Po porodzie przybyło mi kilka kilogramów. Trudno oczekiwać, że ktoś będzie nazywał „kwiaciarczką” trzydziestoczteroletnią babę. Niemniej jednak dręczy mnie myśl: czy to on się zmienił, czy ja? A może zmieniliśmy siebie nawzajem, małżeństwo okazało się dla nas czymś w rodzaju podgrzewanej klatki, w której uczucie zdeformowało się niczym ulubiona jedwabna bluzka, wrzucona nieopatrznie do suszarki.

Zaszłam w nieplanowaną ciążę po dziewięciu miesiącach znajomości. Pęknięty kondom w chwili namiętności na tylnym siedzeniu żółtego mini na parkingu samochodowym w New Forest. Zdarza się, wiecie? Pobraliśmy się wkrótce potem. Od tego czasu życie zaczęło przypominać diabelski młyn - wyjazd za granicę, narodziny dziecka, brak snu - ledwie mieliśmy czas na złapanie oddechu, nie myśleliśmy nawet o planowaniu wspólnych chwil, w każdym razie nie w sposób, w jaki skupiają się na tym inne pary, które spotykają się przez dwa czy trzy lata, nim wezmą ślub. Jestem przekonana, iż zupełnie inaczej wyglądałby związek Toma z Lucindą, gdyby udało jej się go zatrzymać i zaciągnąć do ołtarza.

Nagle ogarnia mnie obezwładniająca ochota, aby udowodnić Ronie, że się myli, i odnaleźć namiętność, która połączyła mnie z Tomem kilka lat wcześniej. Gładzę go po brzuchu, palce odnajdują znajomą ścieżkę między guzikami koszuli. Powinnam być odważniejsza, lecz wolę się trzymać ustalonej trasy, niż ryzykować, że nie wybrniemy poza grę wstępną, zanim wkroczy Danny. Ze smutkiem stwierdzam, iż era szybkich numerków na tylnym siedzeniu samochodu odeszła bezpowrotnie. Ponadto z zaskoczeniem uświadamiam sobie, że im dłużej jesteśmy małżeństwem, tym bardziej każde z nas zaczyna ulegać zahamowaniom. Znajomość partnera buduje mur nieśmiałości, a cegiełkami są wzajemne oczekiwania. Któregoś pięknego dnia pewnie odważę się zanurzyć palec w miejscu, gdzie słońce nie dochodzi, albo włożyć czarną skórzaną maskę, na razie wolę pozostać przy tym, co znam. Dlatego mierzwię dłonią gęste sztywne włosy na jego podbrzuszu, tuż nad intymnościami, które kiedyś, w szczęśliwszych czasach, ochrzciłam pieśczośliwym mianem „krzywej wieży”.

Zainspirowała mnie imponująca wielkość oraz tendencja do przechylenia w lewą stronę.

- Danny zasnął. Ostatnie kilka dni to był jakiś koszmar. Pogódźmy się.

Tom sztywnieje. W negatywnym znaczeniu tego słowa. Spina się i kaszle.

- Nie teraz, Sadie.

Odrzucenie rozpala mnie jeszcze bardziej. Częściowo składam to na karb potrzeby odreagowania po ciężkim dniu, a częściowo na fakt, że jestem w środku cyklu menstruacyjnego. W miesiącu są zaledwie trzy lub cztery noce, podczas których inicjuję współzycie i, o dziwo, są to te same noce, kiedy Tom nie chce mnie nawet tknąć, zadając kłam teoriom seksuologów na temat samców zachowujących się jak rozochoczone króliki, kiedy tylko poczują w pobliżu owulującą samicę.

- Ciii.

- Skarbie, jestem wykończony. Praca... Wycofuję się.

- Czy to dlatego, że się spóźniłam na przyjęcie? Tom zwraca na mnie zrezygnowane spojrzenie błękitnych oczu, ocienionych grubymi firankami rzęs.

- Nie bawmy się w analizy. Po prostu jestem zmęczony.

- Powinniśmy porozmawiać.

- Nie teraz, Sadie. Proszę. Jestem tak styрани, że z trudem myślę, a muszę się jeszcze przygotować na poniedziałkowe spotkanie.

Moje położenie przypomina jeden z tych lękowych koszmarów, w których im szybciej człowiek biegnie, tym dalej jest od upragnionego celu. Braciszek lub siostrzyczka Danny'ego nie pojawia się jeszcze nawet w planach i różnica wieku między nimi rośnie, podobnie jak przepaść dzieląca mnie od Toma.

- Ale...

- Proszę cię, nie komplikuj sytuacji jeszcze bardziej. - Odwraca wzrok. - Skoncentrujmy się na uzdrowieniu relacji, zanim podejmiemy decyzję o wzięciu na siebie odpowiedzialności za kolejnego człowieka. Na razie nie chcę kolejnego dziecka.

- Kto mówi o dzieciach? Chodzi o seks.

- Daj spokój, Sadie. - Nagle smutnieje. - Nie jestem idiotą.

- Dlaczego nie chcesz drugiego dziecka?

- Bo to nie jest dobry moment. Nie będzie, dopóki... - Przerywa. - Dopóki nie uporządkujemy pewnych spraw między nami.

Przybieram pozycję embrionalną, coś we mnie zaczyna cicho krzyczeć, zalewa pokój negatywną energią.

- Dlaczego nie teraz, do cholery? - pytam, usiłując nadać swojemu głosowi normalne brzmienie, ale na zewnątrz wychodzi coś w rodzaju mysiego pisku.

- Ponieważ... - Tom głaszcze mnie po szyi z przepaszającym uśmiechem, z rodzaju tych, jakimi pocieszali mnie byli narzeczeni, nim wypowiedzieli słowa pożegnania, poprzedzone wyjaśnieniem: „Kocham cię, ale nie jestem w tobie zakochany”. - Nie jesteśmy gotowi.

- Jesteśmy! - Dość mam kompromisów. Tego pierniczenia o demokracji w małżeństwie. Ja chcę być dyktatorką, choćby przez chwilę. Cel uświęca środki. Kiedy indziej popracujemy nad naszym związkiem.

- Twoja mama zmarła, jesteś jeszcze w żałobie.

- Znowu wyskakujesz z tym swoim pseudopsychologicznym bełkotem. Nie jesteś terapeutą. - Mój głos nie jest już piskliwy. O nie. Wstaję i spoglądam na niego z góry. Mój pogardliwy wzrok przesyła komunikat, że uważam swojego męża za najżałośniejszego palanta we wszechświecie, z którym nie chcę mieć nic wspólnego. A jego przyrodzenie przypomina bardziej orzeszek niż krzywą wieżę w Pizie.

- Cóż, skoro już o tym wspominasz... Może powinnaś się wybrać do jakiegoś specjalisty? W jednej chwili zachowujesz się jak zaćpana nastolatka...

- Słyszałaś kiedykolwiek o czymś takim jak zabawa? - Przecież taka mu się spodobałam: radośna i lekkomyślna. Zawsze sobie chwalił fakt, iż nie jestem jedną z tych dziewczyn, mających obsesję na punkcie swojej wagi, wyglądu, pieniędzy. Teraz to, co uważał za zaletę, usiłuje obrócić przeciwko mnie.

- Biorąc pod uwagę twój obecny stan umysłu, nazwałbym to raczej narkotyzowaniem się.

- Zachowujesz się jak jakiś cholerny świętoszkowaty kaznodzieja. Zmieniłeś się, Tom. Jesteś sztywniakiem.

- Błagam cię - mówi, zapinając guziki koszuli. - Jeżeli cię to drażni, nie powinnaś była za mnie wychodzić.

- Nie powinnam była - mówię, by natychmiast pożałować własnych słów. Wcale tak nie myślę, a w oczach Toma pojawia się ból. Natychmiast spuszcza wzrok, żeby go ukryć. Nienawidzi okazywać zranienia. Nigdy nie widziałam, żeby płakał. Teraz nie potrafię już cofnąć tego, co powiedziałam, a jakaś destrukcyjna część mojej osobowości draży jeszcze głębiej. - A ty nie powinienesz być żenić się ze mną, skoro potrzebujesz przeklętej żoneczki ze Stepford. Trzeba było iść do ołtarza z Lucindą Lawn! Wolałabym się powiesić, niż brylować na twoich firmowych przyjęciach.

- Przestań bredzić. - Jego policzki czerwienieją, a mieszki włosowe na twarzy robią się białe. To się zdarza tylko wtedy, kiedy jest o włos od wybuchu wściekłości.

Nie kłócimy się już o dziecko ani o niefortunne przyjęcie czy żony ze Stepford. Skaczemy sobie do gardeł z tysiąca różnych powodów, z niektórych nawet nie zdajemy sobie sprawy, a wszystkie one są jak ziarenka gorącego piasku, sypane w oczy.

Nagle chowa twarz w dłoniach.

- Jesteś na mnie taka wściekła, Sadie. Masz pretensje o pracę. Nie pojmuję twojego oporu przed wspieraniem mnie.

- Mówisz jak własna matka. Nazwij rzeczy po imieniu. Nie jestem dobrą żoną.

- Cóż... Skoro tak chcesz to nazwać...

- Zabawne. Nie zdawałam sobie sprawy, że wychodząc za ciebie, zobowiązałam się do bycia pełnoetatowym rusztowaniem. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku.

- A co jest niewłaściwego we wspieraniu męża? - Wygląda na autentycznie zagubionego.

- Tak jak to robią pozostałe korporacyjne żony?

- Czemu ich nie lubisz? Nie pojmuję. Mam wrażenie, że patrzysz na nie z wyższością.

Ratuję się pogardliwym prychnięciem. Gdybym miała odpowiedzieć szczerze, musiałabym przyznać, iż w istocie szykowne i zadbane korporacyjne żony w rodzaju Perfekcyjnej Pam wpędzają mnie w poczucie niższości, dlatego drzę przed nimi ze strachu. Duma nie pozwala mi wyznać prawdy, więc milczę.

- Nalegasz na kolejne dziecko. Chciałabyś przeprowadzić się na wieś, żeby spłodzić całą gromadkę, a przecież nie radzimy sobie najlepiej z tym jednym, które już mamy. Nie przemyślałaś swojej decyzji. Żyjesz w oderwaniu od rzeczywistości, w jakimś równoległym świecie, gdzie nie trzeba sobie zaprzętać głowy nudnymi drobiazgami, takimi jak rachunki, raty kredytów albo... - Zamyka oczy i naciska palcami powieki. - Od powrotu do Londynu balansujemy na krawędzi chaosu.

- Dobrowolnie zdecydowałaś się na pracę, która pochłania cię niemal bez reszty!

- Zdecydowałam się? Odbiło ci? Masz jakiegokolwiek pojęcie, jak wyglądają stosunki u mnie w biurze? Nie jesteśmy już w Toronto. To Londyn. Kłębowisko wystraszonych, nabuzowanych testosteronem drapieźników, gotowych skoczyć do gardła za najmniejszy przejaw słabości. A mężczyźni są jeszcze gorsi.

- Nie przesadzaj. Pracujesz w przeklętej agencji reklamowej, a nie na froncie wojennym.

- Nie obchodzi mnie twoje zdanie...

- Wiem o tym.

- Zależy mi na awansie, Sadie. Zależy mi jak cholera na stanowisku dyrektora. Po raz pierwszy mam szansę się wybić, zabezpieczyć nas finansowo. - Kręci głową. - Poza tym sama się upierasz, żeby nie rezygnować z pracy, chociaż nie potrzebujemy dodatkowych pieniędzy. Nie jesteś szczęśliwa, nie radzisz sobie. Popatrz na ten bałagan. - Milknie. - Spójrz na siebie.

- Na siebie? - Zapada przeraźliwa cisza. Zerkam na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. Oto ja. Sadie Hannah Drew, matka jedynaka, żona Toma Charlesa Harrisona z Kensal Rise, córka świętej pamięci Margot Drew oraz Johna Drew, aktualnie romansującego z niejaką Loretta Tracy Norris u wybrzeży Meksyku. Zgoda, wyglądam nieco niedbale w dżinsach, zabłoconych trampkach i starym kaszmirowym swetrze z plamą od czekolady na mankiecie. Czy to takie straszne? Czyżby koledzy

Toma myśleli w skrytości ducha: „Dzięki ci, Boże, że nie ożeniłem się z kimś takim jak Sadie Drew. Miła dziewczyna, ale niechlujna i absorbująca. Biedny Tom”.

Wycofuję się do kuchni, łykając łzy. Po raz kolejny poniosłam klęskę. Im częściej poruszam temat drugiego dziecka, tym okrutniejszy staje się Tom. Konflikt narasta, a im bardziej narasta, tym więcej argumentów znajduje się po jego stronie. Nie jesteśmy gotowi. Przeklęty paragraf 22. Nienawidzę jego racjonalizowania, niepoddawania się emocjom. Kogo obchodzi, że nie jest idealnie? Życie nie jest idealne! Mam być szczęśliwą wspierającą żonką, a odmawia mi jedynej rzeczy, na której mi naprawdę zależy: dziecka. Nie widzę wyjścia. Chowam pięści do kieszeni i opieram się o ścianę. Natrafiam dłonią na zwitek papieru. Co to takiego? Wyjmuję kremową wizytówkę z nazwiskiem Enid Fisher i jej adresem w eleganckiej dzielnicy St John's Wood. Zabawna starsza pani. Podchodzę do śmietnika, naciskam stopą pedał podnoszący klapę. Zamieram z dłonią nad koszem. Coś mnie powstrzymuje przed wyrzuceniem wizytówki.

5

Dotykam lekko siniaka na czole, przypominającego teraz małą żółtą chmurkę. Jadę na rynek w Covent Garden, niebo nad Vauxhall różowieje o świcie. Wybieram kwiaty na dziś, mnóstwo lilii, tulipanów i jaskrów, uzupełniam zapasy pianki oraz ozdobnych gałązek, pozdrawiam skinieniem Wayne'a, Doma i Nicka. Chłopców z Cockney, dzięki którym na rynku kwiatowym zawsze świeci słońce, nawet w najmroczniejszą godzinę tuż przed świtem, wiecznie uśmiechniętych i życzliwych. Prawdziwi mężczyźni. Uśmiecham się. Jestem w swoim świecie, w ulubionym zakamarku Londynu. Przypomina skrawek miasta zamknięty w szklanej kuli. Niby połączony z resztą, a jednak oddzielny. Posiadający własne zasady, rytm, zapachy. W domu mam problem z odgrzaniem gotowego posiłku w mikrofalówce, regularnym kupowaniem chleba i mleka. Tutaj zamieniam się w osobę punktualną i zorganizowaną. Nie muszę walczyć, aby utrzymać się na powierzchni. O dziewiątej ruszam w drogę na zachód.

Słyszę dźwięk klaksonu, jakiś facet puka się w łysą głowę i wrzeszczy:

- Rusz się, paniusiu! Zielone!

Naciskam pedał gazu, skręcam w samo serce St John's Wood. Upewniam się, że podjechałam pod właściwy numer domu. Wszystko się zgadza. Kurczę. Spodziewałam się, że Enid Fisher mieszka w rezydencji podzielonej na mieszkania lub domu przerobionym ze starej stajni, tymczasem dom pod wskazanym adresem jest wolno stojącą willą w stylu regencyjnym, pomalowaną na jasnoszary kolor, nieco przyblakłą, lecz nadal wspaniałą. Nieruchomość za milion funtów, prawdziwa gratka dla bogatego Rosjanina, który mógłby ją przerobić i przebudować, dodając basen oraz salę kinową. Zdobiona kwiatowymi ornamentami brama z czarnego kutego żelaza i siatka wysoka na osiem stóp porośnięta

lśniącem bluszczem. Wrota otwierają się powoli, od czasu do czasu się zacinając, aż wreszcie moim oczom ukazuje się żwirowy podjazd i ścieżka w tunelu wysokich ciemnozielonych krzewów, prowadząca ku ogromnym niebieskim drzwiom wejściowym. Zastanawiając się, kto mnie wpuścił, wysiadam z auta, by się rozejrzeć. Powietrze jest przesycone intensywnym zapachem lawendy. Zza żywopłotu dochodzi jakiś dźwięk, jakby ktoś pracował w ogrodzie.

- Halo?

Brama zamyka się za mną. Zza żywopłotu wyłania się mężczyzna. Zaczynam odczuwać dziwny niepokój, mocniej zaciskam palce na kluczykach od samochodu.

Mężczyzna - wysoki, mocno opalony, przed czterdziestką, z mocno kręconymi, siwiejącymi na skroniach włosami - trzyma w ręku łopatę.

- Nowa florystka? - pyta markotnie. Jego usta wydają się zbyt duże w stosunku do reszty twarzy.

- Tak - potwierdzam, patrząc w ciemnozielone oczy nieznajomego. - Nazywam się Sadie Drew.

- Eddie - przedstawia się, obrzucając mnie nieufnym spojrzeniem. - Masz swoje magiczne cudenka w samochodzie?

- Kwiaty. Zastałam panią Fisher?

Kiwa głową, podchodzi do drzwi i uchyla je ubłoconą dłonią.

- Angie! Przyjechała nowa florystka! - woła, zaglądając do środka.

Zjawia się Filipinka w średnim wieku. Ciemne włosy, przyprószone siwizną, związane w schludny kucyk, czarne rozbiegane oczy.

- Niech pani wejdzie.

Wchodzę do dużego kwadratowego przedpokoju, na lśniący dębowy parkiet padają czerwonozielone refleksy światła przesączonego przez witrażowe okna. Ściany zdobią czarno-białe fotografie z lat trzydziestych: kobiety w wieczorowych sukniach z kwiatami we włosach i kieliszkami w dłoniach, obejmowane w cienkiej talii przez przystojnych mężczyzn. Oraz afrykańskie maski z wyłupiastymi oczami i wielkimi zębami, a także olbrzymi wachlarz z pawich piór. Wystrój wnętrza uzupełniają: stojak na parasole, jasnoszary płaszcz na wieszaku z kości słoniowej i kosz na śmieci, przypominający nogę słonia. Nie można nazwać go typowym. Na piętro prowadzą duże szerokie schody, wyłożone liliową wykładziną. U szczytu schodów pojawia się właśnie pani Fisher. Schodzi na dół powolnym dumnym krokiem z upierścienioną upstrzoną plamami wątrobowymi ręką na poręczu. Ma na sobie kremową suknię, strój uzupełniają błękitno-zielona chusta na szyi oraz turban na głowie. Przypomina modelkę ze starego „Vogue'a” albo bohaterkę serialu „Dynastia”.

- Sadie! - wita mnie z uśmiechem. - Cieszę się, że przyszedłaś.

- Dziękuję - odpowiadam nieco skonsternowana jej królewskim strojem.

- Zajmę się florystką, Angie - zwraca się do gospodyni. - Powiedz, Sadie, czy przywiozłaś moje ukochane czarne tulipany?

- „Królowa nocy”, zgodnie z zamówieniem. Zaraz je przyniosę z samochodu.

Pani Fisher kiwa głową. Idę po dwa kartonowe pudła purpurowo czarnych tulipanów, torbę z przyborami oraz fartuszek w różowe paski.

- Mówiła pani, że ma własne wazony? - Sięgam po jeden z kwiatów i idę za nią do przestronnej, słonecznej kuchni o ścianach pomalowanych na bladoróżowy kolor. Środek pomieszczenia zajmuje długi drewniany stół, wypolerowany na wysoki połysk, wyglądający jak ogromna tabliczka gorzkiej czekolady. Wokół stołu stoi sześć przepięknych błyszczących drewnianych krzeseł, z rodzaju tych, co przypominają o siedzących na nich poprzednich pokoleniach, z przetarciami i wgnieceniami, które tylko dodają uroku. Nad marmurowymi blatami połyskują odbijające światło akcesoria kuchenne. Moja kuchnia z meblami z Ikei wygląda wyjątkowo biednie w porównaniu z tym pomieszczeniem.

- Och - mówi z zachwytem, przysuwając kwiat do twarzy. - Cudowny. Kolor stopy Lankijczyka.

- Oryginalne porównanie - śmieję się.

- To ulubiony kwiat mojego męża. - Przygląda się uważnie płatkom pod światło, niczym znawca win, oceniający kolor trunku.

- Pani mąż ma doskonały gust, pani Fisher.

- Miał. Zmarł przed trzema laty. Od tamtej pory czarne tulipany zawsze zdobią kuchenny stół, jeśli tylko udaje mi się je kupić.

- Współczuję.

- Nie ma powodu. On nadal jest przy mnie - odpowiada wesoło. Niebieskie oczy połyskują niby klejnoty pośród zmarszczek na upudrowanej twarzy. - Byliśmy małżeństwem przez pięćdziesiąt osiem lat. Po takim czasie spędzonym razem ludzie się do siebie upodabniają. Dopóki ja żyję, czytam, tańczę, wacham tulipany, on także może to robić.

A...ha. Wszystko jasne. Wariatka.

- Mam pracować w kuchni czy też woli pani, abym skorzystała z innego pomieszczenia? - Być może odeśle mnie do jakiejś służbówki. W tym domu z pewnością nie brakuje miejsca.

- W kuchni, w kuchni. Tylko proszę usiąść, bo rozboli panią kręgosłup.

Siadam niepewnie na jednym z krzeseł, wyjmuję zaśniedziałe narzędzia ze sfatygowanej skórzanej torby, czując się niezręcznie pod jej spojrzeniem. Zazwyczaj nie pracuję w obecności klientów. Odchodzą do swoich zajęć, zostawiając mnie sam na sam z moimi. Jestem w końcu najemnikiem, lubię swoją pracę na uboczu. Tymczasem pani Fisher najwyraźniej nigdzie się nie wybiera. Przygląda mi się z ciekawością. Na jej ustach gości delikatny uśmiech, jakby bawiła ją moja osoba.

- Szklanek wody? - proponuje.

- Z miłą chęcią, dziękuję. Mam nadzieję, że nie zmokła pani zaudto tamtego dnia.

- Ależ przemokłam do suchej nitki! - woła z uciechą. - Byłam zachwycona, a pani nie? Ten gwałtowny wiatr, fruujące płatki kwiatów! Cóż za dramaturgia. Bardzo lubię Regent's Park. Nudzą mnie wrzosowiska. To normalne po siedemdziesięciu kilku latach. - Pani Fisher otwiera po kolei kilka szafek, nim wreszcie udaje jej się znaleźć szklanki. Nalewa wodę, po czym bierze z półki paczkę mentolowych papierosów. Podaje mi szklankę i częstuje papierosem. Ma kwadratowe, wypolerowane pa-znokcie.

- Dziękuję, nie palę. - Kwiaciarki, podobnie jak nianie, nie powinny palić. Dym niszczy kwiaty. Klientom także nie podoba się wizja palącej florystki. Nie przystaje do wizerunku istoty romantycznej, delikatnej, pozostającej w intymnym kontakcie z przyrodą.

- Nikt już nie pali w dzisiejszych czasach. Straszna szkoda. Kocham papierosy - oświadcza, umieszczając jeden w długiej cygarniczce i przypalając zapalniczką.

- Nie znoszę zakazów ani wymądrzających się doktorków, którzy wmawiają nam, że jeśli nie będziemy robili tego czy tamtego, możemy żyć wiecznie.

Mama z pewnością by się z nią zgodziła, myślę i parskam śmiechem.

- Toż to jawne robienie ludzi w balona. Śmierć przyjdzie po każdego, niezależnie od tego, co zrobi. Wolę przywitać ponurego żniwiarza z papierosem w uśmiechniętych wargach niż z grymasem bólu na bieżni. Jakże brzmi ten głupiutki stary cytat z Wilde'a? „W dzisiejszych czasach można przeżyć wszystko z wyjątkiem własnej śmierci...”. Albo jakoś podobnie - mówi butnie, wydmuchując dym z papierosa, który unosi się nad nią jak przejrzysta zjawa.

- Czas nie płynie szybciej, w miarę jak się starzejemy, Sadie. - Siada, z wdziękiem złączając nogi i przechylając je na bok jak pensjonarka. - To wierutna bzdura. Wszyscy tutaj byłiby najszcześliwsi, gdybym oddawała się bezustannie słodkiemu nieróbstwu. Tymczasem w pojedynkę to żadna przyjemność. Co innego, gdyby żył Albert. - Uśmiecha się. - Ileż można czytać? Zwłaszcza z moim słabym wzrokiem. A przestawienie się na audiobooki byłoby jak kapitulacja. Wózek inwalidzki.

- Rozumiem, pani Fisher - śmieję się znacznie swobodniej. - Muszę powiedzieć, że bardzo mi się podoba ten turban.

- Dziękuję. - Przygląda nakrycie głowy. - Czasem się martwię, czy nie wyglądam w nim jak wariatka. Jedna z tych smutnych kobiet, które nigdy nie miały dzieci, dotkniętych lekkim obłędem. Przewraca nam się w głowach od nadmiaru wolnego czasu i stajemy się karykaturami samych siebie. Próżniacze życie. Martwimy się tylko o siebie, naszych mężów oraz piękne domy - dodaje gorzko. - Słowo „tulipan” wywodzi się od perskiego określenia turbanu.

- Nie wiedziałam. Fascynujące. Mogę wiedzieć, gdzie przechowuje pani wazon, pani Fisher?

- W spiżarni. O ile uda się je znaleźć w tym bałaganie. Kochana Angie, moja gosposia, notorycznie zapomina tam posprzątać. Właściwie to zapomina o istnieniu rozmaitych pomieszczeń - wybuchając śmiechem. - Zresztą ja także. Dom jest zbyt duży dla dwóch osób. Przypominamy dwie stare kukielki, objijające się o ściany domku dla lalek. - Otwieram małe drzwiczki, które mi pokazała. Powietrze w małym pomieszczeniu jest chłodne i stęchłe. Pośród rzędów konserw oraz pojemników z kawą i ciastkami stoi kolekcja kryształowych wazonów i dwie ceramiczne urny. Wybieram jedno z ceramicznych naczyń. - Może być ten, pani Fisher? Czy wolałaby pani, żebym użyła kryształów?

- Poprzednia florystka, Paula, zawsze wybierała kryształy. Taki typ. Zwykła skromna glina nie była godna jej uwagi.

Nie mam pojęcia, o co jej chodzi. Ciekawi mnie moja poprzedniczka, zadaję sobie pytanie, czemu już nie pracuje u pani Fisher. Byłoby nietaktem zapytać wprost, kwiaciarki nie zadają osobistych pytań.

- Ze wzgórz Sri Lanki, pod Kandy. - Przesuwa koniuszkiem palca po krawędzi wazonu. - Mieszkaliśmy tam z Albertem prawie dziesięć lat. Na placówce dyplomatycznej. Wyjeżdżając, zabraliśmy ze sobą połowę kraju, jak widzisz. - Pokazuje w uśmiechu rząd równych perłowych zębów. W młodości musiała być oszałamiająco piękna. - No dobrze! - Klaszcze w dłonie. - Zostawię cię już w spokoju, Sadie. A może chciałabyś posłuchać muzyki przy pracy? Cóż za głupie pytanie. Oczywiście, że tak. - Włącza wieżę, podkreca dźwięk, w kuchni rozbrzmiewa głos Franka Sinatry. Odwraca się na pięcie i wychodzi, ciągnąc za sobą chmurę szyfonu. Oczywiście, natychmiast po jej wyjściu rozglądam się niedyskretnie. Jedną z zalet mojej pracy. Zwracam uwagę na kosztowne ścierki od Fortnuma i Masona, srebrny indyjski serwis do herbaty, szylkretową szczotkę do włosów na półce, nieskazitelną kuchenkę firmy Aga, która wygląda na nieużywaną. Podchodzę do okna, by spojrzeć na cudowny, ogromny ogród, pełen barw, i ogarnia mnie fala tęsknoty. Jest wypiełgowany, otoczony ceglany murkiem, który pasowałby do wiejskiego krajobrazu. Podziwiam ozdobne krzewy oraz kępki lawendy i kapryfolium, zwisające ze specjalnych, nieco zardzewiałych krat. Jest też metalowy łuk, przystrojony pędami winogron, oraz żeliwne ogrodowe meble. Pod jabłónką na tyłach ogrodu znajduje się szeroka huśtawka. Skryte w kątach małe rzeźby wyglądają jak zdziwione dzieci z szeroko otwartymi oczyma i porośniętymi mchem twarzami.

Ktoś chrząka za moimi plecami. Odwracam się szybko, jakbym została przyłapana na gorącym uczynku, i staję oko w oko z melancholijnym ogrodnikiem. Jego zielone oczy połyskują złowrogo.

- Jaka jest stawka?

- Słucham?

- Ile pieniędzy bierze pani od mojej ciotki? Ciotki?

- Sto pięćdziesiąt.

Eddie mierzy mnie surowym wzrokiem.

- Tylko proszę jej nie wykorzystywać. Niektórym wydaje się, że mogą z niej zdzierać nie wiadomo jakie pieniądze tylko dlatego, że jest stara i mieszka w bogatej dzielnicy.

- Pani Fisher sama poprosiła o moje usługi - przerywam, głęboko urażona jego podejrzeniami. - Nigdy bym...

- Dobrze - mówi nieco łagodniejszym tonem. - Przepraszam. - A następnie wychodzi z kuchni bez słowa pożegnania.

Co za bezczelność! Moja noga nie postanie tu nigdy więcej, postanawiam. Zabieram się do pracy, przycinam łodygi tulipanów pod odpowiednim kątem, nadając im różne długości, po czym układam w harmonijne bukiety, które umieszczam w ceramicznych wazonach w rytm piosenki Sinatry. Kwiatów jest mnóstwo, po kilku minutach zapominam się całkowicie, istnieje tylko dotyk twardych łodyg, ustępujących pod moimi palcami. Stary Frank śpiewa o miłości, małżeństwie i konnych zaprzęgach, a ja wystukuję stopą rytm na marmurowej posadzce. Ni z tego, ni z owego w mojej głowie pojawia się obraz Rony, jej pogrubione przez doktora Prenwooda usta wypowiadają słowa: „Powinnaś wspierać swojego męża”. Zaczynam pracować jeszcze szybciej. Zamieram, słysząc pierwsze takty „Too Marvelous for Words”. Naszej piosenki. Tańczyliśmy do niej pierwszy taniec na weselu. Nagle zdaje mi się, że to było wczoraj, nie trzy lata temu. Ręce Toma na mojej poszerzającej się talii. Mój śmiech, kiedy rąbek tiulu zahacza o złoty obcas. Wspaniały wianek ze świeżych frezji na mojej głowie. Czułam się wtedy piękniejsza niż kiedykolwiek, mimo widocznej już ciąży. Z nadzieją i radością patrzyłam w przyszłość. Jednak piękne wspomnienia szybko przesłaniają te mniej przyjemne: katastrofalne przyjęcie w Ivy, tyrada Rony, denerwujące szczekanie Teddy'ego, Tom odsuwający się ode mnie. Piosenka dobiega końca, a ja z przerażeniem uświadamiam sobie, że mam policzki mokre od łez. Co gorsza, pani Fisher obserwuje mnie w milczeniu, stojąc w progu kuchni. Jej twarz nie zdradza żadnych emocji, jedynie kąciki ust lekko drżą. Ocieram twarz rękawem.

- Tak, Frank ma taki wpływ na ludzi - mówi z czułością, omal nie doprowadzając mnie powtórnie do łez. Wcale nie sprawia wrażenia, jakby poczuła się niezręcznie, najwyraźniej nie ma też zamiaru zostawiać mnie samej. Wpatruje się we mnie i wygląda, jakby na coś czekała.

- Dopadło mnie jakieś okropne przeziębienie!

- Oczywiście. - Podchodzi i dotyka jednego z tulipanów w wazonie. - Ślicznie.

Uśmiecham się z wdzięcznością i pociągam nosem, próbując zrobić to bezgłośnie. Bukiet rzeczywiście wygląda pięknie. Niepotrzebnie się martwiłam, że duża ilość ciemnych kwiatów będzie sprawiać ponure wrażenie.

Pani Fisher przenosi wzrok z moich dłoni na twarz. Uśmiecha się delikatnie, niemal jakby usiłowała ukryć zadowolenie.

- Kłopoty z mężem?

Wkładam na miejsce ostatni kwiat.

- Czyżbym miała to wypisane na czole?

- Bez obaw, nikt inny się nie domyśli - mówi, podnosząc rękę do czoła, brylant na jej palcu mieni się w słońcu. - Szósty zmysł, moja droga. Wiedziałam od chwili, kiedy cię zobaczyłam w parku.

- Och... - Uśmiecham się. Ciekawe, czemu niemal w ogóle nie odczuwam zażenowania.

- Czy to dlatego zdecydowałaś się dziś przyjechać? - pyta z przejęciem, nerwowo szarpiąc apaszkę, jakby nie mogła znieść napięcia. - Dlatego, prawda?

- Przyjechałam, żeby ozdobić pani mieszkanie kwiatami, pani Fisher. - Pod jej rozbawionym wąpiącym spojrzeniem zaczynam sama kwestionować prawdziwość swoich słów. Rzeczywiście zaintrygowała mnie jej wzmianka o tym, że wie co nieco na temat mężów, jakkolwiek idiotyczna się wydawała. Spotkanie z tą dziwną kobietą tuż przed feralną wizytą Rony wydało mi się nieprzypadkowym zrządzeniem losu. Własne przesady i odrobina magicznego myślenia powstrzymały mnie przed wyrzuceniem wizytówki. - Gdzie mam ustawić wazon? W pokojach gościnnych? - pytam, usiłując zachować profesjonalizm.

Twarz staruszki wykrzywia przelotny grymas, który widzę u niej po raz pierwszy.

- Tylko w jednym. Na lewo od schodów. - Wskazuje głową ogromne wytłaczane drzwi z klamką z ciętego szkła. - Do tego pomieszczenia obowiązuje zakaz wstępu. Każdy inny pokój, szafka czy szkatułka jest do wglądu, ale ten salon to moje prywatne małe królestwo.

- Tak jest - mówię ze zrozumieniem. Sama mam w domu taki pokój.

- Drugi wazon niech zostanie w kuchni, żeby poprawiać mi humor za każdym razem, kiedy na niego spojrzę. Herbatki?

- Bardzo dziękuję, pani Fisher, ale muszę już iść.

- Obrażę się, jeśli odmówisz. Nie wolno sprzeciwiać się staruszkom w turbanach. - Uśmiecha się i muska dłonią moje ramię. - A herbata pomaga na przeziębienie.

Poddaję się, widząc, że z nią nie wygram, i siadam z powrotem na krześle. Starsza pani woła Angie, która zaparza napój w dzbanku w złoto-turkusowe wzory. Siada za stołem, spleta dłonie i kładzie je na kolanach, milczy. Odzywa się, dopiero kiedy cisza staje się niezręczna.

- Mam za sobą pięćdziesiąt osiem lat udanego związku. Wiem wszystko na temat małżeństwa. Proszę popatrzeć na tę fotografię. Albert. Ja i mój Albert. - Sięga po ramkę z czarno-białym zdjęciem, przedstawiającym przystojnego trzydziestolatka o kwadratowej szczęce i piękną kobietę z burzą czarnych loków, okalających twarz gwiazdy filmowej. Wyraziste kości policzkowe, piękna gra światła i cieni.

- Bardzo atrakcyjna para.

- Rzeczywiście nieźle się prezentowaliśmy. Kiedy byłam młodsza... - przerywa i patrzy z tęsknotą na ogród. Jej źrenice zwązają się, jakby patrzyła na coś bardzo odległego. - Boże, to wydaje się tak dawno temu. Zanim poumierali wszyscy moi przyjaciele, przychodzili do mnie po porady. Żartowa-

waliśmy sobie, że zawsze to taniej niż do chciwego adwokata od spraw rozwodowych. Żona dyplomaty musi znać wszystkie tajniki bycia idealną żoną, mawiałam - śmieje się głośno. - Miałyśmy z dziewczynami niezły ubaw!

Uśmiecham się grzecznie. Jasne. Niektórzy klienci płacą za układanie kwiatów, lecz tak naprawdę bardziej zależy im na towarzystwie. Kwiaty - te niepozorne kolorowe cuda nadziei - mają w sobie jakąś magię, która zbliża ludzi.

- Iris, Ruby, Maud... Och, Maud. Zmarła dwa lata i siedem miesięcy temu. Strasznie mi jej brak. Spotykałyśmy się w Claridge's za każdym razem, kiedy byłam w mieście. Rozmawiałyśmy bardzo głośno, o mężczyznach i seksie. Taka zabawna prowokacja. Ależ potrafiłyśmy narobić zamieszania! Uwielbiam zamieszanie, a pani?

Kiwam głową, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio udało mi się wywołać zamieszanie i nie spalić przy tym ze wstydu.

- Zamawiałyśmy szampana... Nie, przepraszam. Maud lubiła martini. I byłyśmy rozbijającą niedyskretne. Iris...

- Pani Fisher śmieje się jak pensjonarka do własnych wspomnień. - Ojej, bardzo przepraszam za moje gadulstwo. Starość. Brak zajęcia. Tak łatwo wraca się do przeszłości. Jakbym przewracała kartki książki.

- Bardzo ciekawie pani opowiada - zapewniam.

- No, nie wiem. W każdym razie wtedy nam się zdawało, że jesteśmy fascynujące - mówi rozbawiona. - Naturalnie każda z nas była przekonana, że jest najlepszą żoną na świecie. Zupełnie bezpodstawnie - dodaje z uśmiechem.

- Za to pani z pewnością jest doskonałą żoną, Sadie.

- Obawiam się, że jestem jedną z najgorszych żon na świecie - mówię, popijając herbatę z małej porcelanowej filiżanki.

Pani Fisher wybucha perlistym szczerym śmiechem, aż podryguje wysadzana klejnotami broszka na jej ramieniu. Dostrzegam przez moment tamtą młodą kobietę, która popijała szampana i zaśmiewała się z koleżankami, odgarniając z czoła niesforne czarne loki. Zdecydowanie jest w niej swoisty magnetyzm. Czuję niewytłumaczalną więź z tą obcą kobietą.

- Proszę o wybaczenie, moja droga. To takie zabawne. - Poklepuje moją dłoń. - Chciałabym wierzyć, że ma pani rację.

- Mam. - Udziela mi się jej wesołość. Zapominam, że jesteśmy sobie obce. - Zapewniam, że właśnie tak jest.

- Boże, przypomina mi pani... - urywa w pół zdania. - Proszę mi powiedzieć, czemuż to pani tak uważa.

- Niech pomyślę, od czego by tu zacząć. Po pierwsze, nie zgadzam się zawozić do pralni jego garniturów - mówię, chcąc rozśmieszyć rozmówczynię. - Dla zasady.

- Ojej! - kręci głową. - Zasady są potwornie nudne, moja droga.

- Mój umysł zamyka się na wszelkie sprawy związane z prowadzeniem domu. Buntuję się przeciwko temu, że wszystko spada na mnie tylko dlatego, że mniej zarabiam i jestem kobietą. W czasach narzeczeńskich nie oczekiwał ode mnie prania, gotowania i prasowania. Nie, wtedy podobała mu się moja niezależność i brak zaangażowania w domowe obowiązki. Szukał kobiety będącej przeciwieństwem jego matki.

- Tak powiedział? - Pani Fisher pokłada się ze śmiechu.

- Tak. Większość mężczyzn świadomie lub podświadomie wybiera na żony kobiety podobne do swoich matek, a on jest wyjątkiem potwierdzającym regułę.

- Mężczyźni! - Kręci głową. - Jakże oni potrafią się oszukiwać.

- Święte słowa! Natychmiast po ślubie i narodzinach dziecka zmienił zdanie. Zobaczył we mnie Żonę. Jest coraz gorzej od powrotu z Toronto. Mieszkaliśmy tam ponad dwa lata. Wróciliśmy, bo dostał świetną propozycję pracy. Usiłuje coś udowodnić.

- Ach, rozumiem - odpowiada nieco poważniej. - Nadal nie widzę powodów, aby uważała się pani za złą żonę. Czy to cała historia?

- Skądże. W zeszłym tygodniu zniszczyłam w praniu jego ulubiony kaszmirowy sweter. - Chrząkam z zakłopotaniem. Czwarty dzień z rzędu pracowałam do dwudziestej drugiej, byłam wkurzona. - Celowo.

Unosi wyregulowaną brew i marszczy czoło. Nabieram przekonania, iż nie trzeba się obawiać starości. Nawet ona może być atrakcyjna. Podoba mi się sposób, w jaki przeżyte doświadczenie wryło mapę na jej twarzy. Porównuję ją z Roną, która przypomina plastikową lalkę.

- Proszę kontynuować.

- Przytyłam kilka kilogramów po urodzeniu dziecka. Uważam, że powinien mnie akceptować taką, jaka jestem, ale...

- Moja droga, małżeństwa rozpadają się zawsze z powodu drobiazgów. Nigdy z powodu dużych problemów. Z prawdziwymi przeciwnościami można walczyć. Tymczasem drobnostki zjadają od środka, jak termity.

- Och. - Moja waga to drobiazg czy duży problem? Wciągam brzuch i nie pytam.

- Słucham dalej. - Bębni palcami po stole.

- Ehm... - Uśmiecham się, nie wiem, którą z wielu codziennych katastrof mam wybrać. - On twierdzi, że zrzędzę. Ja tak nie uważam. Mam wieczne pretensje o późne powroty z pracy i o to, że za mało zajmuje się Dannym.

Potrząsa głową, poważnie stropiona.

- Niedobrze. Bardzo niedobrze. Mężczyźni nie znoszą, kiedy powtarza im się coś po kilka razy. Im częściej słyszą jakiś komunikat, tym większe prawdopodobieństwo, że go wyprą ze świadomości. Umysł to zadziwiający mechanizm. Można go po prostu zatrzasnąć jak drzwi.

- Zgoda, ale on mi naprawdę nie pomaga. Nie tak, jak ja tego oczekuję. A za każdym razem, kiedy coś robi, jest to wielkie wydarzenie. Po prostu pęka z dumy. Nie podejmuje codziennych obowiązków, tylko te od święta. Zachowuje się, jakby należał mu się medal za odwiezienie Danny'ego do przedszkola, chociaż ja robię to codziennie i nie robi to na nikim wrażenia.

- Rzeczywiście cię irytuje. - Podnosi do ust filiżankę.

Z ostrożnością właściwą starym ludziom. - A regularne fellatio jest?

O. Mój. Boże. Fellatio? Odebrało mi mowę.

- Tak też podejrzewałam.

- W jego urodziny - dukam, wpatrując się w czarne obwódki za paznokciami, obezwładniona jej otwartością.

- Urodziny, rocznice, tego typu okazje.

Zalega dzwoniąca w uszach cisza.

- Dość już usłyszałam.

Szkoda. Już miałam się wypowiadać ze wszystkiego. Łącznie z porannym puszczeniem gazów pod kołdrą. Oraz nabiciem Tomowi siniaka pod okiem za pomocą celnie rzuconego telefonu komórkowego, na dzień przed ważnym spotkaniem. Mogłabym nawet wspomnieć walentynkową noc, którą kazałam mu spędzić na kanapie. Za karę, ponieważ kupił mi w prezencie mikser zamiast kwiatów. Tłumaczył, że kwiaty mam przecież w pracy. Mikser? Omal nie przypuściłam na niego szarży wirującym ostrzem.

- Czas na drugie śniadanie, pani Fisher - mówi Angie, zaglądając do kuchni.

Przez kilka chwil pani Fisher tylko na nią patrzy.

- Nie. Nie dziś. Dziękuję, Angie. Jestem zajęta - odpowiada wreszcie.

- Nie będzie pani jadła? - pyta zdumiona gospoia.

- Raczej nie - mówi wolno, bawiąc się apaszką. - Dziś zrezygnuję z drugiego śniadania.

- Ależ, proszę sobie nie przeszkadzać. - Podrywam się z krzesła. - Ja i tak muszę już...

- Dziękuję, Angie, możesz odejść - wydaje ciche polecenie i Angie wychodzi.

- Bardzo miło mi było z panią rozmawiać, pani Fisher - mówię z nagłym zażenowaniem. - Ale muszę odebrać synka z przedszkola.

- Mów mi Enid, kochana. - Klepie mnie po ramieniu. - Gdybyś potrzebowała jakichkolwiek wskazówek, chętnie służę pomocą. Uwielbiam brzmienie własnego głosu. Cała przyjemność byłaby po mojej stronie.

- To bardzo miło z pani... Z twojej strony, Enid. Ale...

- Żaden problem. Życie innych ludzi bardzo mnie intryguje. Żadna książka tak nie wciąga. To ty wyświadczyłabyś mi przysługę, nie ja tobie. - Klaszcze w dłonie. - Wiesz co? Ty mi przynos tulipany, a ja ci pomogę rozkwitnąć w małżeństwie. Oto propozycja nie do odrzucenia.

6

Spóźniłam się dziesięć minut. Codziennie poprawiam swój wynik o kilka sekund, niczym sportowiec nabierający formy. Kłopot w tym, że wcale nie chcę być na czas. Spóźnianie się ma swoje zalety. Przede wszystkim można uniknąć niezręcznej wymiany uprzejmości ze Strasznią Hanną, surową przedszkolanką. Ponadto koledzy Danny'ego już są na sali, co nam odrobinę ułatwia rozstanie. Istnieje zatem mniejsze prawdopodobieństwo, że synek uwiesi się na mnie z rozdzierającym serce szlochem, przez co będę musiała walczyć z pokusą wzięcia go w ramiona, zanieśienia do domu i nakarmienia obranymi ze skórki winogronami oraz słodyczami, spełniając tym samym jego oczekiwania. Kolejny powód to moja niechęć do spotykania się z innymi matkami. Kiedy się spóźniam, omija mnie konieczność zachwywania się młodszymi braciszkami i siostrzyczkami oraz uprzejmego dopytywania się o przebieg niezliczonych ciąży. Mieszkam w dzielnicy Londynu, gdzie ludzie mnożą się jak króliki, powołują na świat tabuny dzieci, po czym nadają im idiotyczne imiona.

- Pa, synku. Kocham cię. - Macham Danny'emu i wychodzę.

Myślę o wczorajszym surrealistycznym spotkaniu z Enid Fisher. Rozmyślenia przerywa mi zagrożenie na horyzoncie.

Perfekcyjna Pam, żona jednego z kolegów Toma z Anderson & Co, świadek mojego poniżenia w restauracji Ivy, Królowa Ciężarnych, właścicielka najbardziej imponującego biustu w Londynie oraz mistrzyni ciasteczkowych wypieków, o dziwo, również się spóźniła. To dzięki niej jestem tu, gdzie jestem: na chodniku obok przedszkola West Kids. Ona poleciała to miejsce Tomowi, za pośrednictwem swojego męża Setha. Powinnam być wdzięczna, ale uwiera mnie niechciane zobowiązanie.

Niedobrze, zauważyła mnie. Czeka pod bramą. Jedną rękę złożyła na kształtnym wystającym brzuchu, w drugiej trzyma ekologiczną lnianą torbę, z której wystaje piękny bochen ciemnego chleba. Ja wymachuję śmiercionośną dla planety plastikową reklamówką, w której są wymazane kałem spodnie po wczorajszym „wypadku” Danny'ego. Klasa.

- Cześć, Sadie. Boże, niezły siniak. - Patrzy na mnie z takim przerażeniem, jakby brakowało mi połowy czoła.

- Ach, rzeczywiście. - Zdążyłam już zapomnieć. - Rana wojenna. Nic wielkiego. W zeszły weekend zaskoczyła mnie burza w Regent's Parku. Oberwałam gałęzią.

- Nic ci się nie stało? - Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

- Nie jest tak źle, jak wygląda - zapewniam.

Trudno mi uwierzyć, że Pam była kiedyś normalną rozrywkową dziewczyną - należała do bliskich koleżanek Chloe, na litość boską - zajmującą kierownicze stanowisko w branży public relations. Tańczyła do świtu na stołach w nocnych klubach, spotykała się z gwiazdami muzyki, a kiedyś nawet pokazali ją w telewizji, po tym jak przedawkowała narkotyki na festiwalu w Glastonbury i musiała mieć płukanie żołądka. Dzisiejsza Pam jest... Cóż, Perfekcyjną Pam. Zdrową, urzekającą gospodynią domową z reklamy świeżego mleka, nieskażoną wielkim miastem, pracą, trudami codziennego życia, barwną przeszłością. Większość mężczyzn marzy o takiej żonie: zaradnej, promiennej, o wielkim biuście, wyzierającym dziś kusząco spod rozpiętych guzików śnieżnobiałej koszuli, czulej i niezagrażającej, a jednocześnie reprezentacyjnie pięknej. Jesteśmy w podobnym wieku, a czuję się przy niej jak niezgrabna nastolatka.

- Podziwiam cię, Sadie. Na twoim miejscu zapakowałabym się na tydzień do łóżka, a rodzinę oddała pod opiekę niani. Ty natomiast walczysz.

- Tak. O przetrwanie.

Śmieje się, jakby usłyszała dobry żart.

- Zaimponowałaś mi, przychodząc na przyjęcie korporacyjne w tej fantastycznej bluzce!

- Łudziłam się, że nikt nie zauważy.

- Byłaś cudowna! - W świecie Pam wszystko jest fantastyczne i cudowne. Z wykrzyknikami. - Przy tobie wszystkie wyglądałyśmy śmiesznie i pretensjonalnie w naszych nadętych kreacjach!

- Zamieniłabym się wtedy z każdą z was bez mrugnięcia okiem, ale dziękuję za komplement - mówię z wdzięcznością. Pam jako jedna z niewielu kobiet bardzo się starała, żebym poczuła się swobodnie, zamiast tylko patrzeć na mnie jak na bezdomnego intruza.

- Zatem do zobaczenia w środę - dodaje, zagradzając mi przejście wydatnym brzuchem.

- W środę? - Wpatruję się w nią z tępym wyrazem twarzy, czując dotyk dziecka pod twardą powierzchnią jej ciała.

- Tom ci nie powiedział? - Pam odsuwa się, dając mi dostęp do furtki. Zakłada torbę na ramię. - Kameralna kolacja u nas...

Słyszając słowo „kameralna”, od razu nastawiam się na coś odwrotnego.

- Chciałabym, żebyśmy się lepiej poznali - wzdycha. - Nam, kobietom, łatwo się zaprzyjaźnić - mamy tyle wspólnego...

Tak?

- Natomiast faceci potrzebują zachęty, żeby spotykać się po godzinach. Trzeba ich umawiać z kolegami.

Motyła noga. Ona chyba mówi w zupełnie innym języku. Języku żon, które urządzają przyjęcia dla swoich mężów. Ja mogę urządzać Tomowi co najwyżej awanturę za porozrzucane skarpetki. Staram się polubić tę kobietę, ale ciężko mi znosić jej towarzystwo. Tłumaczę sobie, że ma dobre intencje

i to miło z jej strony, że zaprosiła nas na kolację. A ja jestem wredną sfrustrowaną jędzą. Czyżbym zazdrościła jej ciąży? Tom miał rację. Niechęć do Pam to mój problem. Czuję się gorsza, choć nie mam powodów. A może mam?

- Każda okazja, żeby o sobie trochę zadbać, jest dobra. Na pewno brakuje ci kanadyjskich salonów piękności. - Opiera się o metalową kratę bramy. - Jesteśmy już w tym wieku, że musimy bardziej dbać o wygląd, prawda? Można umrzeć z nudów. Tobie musi być jeszcze trudniej, z takim mężem jak Tom. - Głaszcze swój brzuch kolistym ruchem, jakby polerowała stół.

- Słucham?

- On przecież bryluje w towarzystwie ludzi mediów. Mnie by to wkurzało! Dobrze, że Seth siedzi sobie bezpiecznie w dziale finansowym razem z nudziarzami z księgowości.

Seth i Pam nie są dobraną parą pod względem atrakcyjności fizycznej. Seth ma bardzo dziwną, niekształtną twarz, która kojarzy mi się z embrionem, i więcej włosów w nosie niż na głowie. Jest też zmanierowany. Wygląda bardzo śmiesznie, biegając po okolicy w jednoczęściowym kombinezonie z lycry albo spacerując z rękoma założonymi na plecach niczym księżę Karol. Sprawia wrażenie człowieka, który nie czuje się swobodnie we własnym ciele. Wątpię, aby był dobry w łóżku. Pozostaje w cieniu mlecznobiałej urody swojej żony.

- Cenię cię bardzo za to, że nie pozwalasz się wciągnąć w żadne rywalizacje - kontynuuje bez troski Pam. - Twoje małżeństwo jest najwyraźniej na tyle trwałe, że nie musisz się wdawać w żadne gierki.

- Ufam Tomowi - odpowiadam bliska omdlenia. Zawsze sądziłam, że gdyby Tom wolał być z jakąś malowaną lalą z telewizji, to nie wiązałby się z kwiaciarką, która ma wiecznie brud za paznokciami. Czuję nadszarpnięty atak paranoi. Czyżby Pam próbowała mi coś powiedzieć? Jeszcze kilka dni temu nie zdawałam sobie sprawy, że moje małżeństwo znajduje się w tak opłakanym stanie, że „mogę wszystko stracić”.

- Słusznie. Po co miałabyś się starać? - Pam przerywa, szukając właściwych słów, po czym dodaje konfidencko szeptem: - Wiem, co się wydarzyło w zeszłym roku. Obiecuję, że nikt się ode mnie nie dowie. Chcę tylko powiedzieć, że to wystarczający powód, abyś nie nakładała na siebie dodatkowej presji.

Czy rzeczywiście mogę się czuć usprawiedliwiona? A jeśli tak, to skąd Perfekcyjna Pam może o tym wiedzieć? Istnieje tylko jedno wytłumaczenie: Tom jej powiedział. Jej albo Sethowi. Przekląty Tom. Zawiera przyjaźnie o wiele szybciej niż ja. Nic dziwnego, że poczuł się w Londynie jak w domu, podczas gdy ja czuję się osamotniona.

- Wszystko w porządku, Danny? - krzyczę z góry, opierając się o barierkę. Sprawdzam, czy Danny nie miał wypadku w stylu tych, których obawia się Rona: nie zginął na skutek porażenia prądem z pilota od telewizora lub nie utonął w kubku soku pomarańczowego.

- Tak! - woła, przekrzykując odgłos ścigających się samochodów, dobiegający z odbiornika telewizyjnego.

Wyjmuję z kosza na pranie czyste dzieciinne ubranka i zanoszę je do pokoju Danny'ego. To ogromny stos, którego ułożenie odkładałam przez dwa tygodnie. Po drodze gubię pojedyncze sztuki odzieży. Sypialnia Danny'ego ślicznie pachnie Dannym. Kocham zapach swojego dziecka. Kiedy był jeszcze maleńki, zachwyciałam się nawet wonią jego brudnych pieluch. To typowy pokój małego chłopca, pełen książeczek, plastikowych narzędzi, samochodzików i gumowych dinozaurów. Pod łóżkiem leży zapomniana butelka z resztką mleka. Wpycham ubranka do komody i wychodzę. Zamknąwszy za sobą drzwi, biorę głęboki oddech i ruszam na koniec korytarza w kierunku pokoju, którego istnienie nawiedza moje senne koszmary. W tym pokoju zawiera się całe moje „usprawiedliwienie”. Przez kilka miesięcy, odkąd tu mieszkam, zdążyłam dokładnie poznać każdy centymetr drzwi, dotyk klamki. Drzwi zawsze są zamknięte, bardzo tego pilnuję. Przypominam sobie zamknięty salon Enid, doszukuję się podobieństw. Obie mamy w sobie zakamarki niedostępne dla nikogo. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony! Grozi emocjonalnym wybuchem!

Zbieram całą odwagę i wchodzę do maleńkiego pokoiku o żółtych ścianach, z dywanem z włókien kokosowych na podłodze. Różni się od reszty domu, tutaj zawsze panuje kliniczny porządek. Przez okno widać nasz mały ogródek. W rogu pomieszczenia stoi stare łóżeczko Danny'ego, obok mała biała pusta komoda z szufladami wyścielonymi pachnącym papierem w kwiaty. Na przeciwległej ścianie szafa i kominek. Na kominku wazonik z pojedynczym hiacyntem. Codziennie zmieniam wodę i kwiat. Tym razem wstawię chyba różę. Nie dopuszczam, żeby jakikolwiek kwiat wiądnął w tym pokoju. Chcę, aby zawsze było w nim coś żywego.

Podchodzę do szafy. Otwieram ją niecierpliwie i z poczuciem winy, niczym bulimiczka zaglądnąca do lodówki. Patrzę na poukładane schludnie niemowlęce ubranka: białe i różowe. Spodziewałam się dziewczynki. W ciąży z Dannym zajadałam się kiełbasą i kaszanką, a za drugim razem wolałam słodczyce. Sięgam po śpioszki, są niewiarygodnie maleńkie. Na metce napisano „0-3”. Od zera do trzech miesięcy. Czyściutkie, nieużywane, ciepłe. Wtulam w nie twarz, oczy wypełniają mi się łzami.

Nie miała szans, zbyt wcześnie wyrzucona przez moje zdradzieckie ciało. Tydzień po naszym przyjeździe do Londynu. Wielka tragedia, ale z pewnością nie usprawiedliwienie. Milion marzeń i nadziei roztrzaskanych w drobny pył, niczym kryształowy żyrandol upadający na ziemię.

Daję sobie kilka minut, po czym składam starannie śpioszki, zamykam szafę i wracam do swojego chaotycznego życia.

8

Tom jak zwykle pracuje do późna. Niech sobie pracuje. Na kolację są do wyboru dwa zwiędłe pory i miska orzeszków pistacjowych. Popijamy z Chloe ulubione wino Toma, ponieważ żadnej z nas nie chce się iść do sklepu. Wyobrażam sobie wściekłą minę swojego męża, gdyby nas teraz widział. On nie darzy Chloe szczególną sympatią. Prawdopodobnie jej zazdrości. Podczas gdy my odgrywamy naszą własną operę mydlaną - „Śpiąc na kanapie”, odcinek pięćdziesiąty, „Kłótnia na kanapie”, odcinek setny - Chloe jako młoda rozwódka przeżywa swój osobisty „Seks w wielkim mieście”. Różnimy się. Ona nie jest w stanie wyobrazić sobie lawiny emocji, jaką niesie ze sobą rodzicielstwo, jak przyjście na świat dzieci zmienia związek i przekształca kochanków we współpracowników. Ja natomiast nie doświadczyłam zwątpienia w miłość, jakie niesie ze sobą rozwód. Z romantycznej dziewczyny Chloe stała się nieco cyniczną kobietą. Trochę się o nią martwię. Czas chyba nie był dla nas zbyt łaskawy. A przecież przed nami kolejne sześćdziesiąt lat; strach pomyśleć, ile jeszcze zdążymy narozrabiać.

- Na co mi miłość? - mówi z gardłowym londyńskim akcentem, potrząsając jasnymi włosami. Pochyla się do tyłu razem z krzesłem, jest smukła i wysportowana dzięki lekcjom jogi. - Wystarczy mi seks bez zobowiązań. Nie patrz tak na mnie, Sadie Drew! Nie każda kobieta...

- Nie powinnaś skreślać wszystkich facetów tylko dlatego, że nie udało ci się jeden związek.

- Kochana Sadie, aczkolwiek rozumiem, że będąc w głębi serca hipiską, marzysz o wydaniu mnie za kudłatego młodzieńca podczas ceremonii w kamiennym kręgu, po której niezwłocznie zabierzemy się do płodzenia potomstwa, to jednak nie mogę się na to zgodzić, gdyż nie wyobrażam sobie straszniejszego losu.

Parskam śmiechem i wypluwam skorupkę orzecha.

- Dobra. Dotarło. Zresztą kim ja jestem, żeby ci dawać rady. Moje małżeństwo nie jest bajkowe. Chloe wyszczerza zęby w uśmiechu i pochyla się nad stołem, srebrne długie kolczyki połyskują.

- Ale może być. Opowiedz mi coś więcej o szalonej staruszce z St John's Wood, która chce z ciebie zrobić idealną żonę. Spotkałyście się podczas burzy? Cudownie. Jak w „Czarnoksiężniku z krainy Oz”!

- Dokładnie. Nie uśmiecha mi się rola Dorotki. Zresztą ona jest pewnie jakąś seryjną morderczynią.

- Poproszę o dolewkę. - Chloe podstawia pusty kieliszek. - Były czasy, kiedy Sadie Drew nie zrezygnowałaby za nic z takiej przygody.

- I przespała się z muskularnym gburowatym ogrodnikiem! - dodaje, wracając pamięcią do dawnych czasów.

- Jest muskularny?

- I chamski. W przeciwnym wypadku próbowałabym was wyswatać.

- Nie mam przekonania do ogrodników. Cała ta chłopsko-ekologiczna otoczka... Mam tego dosyć w pracy. Nie moje klimaty. - Chloe nienawidzi swatania. Podejrzewam ją o strach przed zaangażowaniem. - Ale Enid mnie zaintrygowała.

- Tak? A ja sądziłam, że kto jak kto, ale ty z pewnością nie omieszkasz mnie przywołać do porządku, wyśmiewając ambicje bycia idealną żoną. Liczyłam na mądrą uwagę, iż równie dobrze mogłabym się zgłosić na dobrowolną lobotomię.

- Wszystko zależy od stanu ducha - zauważa z uśmiechem. - Jeżeli jest to twój wolny wybór i nikt nie przystawia ci pistoletu do głowy... No i szkolenie odbywa się pod okiem szurniętej starej feministki w turbanie, co zupełnie zmienia postać rzeczy. Każda kobieta, która nosi turban i wspomina o robieniu lodu na początku znajomości z kwiaciarką, zasługuje na bliższe poznanie. Taka jest moja opinia.

- A co ma do tego turban?

- Sama nie wiem. Jakoś tak lepiej brzmi. Chyba nie chciałabyś słuchać porad tak zwanego specjalisty z poradni rodzinnej w poliestrowym garniturku? To byłby błąd. Tymczasem ta staruszka i przypadkowe spotkanie... Wszystko wydaje się takie pełne polotu, fantazji. Po prostu właściwe. Plotę bzdury?

- Nie. Wcale nie - odpowiadam z uśmiechem.

- Spieprzyłam swoje małżeństwo, Sadie - mówi z nagłym smutkiem.

- To nie była twoja wina!

- Mniejsza z tym, kto zawinił. Małżeństwo się rozpadło. To naprawdę straszne. - Zaczyna bawić się skorupkami po orzeszkach, leżącymi na stole. - Dobrze, że nie mieliśmy dzieci. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, co by się działo, gdyby... - Głos jej się załamuje. - Nie włożyłam żadnej pracy w swój związek, liczyłam na to, że wszystko samo się ułoży. A jeśli nie - niewielka strata. - Uśmiecha się smutno. - Tymczasem strata okazała się ogromna. I bolało jak cholera.

- Wiem - odpowiadam. Jestem zaskoczona jej wyznaniem. Chloe nie należy do osób skorych do zwierzeń. Z wdzięcznością przyjmuję jej pomoc, wiedząc, jak wiele ją kosztuje zdjęcie na chwilę maski beztrioskiej rozwódki. Skoro już nawet Chloe martwi się o mój związek, musi być naprawdę źle.

Milkniemy na chwilę. Słysząc tylko tykanie zegara i szum w rurach kanalizacyjnych. Nalewam więcej wina.

- Poza tym - odzywa się nagle radośnie, wychyliwszy spory haust wina. - Masz straszny bałagan! Powinnaś się wreszcie nauczyć prowadzić dom.

- Zdrajczynie - oburzam się i rzucam w nią ścierką.

- Nie atakuj mnie swoimi domowymi środkami masowego rażenia! - Chloe wyrywa mi ścierkę.
- Wiesz co? Chciałabym poznać Enid. Zabierz mnie ze sobą następnym razem, błagam. Dam ci w zamian dwie pomadki Chanel. No dobra, trzy. Dorzucę jeszcze lakier do paznokci.

- Nie będzie następnego razu. To wariatka. A ja wolę umrzeć, niż przedzierzgnąć się w idealną panią domu. Uważam też, że gdybyś mnie naprawdę kochała, dałabyś mi ten lakier do paznokci mimo wszystko. Mogłabyś go sobie odpisać od podatku jako darowiznę na cel charytatywny.

- Nie, lubię cię nieumalowaną. - Stuka kieliszkiem w mój kieliszek. - Przypominasz zbuntowaną nastolatkę z lat dziewięćdziesiątych. - Nalewa sobie do szklanki wody z kranu.

Z ukłuciem zazdrości stwierdzam, że schudła. Rzeczywiście powinnam bardziej o siebie dbać i mniej się objadać.

- Jestem o dwadzieścia lat za stara, aby to mogło być atrakcyjne.

- Nie wyglupiaj się. Jesteś piękna. Tylko ten siniak trochę cię oszpeca. Pomóc ci go zatuszować?

Delikatnie dotykam czoła, już prawie nie boli, ale pod palcami wyczuwam zgrubienie.

- Mówisz, że wyglądam, jakbym się starała o rolę w „Nocy żywych trupów”?

Chloe obdarza mnie promiennym uśmiechem, po czym wykrzywia się szpetnie. Ma wspaniałe długie rzęsy i piegi. Nie mogę zrozumieć, dlaczego jest sama. Każdy facet powinien marzyć o takiej dziewczynie, o takiej żonie.

- Przyszłam prosto z pracy. Mam przy sobie wszystko, co potrzebne, i uwielbiam wyzwania.

- Nie wezmę tego za komplement - mówię i przysuwam sobie krzesło.

- Wyluzuj. Sprawię, że siniak zniknie szybciej niż jakikolwiek mąż. - Dolewa mi wina, po czym zabiera się do rozpakowywania kosmetyczki. Pewnie wybiera kosmetyki do charakteryzacji, a nie flu-
idy dla modelek o nieskazitelnej cerze.

- Tom uważa, że nie powinnam pić. Alkohol działa depresjogenicznie - odzywam się, sącąc wino.

- Powiedz mu, że jest lepszy niż psychotropowe zioła.

- Nie! Wyśle mnie na odwyk. Chloe szpera w swojej torebce.

- Dopóki pamiętam... Masz tu numer tej specjalistki od motywacji, którą malowałam w zeszłym tygodniu. Napisała słynny poradnik o wiosennych porządkach w życiu albo jakiś tego typu nonsens. Na gwałt potrzebuje florysty. Annette... Western, chyba. - Podaje mi karteczkę z imieniem i numerem telefonu. - Nie wiem, czy przypadkiem dziwnym zbiegiem okoliczności nie ma czegoś wspólnego z

Andersonem. Nie powiedziałam jej, że jesteś żoną Toma, nie wiedząc, czy byś sobie tego życzyła. Wspomniałam tylko, że znam geniusza od układania kwiatów.

- Dzięki. - Wpatruję się w kartkę. Annette. - To imię rzeczywiście brzmi znajomo. - Wsuwam świstek do torebki. - Chyba nie powinnam przyjmować kolejnej klientki. Tom i tak już narzeka, że „za dużo na siebie biorę”.

- Niech nie przesadza. - Chloe przewraca oczami. - To nadziana babka, doskonała klientka.

Z lubością popijam wino. Przepyszne.

- Może mogłaby mnie przerobić na idealną żonę za pomocą hipnozy. Wolałabym pójść na skróty.

- Dobra, odchyl głowę, niech no ci się przyjrzę. - Chloe nabiera na pędzel gęsty beżowy podkład i leciutko wciera go w siniec na moim czole. Zapada kojąca cisza. - Krzycz, jeśli zaboli.

- Auć!

- Trochę bólu nie zaszkodzi. A propos idealnych żon. Jak się miewa moja stara psiapsiółka Pam? Widziałaś się z nią ostatnio?

- Z Perfekcyjną Pam? Tak, wpadłyśmy na siebie w przedszkolu Danny'ego. Jej syn, Ludo, też tam chodzi. No i oczywiście, jako jedna z żon Andersona, była na przyjęciu w Ivy, o którym usiłuję zapomnieć.

Chloe zaczyna chichotać. Wznieca chmurę pudru, od której zbiera mi się na kichanie.

- Ciągłe zapominam, że się znacie.

- Od dawna. Kiedyś nie była nudną żoną z lat pięćdziesiątych.

- Obecnie smaży naleśniki, ma na podwórku ekskluzywne mebelki dla dzieci i nosi zakupy w płóciennej torbie!

- Nawet mi nie mów. Obawiam się, że teraz, kiedy jesteś w mieście, nasze ścieżki znowu się skrzyżują.

- Wspaniały pomysł! W przyszłą sobotę zaproszę was obie na herbatkę.

- Mam inne plany. - Śmieje się i kręci głową. - Będę myć włosy albo wybiorę się na zakupy. Poszukam odpowiednich butów na gejowskie wesele na Ibizie.

Chloe często dostaje podobne zaproszenia. Ma więcej klasy w małym palcu niż ja w całym ciele.

- Zupełnie zapomniałam. A kieckę już masz?

- Kupiłam dziś po południu. W Matches. Złota. Do tego mocny makijaż. Dużo koloru, brokatu i sztuczne rzęsy. I co z tego, że mam trzydzieści cztery lata?

- Też mi wiek.

- Otóż to! Rozwiedziona trzydziestolatka - dodaje gorzko, sięgając po swoją przepastną czerwoną torebkę. Wyjmuje z niej coś złotego i błyszczącego jak papierek od cukierka. - Nie pozwolę się

zywcem pogrzebać. Odmawiam zmiany stylu na stonowaną elegancję tylko dlatego, że przekroczyłam trzydziestkę. Patrz. - Potrząsa cekinami. Kreacja jest nieprzyzwoicie krótka.

- Gdyby Ikar był kobietą... - Wpatruję się w sukienkę jak zahipnotyzowana. Nigdy nie miałam na sobie nic podobnego. - Może poćwiczysz na mnie ten wyzywający makijaż, korzystając z okazji, że jestem odrobinę wstawiona?

- Odrobinę? Bełkoczesz, moja piękna.

- I dobrze! Biorę wolne od gotowania wykwintnych dań i prowadzenia bujnego życia towarzyskiego. Tom zapewne przyjdzie o dziesiątej tylko po to, żeby od razu położyć się spać. Nawet na mnie nie spojrzy. Tak więc nie krępuj się, użyj mnie jako królika doświadczalnego. - Prostuję plecy i zamykam oczy. - Wyobrażę sobie, że jestem Kate Moss w jej najbardziej dekadentkim wcieleniu. Przedstawienie czas zacząć!

- Nie pożałujesz. - Obie zaczynamy chichotać. Nastawiamy głośno muzykę. Chloe zabiera się do pracy, wyjmując najlepsze kosmetyki. Odsuwa na bok ciężkie podkłady i pudry. Na stole królują teraz kolory. Połyskliwe zielenie, makowa czerwień, sztuczne rzęsy z brokatem na koniuszkach. Otwieramy kolejną butelkę wina. Wreszcie Chloe odstępkuje krok do tyłu, żeby podziwiać swoje dzieło.

- Wyglądasz zarąbiście! - śmieje się. - Teraz wkładaj kieckę. Chcę zobaczyć pełen efekt.

- No, nie wiem. - Patrzę z powątpiewaniem na skąpy ciuszek.

- Ubieraj się, do cholery. Muszę zobaczyć, jak makijaż komponuje się ze strojem. Nie marudź.

- Nie zmieszczę się.

- Zmieścisz się. - Nie zważając na protesty, podciąga do góry mój granatowy sweter.

Rezygnuję z oporu i zdejmuję dzinsy. Na szczęście sukienka jest dość elastyczna. Udaje mi się w nią wcisnąć, choć nie noszę tego samego rozmiaru, co Chloe. Obciążam materiał na udach, ledwie przysłania mi pośladki i eksponuje białe owłosione nogi.

- Boże, Chloe. Toż to obszyta cekinami chusteczka do nosa. Jesteś bezwstydną ekshibicjonistką.

- Nie. Po prostu singielką. Idź się przejrzeć w lustrze. - Ciągnie mnie do przedpokoju.

Wyglądam jak skrzyżowanie striptizerki z transwestytą.

- O Boże! - wrzeszczę.

- Mama! - rozlega się przerażony pisk z góry. Unoszę głowę. U szczytu schodów stoi zaspany, wystraszony Danny.

- Gdzie jest mama? Mama? - szlocha.

- Skarbie, to ja - szczebioczę. - Obudziłyśmy cię? Przepraszam, słoneczko.

Zataczam się w jego stronę. Danny cofa się ze strachem, szloch przechodzi w wycie.

Odwracam się na pięcie, słysząc zgrzyt klucza w zamku. Tom! Jeszcze na mnie nie patrzy, zajęty rozmową. Boże. Goście. Dwóch mężczyzn w garniturach. Zamieram w bezruchu. Wszystko dzieje

się jakby w zwolnionym tempie. Tom odwraca się i wpada w osłupienie. Goście otwierają usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Primal Scream śpiewają na całe gardła o tym, że chcą się nawalić i dobrze bawić.

- Tom - odzywam się bełkotliwie. - Sześć. Obrzydliwa cisza. Tom wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

- Ehm - zwraca się po chwili do kolegów. - Moja żona, Sadie. Sadie, panowie są dyrektorami w Anderson & Co. Poznałeś ich na przyjęciu w Ivy. Sebastian i Roman.

O, do diabła.

- Witam, jestem Chloe. - Moja przyjaciółka przejmuje inicjatywę, usiłując ratować sytuację. - My właśnie...

Tom posyła jej mordercze spojrzenie, Danny płacze. Rozpaczliwie ciągnę do dołu złote cekiny.

- Przepraszam, nie spodziewałam się...

Sebastian i Roman uśmiechają się z zażenowaniem i wlepiają wzrok w podłogę. Jak para zakłopotanych wyrostków. Atmosfera staje się gęsta. Tom chrząka.

- Nagrałem wiadomość na twój telefon komórkowy - mówi.

Musiałam nie usłyszeć dzwonka z powodu głośnej muzyki, która nadal gra. Obudziła moje biedne małe bezbronne dziecko, biegnące teraz po ratunek w ramiona taty.

- Już dobrze. Tatusz jest przy tobie - mówi Tom, tuląc naszego synka i patrząc na mnie z wyrzutem.

9

- Przywiozłam tulipany - mówię, rozkładając kwiaty na stole w kuchni Enid. Zależy mi na tym, żeby jej się spodobały. Nie patrzę na nią, oczy jeszcze mnie szczypią od płaczu po awanturze z Tomem, który nie uznał wczorajszego incydentu za zabawny. Obawiam się, że podpuchnięte i zaczerwienione powieki mogą zbyt wiele zdradzać. - Czarne. Takie jak prosiłaś.

Enid stoi w otwartych drzwiach, wychodzących na ogród, i pali papierosa. Wiatr kieruje dym z powrotem na jej twarz. Dziś ma na sobie przedziwne błękitne kimono, haftowane w papugi. Srebrne włosy trzyma w ryzach duża szarfa z czerwonego jedwabiu, spięta diamentową broszką w kształcie żuka.

- Nigdy mi się nie znudzą.

- Pozwoliłam sobie też przywieźć kilka wazonów, Enid. Te kryształowe są nieco zbyt masywne, a łądygi zanurzone w wodzie ładnie wyglądają.

- To jak patrzenie na kobiece nogi w basenie. - Enid wychyla się za próg i gasi papierosa o zewnętrznej ścianie domu, zostawiając szarą smugę na cegle w kolorze miodu. - Cieszy mnie twój powrót, Sadie. Obawiałam się już, że cię wystraszyłam.

Sama nie mogę uwierzyć, że znów tu jestem. Dziś rano zdarzyło się coś szalenie dziwnego. Obudziłam się z silnym przekonaniem, iż moja mama chciałaby, abym przyjechała. Nie mogłam się od niego wyzwolić. Raz po raz słyszałam jej cichy łagodny głos, mówiący: „Co masz do stracenia, Sadie?”. Szybko układam cztery bukiety, dodaję trochę niedźwiedziej trawy.

- Lubisz niedźwiedzią trawę?

- Co tydzień od śmierci męża zamawiam tulipany. Im jestem starsza, tym bardziej konserwatywna, Sadie. Ale co tam! Niech będzie i niedźwiedzia trawa.

Dostrzegam kątem oka jakieś poruszenie w ogrodzie. Czy to Eddie? Sprawdzam z ciekawością. Tak, to on. Stoi w porannym słońcu, opierając ciężar ciała na jednej nodze w ubłoconym gumiacu, którą postawił na szpadlu. Nie potrafię się oprzeć spostrzeżeniu, iż ma bardzo ładne ciało. Podobną sylwetką mógł pochwalić się Tom, zanim zdeformowały ją darmowe obiady w pracy i stres. Enid uśmiecha się pod nosem domyślnie. Czym prędzej odwracam wzrok, udając całkowite skupienie na pracy.

- Trochę cukrowego haju? - proponuje, otwierając srebrną puszkę z ciastkami. Układa dwa herbatniki na talerzykach. - Pokonwersujmy w salonie.

Chyba mam déjà vu. Moja babcia z lubością używała słów w rodzaju „konwersować”. Jej dom był co prawda o wiele skromniejszy niż rezydencja Enid. Ot, zwykły budynek w stylu wiktoriańskim nad kanałem w zachodniej części Oksfordu. Jednak dla rudowłosej piękności z maleńkiej wioski w Devon był to prawdziwy pałac. Uciekła z prowincji, wychodząc za męża za nauczyciela historii, i miała kompleks na punkcie „życia na poziomie”, który doprowadzał do szału moją matkę. Serwetki musiały być zawsze w specjalnych serwetnikach, na błyszczącej srebrnej paterze do ciast nie mogło zabraknąć wypieków, a łokcie na stole uznawano za największą zbrodnię. Mama skorzystała z pierwszej nadarzącej się okazji opuszczenia rodzinnego gniazda. Było to w latach sześćdziesiątych.

- Tędy, moja droga.

Bardzo onieśmielona podążam za panią domu przez ogromny hol do salonu po lewej stronie schodów, nie do tajemniczej komnaty po prawej. W pomieszczeniu królują dwie olbrzymie karminowe kanapy, wyściełane poduszkami z różowo-zielonego jedwabiu. Ścianę zdobi gobelin okazałych rozmiarów, na nim wodne lilie i kwiaty lotosu. Jest też sporo zdjęć w złoconych oprawkach. Unoszę głowę do góry i zamieram, nad głową mam jeden z największych kryształowych żyrandoli, jakie w życiu widziałam. Wygląda jak milion błyszczących łez. W oksfordzkim domu babci był podobny, tylko o wiele mniejszy. Oszczędzała na niego latami, stanowił jej radość i dumę. W dzieciństwie wpatrywałam się w niego godzinami, zauroczona. Znałam na pamięć każdą łezkę i załamanie odbijające światło, a także każdą drobinę kurzu oraz kabel prowadzący od sufitu do żarówek w kształcie świec. Uważałam,

że jest wspaniały, królewski. Mama mawiała, iż jest odstraszący, onieśmielający i przytłaczający. Po śmierci babci wybuchały między nami wieczne spory na tym tle.

- Wielkie nieba! Muzyka! Zapomniałam o muzyce. - Enid sięga po pilota. Nowoczesne urządzenie kontrastuje z jej starodawną elegancją. - Nie obawiaj się. Nie włączę Sinatry. - Mruga porozumiewawczo. Z głośników dobiega głęboki głos śpiewający po francusku. - Przejdźmy od razu do rzeczy. Po co strześcić języki na nudne pogawędki o pogodzie?

Głośno przetykam ślinę ze zdenerwowania i zażenowania. Biorę na kolana jedną z różowych poduszek.

- Nie wstydz się. Mnie raczej nie zgorszysz. No, zaczynaj - żąda z pewną surowością. - Tylko nie owijaj w bawełnę, Sadie.

- No dobrze. Więc... - Nie mam pojęcia od czego zacząć. - Chcę czegoś, czemu on się sprzeciwia... - Ależ to głupio zabrzmiało. Waham się. - Boże, przepraszam. Dziwnie się czuję, opowiadając ci takie rzeczy. Przecież dopiero co cię poznałam.

- I co z tego? - Macha lekceważąco ręką.

Mam ochotę zapaść się pod ziemię. Co ja tu robię?

- Przepraszam, Enid. Czuję się nieswojo. Szczerze mówiąc, sam pomyślałem, żeby starać się być lepszą żoną, wydaje mi się nieco degradujący. - Odkładam poduszkę i sięgam po torebkę. Nie dam rady.

- Degradujący? - powtarza z niedowierzaniem. - Degradujący? A cóż w nim takiego degradującego? W zawodzie starasz się być jak najlepsza. A w małżeństwie? Czy nie jest ono co najmniej równie ważne? Ech, te dzisiejsze kobiety! - Zabrzmiało to, jakbym miała ze sto lat. - Godzinami wczytujesz się w kolorowe pisemka w poszukiwaniu porad, jak dobrze wyglądać i zrobić karierę. Tymczasem najważniejszą rolę w życiu zbywacie machnięciem ręki - mówi z oburzeniem.

Odkładam torebkę.

- Jesteście bierne, płyniecie z prądem, karmiąc się półprawdami, hormonami i nienazwanymi emocjami. Trzeba być aktywną. Przekonanie, że małżeństwo, miłość opierają się wyłącznie na tak zwanej chemii bądź przeznaczeniu, robi z kobiet bezwolne marionetki. Weź sprawy w swoje ręce! Bądź dobrą żoną! Zadbaj o swój związek! Dobry związek oznacza dobre życie. Nie ma absolutnie niczego degradującego w pragnieniu lepszego życia. - Przerzywa, żeby zaczerpnąć powietrza. - A teraz odłóż na bok swoje nedorzeczne feministyczne przesady i powiedz mi, w czym problem.

Uff, ależ mi dosoliła...

- Chyba powinnam zacząć odrobinę poważniej traktować swój związek.

- Moja droga, toż małżeństwo jest o wiele zbyt ważne, aby je traktować poważnie! - Śmieje się.

- No, mów.

- Och. - Nie bardzo wiem co. - On... mój mąż, Tom... Powiedział mi, że nie jest szczęśliwy. I jego matka. Ona też ze mną na ten temat rozmawiała. Mam wrażenie, że wszyscy mi to komunikują. Sądziłam, iż mamy przejściowe problemy, a teraz zaczyna to wyglądać na poważny kryzys. - Kawalek ciastka utkwiał mi w gardle. - A ja, na domiar złego, pragnę kolejnego dziecka... - Głos mi się łamie, spuszcza wzrok ze wstydu.

Enid pochyla się w moją stronę, na jej twarzy maluje się koncentracja, jakby usiłowała rozwiązać skomplikowane zadanie matematyczne.

- Mam już synka. Danny'ego. A niedawno poroniłam. Kilka miesięcy temu, tuż po powrocie z Toronto. I niedługo po śmierci mamy.

- Twoja mama umarła?

- Na raka.

Siada wygodniej i wzdycha. W jej oczach nie ma współczucia.

- Teraz rozumiem.

- Tom nie rozumie. Nawet nie płakał po tym nienarodzonym dziecku - dodaję prędko. Zdziwiająco, jak łatwo mi przychodzą zwierzenia. - Nie chce nawet o nim rozmawiać. Ani starać się o kolejne. Mówi, że najpierw musimy wyjaśnić sprawy między sobą.

Enid popija herbatę.

- Trudno mu odmówić racji, czyż nie?

Pytanie wytrąca mnie z równowagi. Racja nie ma tu nic do rzeczy. Irytuję się, że nie staję automatycznie po mojej stronie.

- Kolejne dziecko nam pomoże.

- Dzieci nie są od pomagania.

- Boję się, że on używa kłopotów w małżeństwie jako wymówki, żeby się nie angażować. Nie chce większej rodziny i nie chce mnie. - Nikomu nie mówiłam o tych lękach. Nawet Chloe. Samo wypowiedzenie ich na głos sprawia, że czuję się odrobinę lepiej. A może zawdzięczam rozluźnienie narkotekom w herbacie, Enid rzeczywiście jest seryjną morderczynią i skończę pogrzebana pod krzakiem lawendy.

Przechyla głowę na bok jak ciekawski wróbel.

- Tak?

- Całe to gadanie o moim bałaganiarstwie, braku wsparcia, spóźnialstwie jest niczym innym jak usprawiedliwieniem braku zaangażowania. - Wyrzucam z siebie słowa niczym amunicję. Wbijam paznokcie w dłonie, zostawiając na skórze małe czerwone półksiężycy. - On chce, żebym była do niczego, bo to mu daje wytłumaczenie, by się oddalać. Czasem myślę, że gdyby nie śmierć mamy i poronienie, już dawno by mnie zostawił. Że jest ze mną wyłącznie z litości. - Nabieram powietrza. Na moment

zapada cisza przerywana tykaniem zegara, bzyczeniem pszczoły objijającej się o szybę i stukaniem palców Enid o poręcz kanapy.

- Kochasz go? - pyta wreszcie.

- Kocham - odpowiadam z przekonaniem, które mnie samą zaskakuje. Tak często przecież go nienawidzę.

- Pasujecie do siebie?

- Raczej tak - mówię z mniejszą już pewnością. - Byliśmy w sobie zakochani do szaleństwa.

- Łatwo jest być zakochanym, prawda? Kochać kogoś o wiele trudniej. Ale skoro kochasz go mimo wszystko, nie jest wcale tak źle, kochana. - Patrzy na mnie surowym wzrokiem nauczycielki. - Musisz się teraz tylko wykazać pracowitością, zaangażowaniem i otwartym umysłem. Podejdź do tego, jakbyś miała zadanie do wykonania. Pytanie, czy się zdecydujesz. No jak? Wchodzisz w to?

Jestem zdezorientowana niespodziewanym przebiegiem rozmowy. W głowie ponownie dźwięczą mi słowa mamy. Co mam do stracenia? Głośno przełykam ślinę.

- Wchodzę.

- Cudownie! - woła Enid, klaszcząc w dłonie. - Wyznaczmy termin wykonania. To zwykle pomaga.

Przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią. Wrzesień. Chcę uzdrowić swoje małżeństwo przed rocznicą ślubu.

- Trzeci września.

- Września? - Marszczy brwi. - Mało czasu. Zrobimy, co w naszej mocy. Dobrze. Zatem pierwsza rzecz, jaką zwykłam powtarzać dziewczynom...

Przerywa nam pukanie do drzwi salonu. Wchodzi Eddie. Posyła mi zdziwione spojrzenie, oblewam się purpurą.

- Cześć, Sadie. Wychodzę, ciociu E.

- Do widzenia, kochany chłopcze. - Posyła mu całusa w powietrzu. - Wspaniały chłopak, prawda? - mówi, kiedy drzwi cicho się za nim zamykają. - Na czym to skończyłyśmy? Na twoim wyglądzie. - Omiata mnie krytycznym spojrzeniem, zatrzymując zgorszony wzrok na butach (zszarzałe conversy), obcisłych džinsach i taniej granatowej bluzce z top shopu. - Dokładnie oddaje twój nastrój.

Wybucham śmiechem na wspomnienie przerażonego wzroku Toma i jego kolegów na mój widok w złotej sukience, odsłaniającej białe owłosione nogi. Gdyby Enid wiedziała choć połowę.

- Czy twój dom znajduje się w podobnym stanie?

- Mniej więcej. - Wyszczierzam zęby w zakłopotanym uśmiechu. Dużo gorzej.

- Zatrudnij pomoc, kochana. Zrób porządek. Bałagan w domu źle działa na mężczyzn. Mają atawistyczną potrzebę, żeby kobieta przekładała piórka w gnieździe. To strasznie nudne i dlatego Bóg wynalazł gosposie. I karm go dobrze. Głodny mąż staje się nie do zniesienia. Jednakże nigdy nie za-

pominaj, że mężczyzna - choć nie bez oporów - wybaczy kobiecie zaniedbanie jego albo domu, natomiast nigdy nie wybaczy jej zaniedbania samej siebie. - Wpatruje się w moje buty. Wciskam stopy pod kanapę; Zrozumiałam przekaz. - Nie możesz także okazywać desperacji. Zapamiętaj sobie: jesteś radośna, spełniona i masz mnóstwo przyjaciół.

- Tak?

- Potrzebujesz zameężnych koleżanek. Masz grupę wsparcia? Swoją własną Iris, Maud i...

Hmm. Od powrotu do kraju nie wkładałam specjalnego wysiłku w życie towarzyskie. Większość znajomych wyprowadziła się na wieś, a ja nie odczuwałam szczególnej potrzeby wyjścia do ludzi. Mam tylko wysoce niezameężną Chloe, której za to wszędzie pełno.

- Nie mam.

- Tak myślałam, kiedy zobaczyłam cię samą w parku. Ja w twoim wieku nigdy nie bywałam sama w parku - dodaje z naganą. - Musisz mieć grupę przyjaciółek, moja droga. Poszukaj. Mąż nie pomoże ci przetrwać ciężkich chwil, zrobią to tylko inne żony. Otocz się nimi. Nie bądź zbyt zadowolona z siebie. Ucz się od innych. Zadawaj pytania.

Próbuję się nie roześmiać, wyobrażając sobie, jak przepytuję Perfekcyjną Pam z jej żoninych sekretów i zasypiam w trakcie rozmowy.

- Nie ma się z czego śmiać.

Karci mnie jak niesforną uczennicę. Dlaczego ja się na to godzę?

- Dzisiejszy styl życia sprawia, że ludzie popadają w samotność - wzdycha Enid i wygląda przez okno. - Nie zostaliśmy stworzeni do życia w pojedynkę ani nawet tylko we dwoje. Albert i ja oszalelibyśmy bez towarzystwa. To twój notes? - Pokazuje zeszyt w różowej okładce, który wystaje z mojej torebki.

Pół pamiętnik, pół notatnik. Tom nazywa go „zapiskami żony”. Zwykle, kiedy to mówi, na jego twarzy pojawia się uśmiech, jakby bawiło go określenie „żona” w odniesieniu do mnie, a także fakt, że zamiast blackberry lub iPhone'a mam dwudziestowieczny przeżytek, jakim jest papierowy notes. Różowy zeszyt stanowi stały element bałaganu w mojej brązowej skórzanej torbie, między jego kartkami zbierają się stare rachunki i rodzinne. Nie mogłabym się bez niego obejść: zapisuję informacje dotyczące klientów, terminy spotkań Danny'ego z kolegami, numery telefonów, pod które nigdy nie zadzwonię, nazwy cuda czyniących kremów przeciwzmarszczkowych, których na pewno nie kupię, wyczytane w gazecie, robię listy zakupów.

- Tak.

- Podaj mi go. Chcę coś zapisać.

- Po co?

Enid rzuca mi spojrzenie pełne niebotycznego zdumienia.

- Zapisać coś znaczy zrozumieć. Do czego będziesz się odnosić w chwilach słabości, jeśli tego nie zapiszę? Długopis poproszę.

Uśmiecham się do siebie. Mało prawdopodobne, bym przeglądała swój notes w poszukiwaniu inspiracji, jak być dobrą żoną. Chwileczkę, Tom, muszę coś sprawdzić w różowym zeszycie! Wysłałby mnie do psychiatryka. Podaję Enid cieknący zielony długopis i pochylam się, żeby widzieć, co zapisuje. Ma w przeciwieństwie do mnie równy, ładny charakter pisma.

Nie zanedbuj siebie ani domu. Zaprzyjaj się z innymi żonami. Karm męża. Udawajcie, że znowu jesteście narzeczeństwem. E X

10

Karm męża, myślę z rozbawieniem. Tom by się nieźle uśmieł. Szkoda, że nie mogę mu powiedzieć. To mój mały sekret. Mój tajny zestaw kobiecych sztuczek. Od razu po wejściu do domu wczuwam sztuczny kwiatowy zapach, mgliście znajomy. Tom wychodzi z kuchni, ma zaciśnięte szczęki.

- Twój ojciec przyjechał - syczy. - Próbowałem pracować i...

- Niemożliwe. Dopiero za tydzień wraca z Meksyku. Danny, nie rzucaj kurteczki na podłogę.

Z głośników w salonie dobiegają dźwięki utworu „The Girl from Ipanema”.

- Mój wnuczuś przyszedł? Boże, on tu rzeczywiście jest.

- Dziadzia! - piszczy Danny i biegnie do salonu.

- Mówiłem. - Tom patrzy na mnie z wyrzutem, jakby to była moja wina, że tata i Loretta odezwali go od pracy. Składając przysięgę małżeńską, nie mieliśmy pojęcia, że bierzemy ślub także z rodzicami partnera. Teściowie są na dobre i złe, jak się okazuje, nie tylko na uroczystości rodzinne.

Ojciec leży na naszej nowej limonkowej kanapie z nogami na poręczu. Opalił się i schudł nieco. Ma na sobie różową koszulę w kwiaty, krótkie spodnie koloru khaki, niebieskie skarpetki i kremowe skórzane sandały. Nie wygląda to najlepiej.

- Jak tam, córciu? - grzmi, błyskając radioaktywną bielą protezy zębowej.

- Świetnie. - Nachylam się, żeby go pocałować, wstrzymuję oddech, czując mocny zapach wody kolońskiej. Chyba się w niej wykapał. Nie używał wody kolońskiej, kiedy mama żyła. - Gdzie Loretta?

W odpowiedzi słyszę tupot obcasów wybijających dziury w naszym parkiecie.

- Poszła siusiu! - woła Loretta, wchodząc chwiejnym krokiem do pokoju. - Ciao, maleńki przystojniaku! - Podszczypuje Danny'ego w policzek. - Jak się masz, Sades?

- Dobrze, dziękuję. Rety, wyglądasz... - Brak mi słów. Loretta nigdy nie ubierała się zbyt konserwatywnie, ale dziś ma na sobie obcisły kombinezon w kolorze fuksji i szpilki w podobnym odcieniu różu. Zafarbowała włosy na platynowy blond, jej czterdziestoczteroletnia skóra jest opalona na mahoń.
- ...bardzo dobrze.

- Czujemy się dobrze! Wspaniale wypoczęliśmy! - Rozpromienia się. - Prawda, John?

Drażni mnie, kiedy odpowiadają na pytania w liczbie mnogiej. Mylą się, jeśli sądzą, że to czyni ich związek bardziej akceptowalnym.

- Kiedy wróciliście? - Jąkam wciąż oszołomiona obfitością różu, opalenizny i przyjacielskich uśmiechów. - Nie spodziewałam się was.

- Niespodzianka! - Zaśmiewa się ojciec, wymierzając mi kuksańca w ramię. - Szkoda, że nie widziałaś miny Toma, kiedy nam otworzył drzwi. Loreciu, gdzie prezenciki?

Loreciu? Prezenciki? Fuj! Ojcu chyba przeszczepiono osobowość. Ponad trzydzieści szczęśliwych lat spędził u boku mamy. Prowadzili razem spokojne życie na przedmieściach Reading. Uwielbiał pracować w ogrodzie, czytać i oglądać filmy dokumentalne o drugiej wojnie światowej. Mama interesowała się teatrem i garncarstwem. Ich związek był stabilny i harmonijny. Tato nie demonstrował swojej miłości romantycznymi gestami, jego uczucie było głębokie, spokojne i niezmienne. Oczy mu się śmiały, kiedy mama wchodziła do pokoju. Na przyjęciach nie odstępował jej na krok, nawet nie patrzył na żadną inną kobietę. Po śmierci mamy - tak jak przewidywała, odkąd dowiedziała się, że umiera - był zrozpaczony i zagubiony, niezdolny do zadbania o swoje podstawowe potrzeby. Nie gotował, nie prał, nie sprzątał. A potem poznał Loretę.

Przyznał się nieśmiało po pewnym czasie, iż zamieścił ogłoszenie w lokalnej gazecie: „Szukam przyjaciółki” - napisał. Odpowiedziała na nie Loretta Norris, rozwódka w średnim wieku z Milton Keynes - „żywiolowa, seksowna, atrakcyjna, z poczuciem humoru, lubiąca podróże, dobrą kuchnię i zabawę!!!”. Odkąd zaczął się spotykać z Loretą, sękaty stopy mojego ojca prawie nie dotykały brytyjskiej ziemi. Zaraził się od niej upodobaniem do kosztownych wycieczek (kiedyś wystarczał mu pensjonat na wyspie Wight) i przemierzał tysiące mil powietrznych. „Rozprowadzając mój przyszły spadek na skalę globalną” - jak to zgrabnie ujął Tom.

Nikt nie ma prawa komentować ich związku, chyba że ma do powiedzenia coś miłego. Pewnego razu ośmieliłam się zwrócić uwagę na problemy mogące wynikać ze znacznej różnicy wieku.

- Młoda damo! - ryknął ojciec, zalewając się purpurą. - Uważam się za największego szczęściarza na tej przeklętej planecie! Ilu podstarzałych wdowców znajduje taką kobietę jak Loretta? Jak możesz nie cieszyć się moim szczęściem? Nie chcę słyszeć złego słowa na jej temat!

Wtedy jeszcze nie powiedziałam złego słowa na jej temat, stąd moje przypuszczenie, iż nie byłam jedyną osobą, która chciała go ostrzec. Oczywiście pozostawał głuchy na ostrzeżenia. Jak mawiała mama: to uparty stary osioł.

Loretta wyklada na dywan zawartość słomianej plażowej torby.

- Proszę bardzo! - piszczy z przesadnym entuzjazmem. - Samochodzik, maleńki przystojniaku! - Pokazuje pomalowane blaszane autko, którym Danny jest, oczywiście, zachwycony. - Butelka bezcło-

wego napitku dla ciebie, Tom. - Tom przyjmuje whiskey z uprzejmym uśmiechem, nie wspominając, że nie pija tego trunku.

Mnie podaje niepewnie olbrzymi słomkowy kapelusz, przystrojony plastikowymi kwiatami. Wygląda jak meksykańskie nakrycie głowy z kreskówki, ozdobione sztuczną wiązką z dwugwiazdkowego hotelu.

- Mam nadzieję, że ci się podoba, Sadie.

- Długo wybierała - mówi tata, wpatrując się w Loretę wzrokiem zakochanego kundla.

- Pomyślałam, że najlepszy będzie z kwiatami - mówi ona. - Trochę tandetne, ale zabawne i...

- Jest śliczny. Dziękuję. - Trzymam kapelusz w ręku, nie wiedząc, co z nim zrobić.

- Przymierz, dziewczyno! Przymierz - podpowiada gromko mój ojciec.

Tom parska śmiechem, posyłam mu mordercze spojrzenie.

- Przymierz, Sadie. - Rozkoszuje się moim cierpieniem.

Wkładam kapelusz, czując się jak idiotka. Jest za ciasny, a rondo wchodzi mi na oczy. Kiedy je odsuwam do tyłu, na podłogę upada żółty kwiat.

- Uważaj! Sypiesz się - żartuje ojciec.

Danny przygląda mi się z niepokojem, prawdopodobnie w obawie, że znów zamienię się w potwora ze świecącymi rzęsami w złotej sukience.

- Chcieliśmy ci kupić coś, co wywoła twój uśmiech - wyjaśnia ojciec.

- Czy Tom zaproponował wam herbatę? - Uśmiecham się uroczo i próbuję odwrócić uwagę od ohydneho kapelusza.

- Marzę o czymś mocniejszym, kochana - odpowiada ojciec. - Spodobało nam się wielkopańskie życie, co Loretto?

- Ja poproszę sex on the beach - chichocze.

Wymieniamy z Tomem przerażone spojrzenia. Nie ma jeszcze szesnastej.

- Mama - odzywa się Danny, powoli wypowiadając słowa, na jego małej buzi maluje się zaskoczenie. - Co to jest sex on the beach?

- Nic! - Tom bierze go na ręce i łaskocze. - Przyniosę drinki. Czy zadowolili cię kieliszek wina, Loretto?

- Cudnie. Lubimy białe i schłodzone. Prawda, misiu?

Tom i ja wpadamy do kuchni, zamykamy za sobą drzwi.

- O mój Boże - syczę, zdzierając kapelusz z głowy. - On się zrobił niemożliwy. Czemu się nie przeprowadzą gdzieś w tropiki?

- Musisz się z tego śmiać, nic innego ci nie pozostaje. - Tom wyjmuje z lodówki butelkę sauvignon blanc.

- Jest za wcześnie, Tom. O wiele za wcześnie. To nie w porządku. - Jak zwykle, kiedy widzę ich razem, ogarnia mnie wściekłość nieproporcjonalna do sytuacji. Ten związek obraża moją ukochaną zmarłą matkę, która różniła się od Loretty jak dzień od nocy.

- Co wy tam robicie? Sadzicie winogrona? - rozlega się donośny głos ojca. - Niedługo musimy lecieć. Zabieram Lottie do miasta.

- Dokąd pójdziecie? - pytam, wracając do nich z winem. Mama regularnie odwiedzała Londyn. Uwielbiała National Portrait Gallery. Ojciec nie podzielał jej entuzjazmu. „Dotrzymuję tylko towarzystwa żonie” - mawiał radośnie.

- Cóż, ponieważ Loretta była w centrum Londynu zaledwie kilka razy... - Mruga porozumiewawczo.

- Pięć razy w całym swoim życiu! - Loretta kręci głową. - Zawsze powtarzam, że wszystko, czego potrzebuję, mam w Milton Keynes. A zwłaszcza miejsce do parkowania.

Ojciec wychyla wino jednym haustem. Zauważam, że jego nos jest czerwony na czubku. Nie wygląda to na opaleniznę, raczej na wpływ alkoholu.

- Przejdziemy się rykszą.

Oczywiście znekanej wyobraźni widzę już Loretę z rozwianymi włosami i ojca udającego Sparta-kusa.

- Potem przejdziemy się do Selfridges.

- Nigdy tam nie byłam. - Loretta nakłada na usta różową pomadkę i głośno cmoka. - Chcę popooglądać luksusową bieliznę. Kupić coś ładnego. - Uśmiecha się skromnie.

- Na koniec zafundujemy sobie kolację w luksusowej restauracji, napijemy się szampana - dodaje ojciec, mrugając po raz kolejny. Loretta pąsowieje, chichocze i macha nogą, spada jej pantofel, odsłaniając żółtą, spękaną podeszwę stopy. Zalega niezręczne milczenie, a po chwili słyszę słowa: - Świętujemy, bo Loretta zgodziła się zostać moją żoną!

- Żoną? - upewniam się. To nie może być prawda.

Loretta uśmiecha się przepraszająco, ale w jej oczach widać złośliwość. Przypomina dziecko, które wie, że robi źle, ale to go nie powstrzymuje.

- W takim razie... Eee. Gratuluję - odzywa się Tom, ściska dłoń taty. - Wspaniała wiadomość.

- Dziękuję, synu. - Ojciec klepie go po plecach.

Mama nie żyje zaledwie od roku. Jestem wstrząśnięta, oburzona, niezdolna wydusić z siebie słowa. Loretta unika mojego wzroku, a ojciec wpatruje się we mnie uporczywie, czekając na błogosławieństwo.

- Tak, gratulacje - udaje mi się wreszcie powiedzieć. - Przepraszam na chwilę. - Wychodzę do kuchni, żeby odetchnąć.

Ślub? Niech to piekło pochłonie. Próbuję sobie wytłumaczyć, że to dobrze. Tata jest szczęśliwy, nie będzie sam... Nie potrafię się z tego cieszyć. Czy to znaczy, że jestem złą córką? Mama z pewnością chciałaby, żeby kogoś poznał, ale przecież nie Loretę! I to już po kilku miesiącach od jej śmierci. Usiłuję się uspokoić przed powrotem do gości.

- Ślub dopiero w przyszłym roku. Postanowiliśmy połączyć uroczystość z czterdziestymi piątymi urodzinami Loretty. Jednak nie omieszkamy wyprawić hucznych zaręczyn. - Ojciec buja na kolanach Danny'ego.

- Świetnie - mówię, pragnąc jak najszybciej zakończyć ten temat. Siadam na krześle, aby nie widzieć popękanych pięt Loretty.

- Powiedz im, kochanie. Ty jesteś szefową.

- Więc... - Loretta bawi się łańcuszkiem, na którym nosi otwierany wisiołek ze zdjęciem mojego ojca w środku. - Mamy zamiar wyprawić coś w rodzaju letniego pikniku. Myślimy o wynajęciu stodoły pod Milton Keynes i przystrojeniu jej.

- Cudownie.

- Zaprosz wszystkie swoje koleżanki, Sadie. Twoja rodzina także koniecznie musi przyjść, Tom. Im nas będzie więcej, tym weselej. - Ojciec przeciąga się. - Trzeba wydać trochę gotówki, zabawić się. W końcu człowiek nie zaręcza się codziennie.

11

„Udawajcie, że znów jesteście narzeczeństwem”. Co za idiotyzm, mamroczę pod nosem wściekle, przetrząsając szuflady w poszukiwaniu czegokolwiek przypominającego bieliznę, jaką nosiłam, kiedy byłam szczupła i wciąż zainteresowana tym, jak wyglądam w trakcie tych dwóch sekund, jakie mijały od zdjęcia ubrania do pozbycia się jakichkolwiek strzępków odzienia. Znajduję jedną jedyną parę różowych koronkowych majtek z tamtego właśnie okresu życia. Przetrwały, gdyż nie były noszone. Odstraszyła mnie metka: „Wyłącznie do prania ręcznego”. Biustonosze są jeszcze gorsze, zbyt usztywniane, żeby pretendować do miana seksownych. Zawsze uważałam, że lepiej unieruchomić piersi za pomocą rusztowania, niż pozwolić im swobodnie opaść w miękkim kokonie z delikatnej koronki. Pozostaje jeszcze problem sutków, które przez karmienie piersią zamieniły się w ostre pinezki i trzeba je trzymać pod kontrolą. Patrząc w lustro, żałuję jednak, że nie posiadam nic koronkowego, gdyż moje piersi obleczone w sztywny stanik przypominają dwie beżowe główce jądrowe.

- Pośpiesz się, Sadie! - woła Tom. - Jesteśmy spóźnieni.

W wolnym tłumaczeniu: „Zawsze się spóźniasz, Sadie”. Być może Tom ma rację. Ale przecież nigdy nie spóźniam się celowo. W tym przypadku również istnieją okoliczności łagodzące. Danny wpadł w histerię, kiedy dowiedział się o naszym planowanym wyjściu, a Rona, którą Tom poprosił o

opiekę nad małym, po sto razy dopytywała się, gdzie co leży, „na wszelki wypadek”. „Sadie” - sapnęła w pewnym momencie z przerażeniem, zakrywając usta dłonią. - „Szukałam w szufladzie klucza do kuchennych drzwi, na wypadek gdyby wybuchł pożar i musiałabym natychmiast się z Danny’em ewakuować, a znalazłam pa... paczkę papierosów - ty palisz? - i mnóstwo zardzewiałych gwoździ!”. Można by pomyśleć, że celowo zastawiłam na nią pułapki w całym domu, tylko po to, żeby sprawić jej przykrość. Dwadzieścia minut zajęło mi odnalezienie zapasowego klucza, który ukryłam w „bezpiecznym miejscu”. Miejsce było tak bezpieczne, że nikt by go nie znalazł: zapasowa rolka papieru toaletowego w łazience na dole, między zakurzoną kulą włosów a złamaną kończyną transformersa.

- Daj mi pięć minut!

- Pam zapraszała na dziewiętnastą trzydzieści! A jest już prawie dwudziesta!

- Idę! - kłamię. Potrzebuję jeszcze pięciu minut. Zastanawiam się nad włożeniem zielono-srebrnej sukienki, w której chodziłam w czasie miesiąca miodowego. Czy mam odwagę? Wciskam się w nią i otrzymuję odpowiedź. Materiał wpija mi się w skórę pod pachami. Cholera, mam grube pachy. Nie zdawałam sobie sprawy, że istnieją takie problemy. Ubieram się w to, co zwykle: obcisłe džinsy i błękitną jedwabną bluzkę z dekoltem, która podkreśla kolor moich oczu. Stopy wsuwam w ulubioną parę szpilek ze sztucznej krokodylej skóry - ślicznych, mam nadzieję, ale kto wie - i piekielnie niewygodnych. Biegnę do łazienki, żeby zrobić makijaż. Kosmetyczkę znajduję pod flanelową piżamką Danny’ego i paczką wacików. Ku mojej radości jest w niej jeden z fluidów Chloe. Nieźle, nieźle... A tusz do rzęs? Gdzie, u licha, podział się mój tusz do rzęs?

- Sadie! - W głosie Toma pobrzmiwa desperacja. - Chodź już!

Moje wejście do salonu przerywa jego rozmowę z matką, mam wrażenie, że rozmawiali o mnie. Teddy wbija się pazurami w moje kolana.

- Leżeć, Teddy! - Rona patrzy z niedowierzaniem. - Szpilki?

- Nie chcę za bardzo odstawać od eleganckiego towarzystwa. - Twarz Rony pozostaje bez wyrazu. - Choć pewnie nie zwrócą nawet na mnie uwagi, zajęci rozmową o dzieciach i cenach nieruchomości - dodaję, zerkając na Toma. Wywraca oczami, uważa, że jestem złośliwa, i ma rację. Trudno się pozbyć pewnych nawyków.

- Długo masz te buty, Sadie?

- Od zawsze. - Patrę na nią nieprzychylnie. Teddy obwąchuje z ciekawością sztuczną skórę, jakby to było coś smakowitego.

- Długo się trzymają, jak na tani zakup, prawda?

Tom unika mojego spojrzenia, nie chcąc brać udziału w sprzeczce.

- Dobrze. Idziemy - mówi.

Biegnę na górę, żeby ucałować Danny’ego na dobranoc. Siedzi na łóżku w swojej piżamce w ciuchcie, w ogóle nie wygląda na sennego. Głaszczę go po główce i daję buziaka w policzek.

- Baw się dobrze z babcią.

- Nie wolno mi mówić do niej babciu.

Rzeczywiście, Rona uznała, że ten tytuł ją postarza, i kazała do siebie mówić po imieniu. Danny jest zagubiony, co doprowadza mnie do szału. Chciałabym, żeby miał normalną ciepłą babcię, jaką byłaby moja mama.

- Wolno, jeśli chcesz - mówię złośliwie.

- Sadie! - niecierpliwi się Tom. - Musimy wychodzić!

- Bawcie się dobrze! - Rona odprowadza nas do drzwi.

- Należy ci się odrobina rozrywki, Tom. Tak ciężko pracujesz, wspaniale sobie radzisz. Jesteśmy z ciebie dumni oboje z ojcem. I nie martw się o Danny'ego. Zadzwoń w razie problemów. Do ciebie albo na pogotowie.

- Denerwują mnie jej katastroficzne przepowiednie, Tom - wzdycham, kiedy oddaliśmy się od domu. - Najgorsze, co się może przytrafić Danny'emu, to pogryzienie przez jej wściekłego kundla.

- Masz rację. - Ścisną mnie za rękę. - Mama już taka jest, nie zwracaj uwagi na jej paplaninę. Zostawiliśmy Danny'ego pod dobrą opieką, a teraz spróbujmy się odprężyć. - Uśmiecha się do mnie. - Pięknie wyglądasz, Sadie.

- Dzięki. - Natychmiast zaczynam iść różnijszym krokiem. Dopiero przed eleganckimi drzwiami Perfekcyjnej Pam w pięknym odcieniu zieleni z ogromną złotą kołatką i drzewkiem oliwkowym po każdej stronie mój dobry nastrój pryska i wracają nerwy. To pierwsze sąsiedzkie przyjęcie, na które zostaliśmy zaproszeni, odkąd wróciliśmy do Londynu. Szkoda, że wszyscy goście mają powiązania z pracą Toma. Zarazem jest to doskonała okazja do skorzystania z rady Enid i nawiązania przyjaznych relacji z innymi żonami.

- Cześć, kochani! - Pam otwiera nam drzwi z promiennym uśmiechem, patrzę na jej kształtny brzuch.

- Przepraszamy za spóźnienie. To moja wina. - Podaję jej bukiet żółtych frezji, który chwyciłam, wychodząc z domu. Kupiłam je rano, jadąc na zlecenie do studia fotograficznego, i nie wykorzystałam.

- Prześliznę! - Pam przysuwa kwiaty do twarzy. - Chodźcie! Wybaczcie ten okropny bałagan!

Odczuwam przypływ natychmiastowej ulgi, słysząc słowa „okropny bałagan”, moja radość trwa jednak krótko, ponieważ szybko zauważam, że przedpokój Pam i Setha z tapetą w srebrne kwiaty i wypolerowanym parkietem wygląda nieskazitelnie. Nie ma brudnych butów ani mokrych kurtek na podłodze. Jedynym dowodem istnienia dwójki dzieci są artystyczne czarno-białe fotografie na lustrzanym stoliku, na którym stoi również kompozycja z lilii i zielonych róż w cylindrycznym wazonie, wysadzonym kawałkami srebra i szkła.

- Och, nie patrz na ten okropny wiecheć! - śmieje się Pam, jakby mówiła o chwastach z ogrodu, a nie kosztownym bukicie. - Musi ci się wydawać okropnie nie na czasie.

- Przeciwnie - zapewniam. - Poza tym bardzo ładny i oryginalny wazon.

- Sama go zrobiłam. - Uśmiecha się, pokazując garnitur zębów, które mogłyby reklamować nici dentystyczne.

- Zdolna jesteś. Też próbowałam sklecić na lekcji garncarstwa, ale mój przeciekał.

- Przyznaję ze wstydem, że jedynie ozdobiłam gotowy wazon z pomocą małej Tallulah.

- Imponujące - stwierdza Tom, nie patrząc na wazon, lecz na dekolt Pam. Nagle, nie wiedząc czemu, wszystkie moje wysiłki, by podkreślić własny biust, wydają mi się żałosne. Nasza gospodyni ma na sobie granatową suknię z miękkiej udrapowanej tkaniny, która idealnie podkreśla atuty jej sylwetki, oraz kosztowne buty na wysokich korkowych platformach. Seksowna mamuśka. Czuję się brzydka, zaniedbana i bezpłodna.

- Za mną, proszę! - Tom odruchowo patrzy na jej tyłek.

Wchodząc do salonu, widzę, że naprawdę sporo się spóźniliśmy. Przyjęcie trwa w najlepsze. Sądziłam, że tego typu imprezy przestały być modne w latach osiemdziesiątych. Jest to typowa proszona kolacja. Pary siedzą naprzeciwko siebie za długim stołem, przykrytym białym obrusem, ozdobionym zadziwiającą ilością małych świeczek na różowych i zielonych podstawkach oraz ciekawymi kompozycjami z pokrytych brokatem gałązek i kwiatów, pływających w porcelanowych miseczkach. Serwetki są zrolowane i przewiązane jakimś naturalnym włóknem, przy każdej żywa stokrotka. Kobiety uśmiechają się z przymusem. Czuję się nie na miejscu. Jak dziecko na przyjęciu dla dorosłych.

- Kochani, przybyli Tom i Sadie, nasi nowi sąsiedzi i członkowie andersonowskiej ekipy. Prosto z samolotu z Toronto! - ogłasza Pam.

- Ach! - rozlega się zbiorowa odpowiedź, a my zostajemy skierowani na swoje miejsca. Zerkam w stronę kuchni: rząd równiutko poukładanych książek kucharskich i kilka luksusowych produktów spożywczych. Nie widzę żadnych porzrzuconych skarpetek ani śladów po lepkich dziecięcych paluszkach. Kwintesencja porządku i dobrej organizacji domowego życia.

- Powstrzymam się od niezręcznych formalnych prezentacji - mówi Pam. - Nie jesteśmy tutaj formalistami. Więc powiem w skrócie: to jest Nick, dyrektor amerykańskiej filii firmy.

Nick ma nadwagę i błyszczącą łysinę, do złudzenia przypominającą lampion tuż nad jego głową. Wygląda na najstarszego z obecnych. Unosi dłoń w milczącym pozdrowieniu.

- A oto jego żona, Tara. - Chuda jasnowłosa dziewczyna w seksownej czarnej sukience uśmiecha się niepewnie. Ona z kolei wygląda najmłodziej z nas wszystkich.

- To Alex. - Pam wskazuje kolejną parę. - Nowy u nas, prawda, Alex? Asystent...

Alex spuszcza głowę, jakby zawstydzony, że został nazwany asystentem.

- Jest naszym bohaterem. Do niedawna był na urlopie tacierzyńskim.

Alex mamrocze coś pod nosem.

- No tak, przepraszam. Pracował także nad scenariuszem, który z pewnością okaże się wielkim hitem, kiedy go sprzeda. Ależ tak! Nie bądź taki skromny, Alex! Jego żona, Ruth. Ma prawdziwą pracę - dodaje. - Jest prawniczką. Mieszka niedaleko. Bliźniaki Louis i Callum niedawno poszły do tego samego przedszkola, co nasze dzieci. - Mruga do mnie porozumiewawczo. - Tak, ją także tam skierowałam, Sadie. Mówię ci, zamienię to miejsce w ochronkę dla andersoniątek. Powinni mi płacić prowizję.

Przyglądam się uważniej Ruth, wygląda znajomo. Zdaje się, że widziałam ją jakiś tydzień temu wbiegającą i wybiegającą z przedszkola w eleganckiej garsonce. Dziś ma na sobie czarne spodnie i niedopasowaną jedwabną bluzkę, opadającą na ramionach, spod której wystaje grube ramiączko beżowego biustonosza, strój wygląda na przypadkowy. Od razu wydaje mi się sympatycznym przeciwieństwem mojego wyobrażenia o kobietach sukcesu. Z radością siadam obok niej.

Pam przechodzi do połączonej z salonem kuchni. Naturalnie kuchnia jest urządzona funkcjonalnie i ze smakiem. Estetyczne akcesoria sprawiają wrażenie, jakby mogły zostać zaprojektowane przez Nigellę, piekarnik imponuje wielkością. Stawia na stole ogromny półmisek z szynką parmeńską i figami, przy okazji prezentując wspaniały dekolt. Wszyscy wydają pełne uznania okrzyki, mężczyźni prawdopodobnie z innych powodów niż kobiety. Seth nalewa rubinowe wino do ogromnych pucharów. Przysięgam sobie w duchu, że się nie upiję i nie narobię Tomowi wstydu. Będę się zachowywać jak przykładowa pani domu, zaangażowana w życie społeczne, zrównoważona niewiasta, którą każdy pragnie zaprosić na przyjęcie. Dokładnie tak. Niemniej jednak drinka sobie nie odmówię, potrzebuję czegoś na ukojenie nerwów i przełamanie nieśmiałości. Sięgam po swój kieliszek, zahaczając rękawem o świeczkę, przemyślnie ukrytą wśród dekoracji. W powietrzu unosi się zapach spalenizny.

- Sadie! Rękaw ci się pali! - krzyczy Pam.

Wszyscy wokół machają swoimi lnianymi serwetkami, nad stołem latają stokrotki i kawałki wikliny.

- Kurwa! - wrzeszczę, kiedy płomień zaczyna parzyć mi skórę.

Tara wylewa na mnie szklanek wody.

- Kurwa! - krzyczę ponownie, czując na skórze zimne krople.

Rozlega się syk gasnącego ognia, a potem zalega cisza.

- Nic ci nie jest? - odzywa się wreszcie Seth nosowym głosem.

- Tak, w porządku! - odpowiadam zbyt głośno, marząc o tym, żeby zarzucić sobie na głowę biały obrus i opuścić ten idealny dom. Tom posyła mi spojrzenie mówiące „coś ty znów zmalowała”, choć w kącikach jego ust czai się ciepły uśmiech. - Nic się nie stało. Będzie tylko niewielki bąbel. - Opuszczam rękaw, by ukryć oparzenie.

Pam wybucha śmiechem.

- Często ma takiego pecha, Tom? Niedawno zamknięto ją w mieszkaniu, uciekła niczym Houdini, żeby pojawić się na bankiecie, wyglądając jak bohaterka „Zagubionych”, przy której my sprawiliśmy wrażenie pudli na wystawie. Potem cudem uniknęła zmiżdżenia przez spadającą gałąź... Powinnaś chodzić w kasku i ubraniu ochronnym.

Towarzystwo zaczyna się głośno śmiać, napięcie opada. Szalenie zabawne, naprawdę. Tylko Ruth uśmiecha się do mnie ze zrozumieniem.

- Mnie się takie rzeczy przydarzają bez przerwy - szepcze, zaskarbiając sobie moją sympatię.

Przyjęcie toczy się dalej. Goście zachwycają się zdolnościami kulinarnymi Pam. Pam chwali się priusem, którego dostała od Setha. Stoi zaparkowany obok rodzinnego range rovera. Nick przedstawia dowód swojej zamożności, wspominając nonszalancko, iż wybierają się z Tarą na ekowczasy do Argentyny w przyszłym miesiącu. Alex, mąż-asystent Ruth, pozostaje milczący. Dowiadujemy się, że Tara pracowała w „branży modowej”, założyła z przyjaciółmi małą firmę produkującą dzinsy na Notting Hill. Porzuciła „karierę” trzy lata temu, kiedy to poznała Nicka, dzięki któremu uświadomiła sobie, iż jej pierwsze małżeństwo to fikcja.

- To było bardzo romantyczne - mówi całkiem poważnie. - Pobraliśmy się, jak tylko sfinalizowaliśmy nasze rozwody.

Dziś wiecie szczęśliwy żywot andersonowskiej żony i macochy ośmioletniego syna Nicka z pierwszego małżeństwa, imieniem Noah. Ulga, z którą opowiada o tym, że chłopiec zaczął w tym roku szkołę z internatem, jest niemal namacalna.

- Teraz, kiedy go nie ma, mogę ponownie skupić się na karierze - wzdycha Tara. - Chcę zrobić coś nowego.

- Tak? A co? - pyta uprzejmie Ruth, nabierając na widelec trochę przywiedłego szpinaku.

- Jeszcze nie wiem - odpowiada niepewnie Tara i podnosi do ust kieliszek wina. - Ale chcę coś zrobić, coś znaczącego, być kimś więcej niż... - Przerywa.

- W Londynie bycie kurą domową powoli wychodzi z mody, Sadie - wyjaśnia Pam, jakby była Eskimoską, która przyjechała z wizytą. - Dobrze jest przynajmniej udawać, że się coś robi. Obawiam się, Taro, że zostałyśmy w tyle za obowiązującymi trendami.

Mocno kopię Toma pod stołem. Seth patrzy na mnie ze zdziwieniem, natomiast Tom w ogóle nie reaguje. Ku swemu przerażeniu zdaję sobie sprawę, że kopnęłam niewłaściwą osobę. Na embriowatą twarz gospodarza wypełza uśmieszek. Chyba pomyślał, że go podrywam. Czym prędzej spuszczam wzrok na talerz i dźgam rybę widelcem.

Diabeł morski. Która gospodyni odważyłaby się podać tak trudną do przyrządzenia rybę?

- W Ameryce panują inne zwyczaje, prawda, Sadie? - pyta Pam bardzo głośno, jakby zwracała się do kogoś, kto jest głuchy lub mało inteligentny. - Proszę, dolej ci wina.

- W Ameryce pewnie tak. Kanada jednak trochę się różni od Ameryki. Tam oba style życia są równie często spotykane. Jeśli chodzi o kobiety z bogatych domów, dziedziczki, wiele prowadzi aktywne życie zawodowe. - Uśmiecham się przepraszająco do Tary, nie chcąc, żeby pomyślała, iż próbuję podkopać jej pewność siebie. Seth nadal się we mnie wpatruje i rozbiera wzrokiem. Krzyżuję ręce, zakrywając swoje główce nuklearne.

- Wiesz co? - Pam potrząsa głową, odgarniając włosy z twarzy. - W porządku, ale... - Nabiera powietrza, jej imponujący biust staje się jeszcze bardziej imponujący.

- Nie wyśmiewajmy się z żon i matek.

Seth klepie ją uspokajająco po rękę.

- Nikt tego nie robi, skarbie.

Pam nie zwraca uwagi na swojego męża, pochyla się do przodu.

- Mogę powiedzieć z ręką na sercu... - uderza się w lewą pierś, wprawiając ją w drganie. Tom mruga, jakby poraziło go światło - ...że jestem dumna, będąc żoną i matką. Z dumą przyjąłam nazwisko męża, jestem dumna, mogąc prowadzić dom i wychowywać kolejne pokolenie. - Zerka na Aleksa i traci pewność siebie. - Oj, przepraszam. Nie miałam zamiaru umniejszać roli niepracującego ojca.

- Nie byłem niepracującym ojcem. Pisałem... - zaczyna z irytacją Alex.

- Scenariusz. Oczywiście - dodaje Pam, pogłębiając jego upokorzenie. - Ja nawet tego nie robię - wzdycha. - Wiem, że jestem niedzisiejsza, ale z przyjemnością pozostawiam Sethowi rolę głowy rodziny.

Wymieniam z Ruth porozumiewawcze spojrzenia. Obie mamy ochotę parsknąć śmiechem, nie możemy sobie na to pozwolić, dlatego szybko odwracamy wzrok. Tom wpatruje się bałwochwalczo w Pam. Z pewnością wolałby oddać się pod opiekę Perfekcyjnej Pam, niż wracać codziennie do domu, gdzie czeka kolacja w postaci dwóch wędzących porów oraz pijana żona, wyglupiająca się z koleżanką.

Tymczasem małżonek perfekcyjnej pani domu sprawia wrażenie znużonego.

- Nie zwracajcie uwagi na to, co mówi. Przesadza. To ona nosi spodnie w tym domu. Z własnej woli nigdy nie kupiłbym toyoty napędzanej jakimś ekologicznym świństwem.

- Babska sztuczka - chichocze Pam i trzepie rzęsami.

Ona flirtuje z własnym mężem! Kiedy ja ostatnio flirtowałam ze swoim? Pam zachowuje się jak nowo poznana dziewczyna, a nie żona! Dokładnie tak, jak radziła mi Enid. Patrz i ucz się, Sadie. Patrz i ucz się.

- Ty możesz być w domu z dziećmi i jednocześnie pracować, Sadie. Najlepsze z obu światów - wzdycha Tara.

- Też tak uważam - mówię, patrząc wymownie na Toma.

- Założę się, że poznasz mnóstwo ciekawych ludzi - dodaje Pam. - I masz świetną okazję, żeby zapuścić żurawia do ich szuflad, co? Masz dla nas jakieś pikantne historyjki? Podziel się, nie bądź taka!

- Tajemnica służbowa. Poza tym moja praca tak naprawdę wcale nie jest ciekawa. Chociaż parę tygodni temu poznałam pewną ekscentryczną staruszkę.

Tom wydaje z siebie głucho jęknienie.

- Sadie pracuje dla bogatej starszej pani, mieszkającej w wielkiej rezydencji w St John's Wood. Ma na imię... - Denerwuje się za każdym razem, kiedy wspominam mu o Enid. Chyba uważa ją za zagrożenie. Dość paradoksalne.

- Enid - mówię.

- Sadie spotkała Enid w Regent's Parku, podczas gwałtownej burzy - wyjaśnia, kiwając mądrze głową, jakby uważał, że to wszystko tłumaczy. - Tego samego dnia, kiedy spadła jej na głowę gałąź.

- A jak zdobywasz innych klientów? - zainteresowała się Ruth.

- Stare kontakty, znajomi znajomych...

- Chloe Mansfield zna setki ludzi. - Pam zwraca się do Ruth i Tary. - Moja dawna znajoma i, jak się okazuje, dobra przyjaciółka Sadie. Moda i kwiaty świetnie do siebie pasują, nieprawdaż?

- Prawda - przyznaję. - Rzeczywiście dzięki Chloe poznałam wiele miłych osób. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

- Biedna dziewczyna - wzdycha z zadumą Pam, zgarniając okruszki ze stołu. - To musi być straszne: nie mieć nikogo w naszym wieku.

Tara kiwa głową. Ruth nie wygląda na przekonaną.

- A dla mnie brzmi jak niezły ubaw - rechocze Seth. Śmiech więźnie mu w gardle pod wpływem morderczego spojrzenia, które posyła mu Pam ponad miską kartofli. Gospodyni sprawnie zbiera talerze i podaje deser. Ulubiony pudding Toma. Skąd wiedziała? A może jej instynkty opiekuńcze obejmują wszystkich mężów na świecie?

- Mój ideał kobiety - ślini się Tom. - Boże, nie jadłem tego od jakichś czterech lat.

My jesteśmy ze sobą mniej więcej cztery lata.

Pam promienieje zadowoleniem. Nie jest fałszywie skromna, to jej trzeba przyznać. Po puddingu nadchodzi czas na wspaniałe półmiska błękitnych kremowych serów, gałązki suszonych winogron oraz plasterki gruszki. Nawet ja jestem najedzona. Do tego wino deserowe. Ja tak nie gotuję nawet na Boże Narodzenie, a co dopiero na „skromną kolację”. Im więcej zdolności gospodarskich prezentuje nam Pam, tym się czuję mniejsza. Powinnam docenić jej gościnność. Ale widzę, jak bardzo Tom się nią rozkoszuje - pochłania jedzenie jak wygłodzony zakładnik. Czy mówiąc, że musimy uporać się z naszymi problemami, miał na myśli między innymi moją kuchnię?

Pod koniec wieczoru rozmowa nieuchronnie schodzi na temat edukacji dzieci - patrzę triumfalnie na Toma - następnie cen nieruchomości, a potem...

- Planujecie więcej dzieci? - pyta nagle Seth, zerkając na mnie z pijackim uśmiechem.

Zamieram.

Pam szturcha Seta mało dyskretnie, on zdaje się tego nie zauważać.

- Na razie nie - odpowiada zwięźle Tom, wpatrując się uparcie w obrus.

- Lepiej, kiedy między rodzeństwem nie ma zbyt dużej różnicy wieku - wtrąca się beztrudno Ruth.

Myślę o równo ułożonych maleńkich kaftanikach i śpioszkiach w szafie niemowlęcej sypialni. Spoglądam na Toma. Nadal patrzy w obrus. Chciałabym, żeby się do mnie uśmiechnął, wziął za rękę, uczynił jakiś gest podkreślający, że jesteśmy razem, ale nic takiego nie robi. Do oczu napływają mi łzy. Wszyscy goście wpatrują się w swoje talerze, wyczuwając, że został poruszony niezręczny temat i ktoś może okazać wstydlive emocje, rujnując wspaniałą pudding.

- W porządku? - pyta szeptem Pam, dotykając lekko mojej dłoni.

Kiwam głową wzruszona jej troską.

- Cieszę się, że dołączyłaś do naszego grona, Sadie. Zaprosiłam was tu dziś nie bez powodu, kochani - oświadcza z uśmiechem.

A więc ma ukryty motyw.

- Pomyślałam sobie, że skoro mieszkamy we cztery tak blisko siebie, a nasi mężowie pracują w jednej firmie, powinniśmy spędzać ze sobą więcej czasu. Może nawet włączyć się w zbieranie funduszy na cele charytatywne. Firma Anderson jest pod tym względem bardzo aktywna.

- Pod względem korzystania z ulg podatkowych także... - mruczy pod nosem Seth.

- Dlaczego mówicie tylko o żonach? Przecież kobiety na pewno też tam pracują? - pytam wdzięczna za zmianę tematu.

Tom, Seth i Alex parszczają śmiechem.

- Niewiele i głównie na niższych stanowiskach - wyjaśnia Ruth. - To męskie środowisko.

- Jesteście zainteresowane pomysłem, drogie panie?

- Z przyjemnością bym się przyłączyła, tyle że mam urwanie głowy w pracy - odpowiada pośpiesznie Ruth.

- To brzmi okropnie egoistycznie, ale...

- Pracujesz i wychowujesz bliźniaki. - Staję w jej obronie.

- Och, bez obaw, Ruth. Ja zajmę się kwestiami organizacyjnymi - zapewnia Pam. - Obiecuję, że nie zabierze ci to dużo czasu.

- Nie przejmuj się, Ruth - śmieje się Seth. - Powinnaś ją była widzieć w pracy. Prawdziwa dyktatorka.

- Nie mogę tylko siedzieć w domu i przybierać na wadze aż do porodu - wyjaśnia Pam. - Potrzebuję zajęcia.

- Ja także - mówi Tara. - Wchodzę w to.

- Ciebie też liczę, dobrze, Ruth? Cudownie. Sadie? - naciska Pam. Domyślam się, jaką musiała być ambitną karierowiczką, dopóki nie skierowała energii na inne tory.

Rozsądek nakazuje mi odmówić, ale przypominam sobie rady Enid i zgadzam się bez przekonania. Tom uśmiecha się z zaskoczeniem, a także odrobiną ulgi.

- W takim razie jesteśmy umówione. - Pam unosi do góry kielich. - A teraz proszę, aby ktoś zjadł ten przepyszny serek, żeby nie kusił ciężarnej kobiety.

12

Jest dziewiąta rano, słońce prześwieca przez szparę-której-nie-da-się-zasłonić w jasnoszarych aksamitnych zasłonach. Z dołu dobiega szcęk naczyń kuchennych i szczekanie Teddy'ego. Rona i Danny jedzą śniadanie. Tom leży obok mnie, jego nos pokrywa warstwa potu, wargi są wysuszone po sporej ilości wina wypitego wczoraj u Pam, krzywa wieża dotyka mojego uda. Gdybyśmy byli narzeczeństwem, zrobiłabym pewnie dwie rzeczy: przyniosła mu śniadanie do łóżka i wskoczyła na niego entuzjastycznie. Zważywszy na obecność potwora na dole, ograniczę się do tego drugiego. Nawet nie pomyśli o kawie i rogaliku! Przytulam się i wiodę dłonią w górę jego uda, gratulując sobie w myślach, że włożyłam przed snem śliwkową jedwabną koszulkę, a nie ulubione flanele.

- Dzień dobry, mamusiu! - przerywa mi radosne wołanie Danny'ego.

Drzwi sypialni uchylają się i uwodzenie zostaje przerwane, nim się zaczęło, a ja gdzieś tam w środku oddecham z ulgą. Gdybym w takiej sytuacji odetchnęła z ulgą w okresie narzeczeństwa, najprawdopodobniej uznałabym, że jestem z niewłaściwym facetem. Danny wskakuje na łóżko. Przytulam go, nagle dostrzegam coś dziwnego.

Mój synek wygląda inaczej. Jego włosy! - Dociera do mnie z pewnym opóźnieniem.

- Danny, skarbie, co się stało z twoimi włoskami? - Szturcham Toma między zębra. - Zobacz, Tom!

Danny uśmiecha się szeroko i przesuwa rączką po ostrzyżonej główce.

- Rona mnie obcięła. Powiedziała, że wyglądam jak Cyganiątko.

Co za bezczelność! Zakrywam usta dłonią.

- Babcia obcięła ci włosy? - powtarzam wolno, z niedowierzaniem.

- Co się stało, mamusiu? - pyta zaniepokojony.

- Nic, kochanie - odpowiadam z wymuszonym uśmiechem, nie chcąc sprawić mu przykrości. - Wyglądasz bardzo elegancko.

- Rona mówi, że dobrze jest wyglądać elegancko. - Danny uśmiecha się szeroko, zadowolony z mojej akceptacji, i wchodzi pod kołdrę. - Nawet jeśli mamusia wygląda inaczej.

- Tylko spokojnie - szepcze Tom, wykrzywiając się w moją stronę. - Stało się.

Próbuję być spokojna, ze względu na swoje małżeństwo, zdrowie psychiczne oraz ciśnienie. Wskakuję z łóżka.

- Sadie! - woła za mną Tom. - Nie rób tego.

Zastaję Ronę na dole. Jest ubrana w śnieżnobiały szlafrok frotté i pasujące do niego kapcie, ma na nosie szklkowe okulary w oprawkach od Ralphi Laurena. Czyta gazetę, ułożony na jej kolanach Teddy pochłania ciasteczko w kształcie kości.

- Cześć, Sadie - wita mnie radośniej niż zazwyczaj. - Widać, że dobrze się wczoraj bawiłaś. Pij dużo wody. Chcesz kawy?

- Obciąłaś Danny'emu włosy!

- Czyż nie wygląda uroczo? - odpowiada bez zająknięcia.

- Podobały mi się jego loczki.

- Och. - Podnosi na mnie zdziwiony wzrok. - Gniewasz się? Przepraszam, Sadie. Chciałam tylko pomóc. - Z demonstracyjnym spokojem podaje mi kubek kawy. Uśmiecha się. Chyba uwielbia prowokować konflikty. - Grzywka wchodziła mu do oczu. Mógłby nabawić się jakiejś infekcji. Nawet mały Teddy odwiedza czasem fryzjera, moja droga. Człowiek na stanowisku Toma nie może sobie pozwolić, by jego syn wyglądał jak mały Cygan. Kiedy ostatnio byłaś z Dannym na strzyżeniu?

- Rona! On nie skończył jeszcze trzech lat. Ma około stu kosmyków włosów. W całym swoim życiu był strzyżony cztery razy. Moimi nożyczkami do paznokci.

- Więcej nie będę się wychylać z pomocą - fuka obrażona i z godnością prostuje się na krześle.

Cóż za bezczelne babsko, kręcę głową. Powiedzieć jej, co myślę, czy raczej posłuchać męża i trzymać język za zębami? Może Tom ma rację i nie ma sensu dyskutować nad faktem dokonanym.

- Zapomnijmy o tym - mówię i wychodzę z kuchni, wiedząc, że nigdy jej tego nie zapomnę.

- Przyjmuję przeprosiny! - woła.

Wracam na górę. Staję w korytarzu i patrzę na moich chłopców. Wyglądają uroczo, przytuleni do siebie, leniwie wylegając się w łóżku. Są do siebie podobni, obaj mają niebieskie oczy i złotawą skórę, podatną na działanie promieni słonecznych. Danny wkłada Tomowi do ucha zabawkowy samolot.

- Tatusiu - mówi swoim słodkim głosikiem. - A myśliwce myśliwują złoczyńców?

Z uśmiechem opieram się o barierkę schodów, chłonąc rodzinną scenkę. Ogarnia mnie spokój. Rona tego nie ma i nie jest w stanie mi odebrać.

Tom przytula Danny'ego, całuje go ze śmiechem w czubek głowy.

- Strzelają. Mają pod skrzydłami specjalne pistolety.

Danny z powagą kiwa głową i z zainteresowaniem ogląda zabawkę.

- Super.

Przysuwam się do ściany, wyobrażając sobie, że obok łóżka jest jeszcze jedno dziecko. Maleństwo okryte różowym kocykiem, oglądające z fascynacją swoje paluszki.

- Tatusiu - pyta wesoło Danny. - A ta pani z ciasteczkami przyjdzie jeszcze?

- Jaka pani?

- Była tu, kiedy mama poszła do pracy, a ja zostałem z Trish.

- Aha, ta pani. - Tom zniża głos do szeptu. - Eee, nie. Raczej nie.

- To koleżanka mamy?

- Nie... - Tom chrząka, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Wyczuwam jego zakłopotanie. - Moja koleżanka z pracy, synku. Przechodziła akurat i wstąpiła do nas.

- Wyglądała jak księżniczka.

Zamieram. Tom z niepokojem podnosi wzrok i dostrzega mnie. Patrzymy sobie przez chwilę w oczy. On pierwszy odwraca spojrzenie.

13

Widzę przed sobą ogromny plakat z napisem: „Czy wiesz, z kim był twój mąż zeszłej nocy?”. Mocniej naciskam pedał gazu. Przed siebie, muszę jechać przed siebie. Nie wolno mi myśleć, bo zaczynam popadać w paranoję. Nieproszone myśli buzują mi w głowie niby rój pszczół. Chloe mówiła, że pierwszym sygnałem, iż Ian ją zdradza, był jego brak ochoty na seks i przesadna uprzejmość względem niej. Kilka tygodni później niejasne podejrzenia potwierdziły się, znalazła cudze stringi za kanapą. A za jakiś czas do drzwi zapukała kobieta w piątym miesiącu ciąży. Ja nie znalazłam obcej bielizny, a gdyby na moim progu pojawiła się dziewczyna zapłodniona przez mojego męża, trafiłabym na pierwsze strony gazet za morderstwo. Czy rzeczywiście popadam w obłąd? Przecież romans wiele by wyjaśniał. Na przykład dlaczego Tom nie chce się zgodzić na kolejne dziecko. Na przesadną uprzejmość z jego strony raczej nie mogę narzekać, za to pracuje coraz dłużej i nie ma ochoty się ze mną kochać. No i ta tajemnicza kobieta, o której mówił Danny. Tom był wyraźnie spłoszony jego pytaniem. Spoglądam na Danny'ego w samochodowym lusterku. Wesoło wymachuje nóżkami w swoim foteliku, patrzy przez okno i radośnie odnotowuje każdą przejeżdżającą ciężarówkę, koparkę i śmieciarkę. Mam ochotę uzyskać od niego więcej informacji, lecz rezygnuję z tego pomysłu, uznając go za nieetyczny, a źródło za mało wiarygodne. Wystarczy mi wiadomość, że „wyglądała jak księżniczka”.

- Daleko jeszcze? - pyta szczebiotliwie.

- Za pięć minut będziemy na miejscu.

Po trzydziestu minutach dojeżdżamy do celu, na rynek przy Columbia Road. W sukience czuję się nieswojo, moje nogi wydają mi się zbyt odsłonięte, pokryte gęsią skórką, nie przywykłam do pokazywania ich. Chociaż Danny zapewnia mnie, że jestem dziś „bardzo ładną mamusią”, żałuję, iż nie włożyłam dzinsów, zamiast stosować się do odzieżowych rad Enid z taką gorliwością i to przed dziewiątą rano.

- Zobacz, to hiacynt. Prawda, że ładny? - mówię, pokazując mu kwiaty na jednym ze straganów.

Uznaję, że niebieskie hiacynty w sam raz nadadzą się do przystrojenia naszego domu, którego nie mam zamiaru dłużej zaniedbywać. Tom najbardziej lubi hiacynty.

- Pachną miódkiem - mówi Danny, dotykając pąków paluszkiem.

- Poproszę trzy bukiety. A także jeden bukiet narcyzów i kilka wdowich irysów.

- Doskonały wybór. Piękne okazy. - Łysy sprzedawca o miłej plackowatej twarzy wyjmuje kwiaty z wody. Staję bliżej Danny'ego i kładę mu rękę na ramieniu, żeby mi go nie pochłonał mknący jak rzeka tłum.

Danny unosi głowę i uśmiecha się do mnie szeroko. Uwielbia atmosferę tego miejsca, tłok, zamieszanie, czas spędzony ze mną, rośliny porozstawiane wszędzie, od krawężnika do krawężnika, zmieniające oblicze miasta, łagodzące ostre powierzchnie, neutralizujące zapach spalin swoją słodką wonią, rozweselające szare oblicze wschodniego Londynu feerią barw. Cięte kwiaty nie są tu aż tak dobrej jakości jak w Covent Garden, za to ich ilość robi wrażenie. Niezmiennie w takich miejscach uderza mnie piękna melancholia ciętych kwiatów. Pochwycone w rozkwicie, wystawione na pokaz, hojnie obdarowują patrzących tym, co mają najlepszego, póki nie zwiędną. Nietrwale jak miłość.

- Obniżę cenę o kilka funtów za te piękne nogi - mówi wesoło sprzedawca, a ja płonę rumieńcem i odruchowo krzyżuję nogi.

- I jeszcze o kilka za piękny uśmiech tego małego człowieczka.

Danny spogląda na mnie pytająco, usiłując sobie przypomnieć zasady na temat rozmów z obcymi. Wreszcie wyciąga z kieszeni mały samochodzik i pyta sprzedawcę:

- Pościgamy się?

- Chciałbym, kolego. - Mężczyzna kręci głową, śmieje się. - Ale muszę pracować. Przydałby ci się braciszek.

Na chwilę tracę oddech i kontakt z rzeczywistością. Łysy sprzedawca kładzie dłonie na kolanach i pochyla się do przodu.

- Albo siostrzyczka. Z nimi też można się nieźle bawić. Ja mam pięć młodszych sióstr, dasz wiarę?

Danny wolno kręci głową. Pięć sióstr - to dla niego niewyobrażalne.

- Lepiej weź się do roboty, moja droga - mruga do mnie sprzedawca.

- Najwyraźniej powinnam. - Uśmiecham się z przymusem. Tyle razy już to słyszałam, że nie powinno na mnie robić wrażenia. - Chodź, Danny.

Ziewa. Jesteśmy na nogach już od dwóch godzin, zdążył się zmęczyć.

- Zjemy sobie po rogaliku, zanim ruszymy dalej? - proponuję.

Kombinuje, jak by tu wykorzystać sytuację.

- Z czekoladą! I soczek z granatów.

- Ty rozpieszczony dzieciaku! - śmieję się. - Ja zjadłam pierwszego granata, dopiero będąc nastolatką. Idziemy. - Chwytam małą ciepłą rączkę, czując, jak ogarnia mnie ciepła fala czułości. Zanim pojawił się na świecie, nie wiedziałam, że można kogoś kochać tak bezgranicznie i jakie to daje szczęście. Jednakże z tym szczęściem idzie w parze potworny lęk przed stratą. Tom mówi, że muszę z nim walczyć, a to trudne. Nie każdy, kogo kochasz, musi umrzeć, tłumaczy mi. Z westchnieniem chowam wtedy twarz w poduszkę, zerkam na elektroniczny budzik i nie mogę spać.

Danny zabiera się do jedzenia rogalika, zdzierając warstwy ciasta, by czym prędzej dostać się do czekolady. Popija przez słomkę sok pomarańczowy (nie było z granatów), z fascynacją obserwując, jak ciecz unosi się do góry. Ja piję herbatę, zajadam serowego bajgla i wyglądam przez okno kawiarni. Widzę mężczyzn niosących ogromne palmy, zakupione na targu, turystów, modnie ostrzyżonych nastolatków w ciemnych okularach, ukrywających skutki nocnych szaleństw...

Prostuję się na krześle i mrużę oczy. Dopiero po chwili rozpoznaję spiralne loki i zielone oczy. Eddie! Siedzę sztywno, nie wiedząc, czy powinnam pomachać, czy też udać, że go nie widzę. Nie mam pojęcia, czy on mnie poznał. Zbliża się do szyby, żeby przeczytać kartę wywieszoną na zewnątrz. Chwilę się waha, ale wchodzi do środka.

- Cześć. To ja, Sadie - mówię, ocierając usta dłonią. Teraz mam wymazaną twaróżkiem rękę, a nie twarz. - Układam kwiaty dla Enid.

- Poznałem. - Uśmiecha się przyjaźnie, o wiele milej niż zazwyczaj.

- To mój syn, Danny. - Dokonuję prezentacji, poprawiając jednocześnie rąbek spódnicy, która zanadto odsłania blade uda.

Kiedy się pochyla, dostrzegam, że jego loki są nieco przyklepane z tyłu, w miejscu, gdzie głowa dotyka poduszki.

- Cześć, Danny. Chyba jesz coś pysznego.

Danny patrzy na niego przelotnie, zajęty próbą dotarcia do czekolady.

- Kupujesz kwiaty? - pytam głupio. Co innego mógłby robić na rynku kwiatowym?

- Tylko się rozglądam. Mieszkam niedaleko. Mają tu dobre wypieki.

- O, a ja myślałam, że mieszkasz...

- ...z ciotką? - kończy ze śmiechem. - O, Boże, tylko nie to. Ale mam dużo zleceń w północnej części Londynu, więc często zaglądam też do niej.

- Rzeczywiście często - mówię, jakbym mu to wypominała.

- No tak. - Przewraca oczami. - Ciocia postanowiła nadać ogrodowi nowy styl. Takie przedsięwzięcie. Lubi wyzwania. Skończę we wrześniu, a wtedy wynajmie sobie ogrodnika, który zajmie się już tylko pielęgnowaniem.

- Masz ochotę się do nas przysiąść? - proponuję odważnie, sama siebie zaskakując.

- Pewnie. Przede wszystkim potrzebuję kawy. - Podchodzi do baru złożyć zamówienie, a ja go obserwuję. Ma na sobie wytarte džinsy i stare białe adidasy, na ramieniu sfatygowaną skórzaną torbę. Stawia na stoliku kubek z parującą kawą i przysuwa sobie krzesło. - Bez tego się nie obudzę - wyjaśnia, dmuchając na gorący płyn. - Ty pewnie przywykłaś do rannego wstawania.

- Dla mnie to, niestety, wcale nie jest wczesna pora. Danny obudził się dziś o szóstej. Prawda, Danny? Pomyślałam, że równie dobrze możemy aktywnie spędzić poranek.

Danny jest cały obsypany okruszkami. Ma je wszędzie: we włosach, w uszach, po prostu wszędzie. Wyjmuje z kieszeni dwa samochodziki, czerwony i niebieski.

- Pościgamy się?

- Eddie na pewno...

- Też mi pytanie! Który wybierasz? Czerwony czy niebieski?

- Czerwony. Czerwony zawsze wygrywa.

- To się jeszcze okaże. - Eddie kładzie łyżeczkę na jednym końcu stolika, talerzyk na drugim. - Zaczynamy. Kto pierwszy od łyżeczki do talerzyka.

Danny pieje z zachwytu, kiedy udaje mu się wygrać.

- Czerwony wygrywa!

- Pokonałeś mnie. - Eddie chowa twarz w dłoniach z udawaną rozpaczą.

Jestem oczarowana. Trudno uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, który oskarżył mnie o wyłudzenie pieniędzy od Enid. Ujmujący, zabawny. I ma seksowny zwyczaj wpatrywania się w moje usta, kiedy mówię.

- Przepraszam cię za tamtą rozmowę. Nie powinienem był kwestionować twoich stawek. Nie chciałem...

- Nie ma o czym mówić. - Wybaczam mu od razu i całkowicie.

- Ależ jest. Zachowałem się jak ostatni cham. Jestem przewrażliwiony, Enid próbowali już naciągać hydraulicy, ekipy remontowe, ogrodnicy... Jej ostatni ogrodnik zażądał pięciuset funtów za posadzenie kilku cebulek. Dlatego się wtrąciłem. Poniosło mnie. - Opiera podbródek na rękę i patrzy z uśmiechem na Danny'ego.

Zastanawiam się, czy jest z kimś związany. Może umówiłabym go z Chloe... Nie, nie pasują do siebie.

- Więc Enid jest twoją ciocią?

- Siostrą zmarłej babci. Przeżyła całe swoje pokolenie. - Podnosi do ust kubek z kawą. - Mam nadzieję, że cię nie zraziłem i wrócisz. Księżna pani bardzo czeka na twoje wizyty. Cały czas o tobie mówi. Ma lekkie skłonności do obsesji, fascynacji ludźmi. Niezbyt często się to zdarza - niełatwo za skarbić sobie jej przychylność - ale gdy już kogoś polubi, to naprawdę go lubi... - Przerywa i wpatruje się w moją twarz tak intensywnie, że oblewam się rumieńcem. - Nie obrazisz się, jeśli spytam, co właściwie zaszło tamtego dnia w parku?

- Zerwała się burza. Porywisty wiatr. Ulewny deszcz.

- Strasznie burzliwa burza - wyjaśnia Danny, wymachując rączkami. - Mamusia skaleczyła się w głowę od latającej gałęzi.

- Czemu pytasz?

- Cóż. - Wzrusza ramionami. - Zmieniła się od tamtego czasu. Podejrzewałem, że coś przede mną zataiła. Na przykład, że to ona oberwała po głowie. - Śmieje się. Bardzo ciepły i seksowny to śmiech. - Wyobrażałem ją sobie miotaną tym przeklętym wichrem... - Zakrywa usta dłonią. - Użyłem brzydkiego słowa. Przepraszam, Danny.

- Ja już znam to słowo. - Danny szczyrzy ząbki w uśmiechu.

- Pięknie to ująłeś, Danny, dziękuję - mówię. - Nie, ja oberwałam po głowie, a ona mi pomogła. Podała chusteczkę, zapytała, czy wszystko w porządku. Tak się poznałyśmy. Była bardzo miła.

- Niezbadane są tajemnice umysłu Enid Fisher. - Eddie szybko dopija kawę. - Umysłu każdej kobiety, jeśli się nad tym zastanowić. Nie będę narzekał, bo nastrój jej się znacznie polepszył. Właśnie to mnie zastanawia. Stawała się coraz bardziej... - smutnieje i milknie na moment - ...płaczliwa. Delikatnie mówiąc. Marudna byłoby chyba właściwszym określeniem. Ostatnia z jej bliskich przyjaciółek zmarła parę miesięcy temu, po jej śmierci Enid zaczęła się poddawać. - Obraca kubeczek na spodku. Ma duże opalone ręce i ziemię za paznokciami, podobnie jak ja. Wstaje. - Na szczęście jej przeszło. Twoje kwiaty działają cuda, oby tak dalej. Nie przeszkadzam już dłużej. Danny, koleżko, następnym razem na pewno wygram.

- Następnym razem, koleżko - przedrzeźnia go Danny z szerokim uśmiechem.

Eddie wychodzi z kawiarni, dołączając do tłumu na zewnątrz. Macha na pożegnanie i znika, po jego odejściu wokół robi się jakby szarzej.

- Mamusiu, tam jest! - Danny chwyta mnie za łokieć i pokazuje coś za oknem.

- Kto? Eddie? Gdzie? - Skanuję morze ludzkich głów. - Nie. Poszedł już sobie, kochanie - mówię z dziwnym uczuciem, że jestem obserwowana.

Siedzę na zielonej kanapie w salonie, maczam ciastka, polane mleczną czekoladą, w herbacie i myślę.

Myśl pierwsza

Skoro mnie podoba się Eddie, tak troszeczkę, w takim razie logiczne jest, że Tomowi także mogą podobać się inne kobiety. Małżeństwo nie sprawia przecież, że przestają nas interesować inni ludzie. Powinno nas jedynie powstrzymywać przed wskakiwaniem z nimi do łóżka. Ja jednak na co dzień nie pracuję z mężczyznami - Eddie jest wyjątkiem - Tom zaś przebywa nieustannie w towarzystwie samotnych pięknych kobiet, takich, które mają czas, żeby chodzić na siłownię, regularnie się depilować i podążać za modą. Jego małżeństwo przeżywa kryzys. Jest przystojnym mężczyzną z błyskiem w oku, który odnosi zawodowe sukcesy. Czasem bywa nawet dowcipny. Tak, może się wydawać całkiem atrakcyjny, jeśli nie jest się jego żoną.

Myśl druga

Dlaczego Tom pachniał damskimi perfumami, kiedy wrócił wczoraj wieczorem do domu? Takimi, których ja nie używam.

Myśl trzecia

Z kim rozmawiał późno w nocy przez telefon, kiedy ja brałam kąpiel? Dlaczego po moim wyjściu z łazienki oboje byliśmy zaczerwienieni?

Myśl czwarta

Pam nagrała mi się na sekretarkę, mówiąc, żebym „wpadła albo zadzwoniła, jak znajdę chwilkę, żebyśmy mogły przedyskutować plan działania”. Uchwyciłam się zwrotu „jak znajdziesz chwilkę”, jakby to było koło ratunkowe. Dopuszcza ono ewentualność, iż czasu nie znajdę, czyż nie? Mogę sobie pozwolić na zwłokę.

Myśl piąta

Którą sprzątaczkę zatrudnić? Grubą humorzastą pięćdziesięciolatkę bez referencji imieniem Pat? Czy też Annę, energiczną i uprzejmą dwudziestokilkuletnią dziewczynę z Bułgarii ze świetnymi referencjami i zachwycająco zgrabnymi nogami?

Wybór wydaje się oczywisty. Dzwonię do grubej Pat z informacją, że ma pracę. Przychodzi po południu, wręczam jej nieśmiało listę zadań. Posprzątać łazienki i za lodówką. Wszystko, czego nie lubię robić sama. Pat zachowuje się kulturalnie, ale patrzy na mnie spod zmrużonych powiek, jakby chciała powiedzieć, że takie żałosne paniusie z klasy średniej to ona zna na wylot. Pat wywiązuje się ze swoich obowiązków, ale po jej wyjściu dom nadal wygląda na zaniedbany. Uświadamiam sobie, że przyjdzie mi zatrudnić całą armię sprzątaczy przemysłowych, żeby cokolwiek zmienić. Najwyraźniej muszę zrobić coś więcej.

Jeśli mam zostać przykładną żoną, nie powinnam uchylać się od odpowiedzialności.

Co zatem robię? Robię sobie wściekle mocną kawę i włączam energetyczną muzykę, po czym wyruszam na poszukiwanie zaginionych skarpetek. Szukam za kanapami, pod kaloryferami, poluję na porozrzucane skarpety, póki wszystkie nie zostają schludnie połączone w pary. Trwa to całe wieki. A prasowanie jeszcze dłużej. Nie jestem pewna, co właściwie znaczą te wszystkie symbole na żelazku. Czemu bucha para, choć nie naciskam żadnego guzika? Na koszuli Toma zostaje szary odcisk żelazka. Potem popełniam kolejny błąd, nadgorliwie zabierając się do prasowania piżamki Danny'ego. Nalepka z Tomkiem przywiera do spodu żelazka, sprawiając, że nie nadaje się ono do dalszego użytku, i kładąc kres prasowaniu. Nie pozwolę się zniechęcić. Jestem kobietą z misją. Wywieszam kołdrę na zewnątrz, żeby się przewietrzyła. Wyjmuję z szuflad wszystkie dziwne rzeczy, które się w nich w niewytłumaczalny sposób nagromadziły: zardzewiałe gwoździe, puste opakowania po papierosach, stare zużyte chińskie pałeczki. Planuję, co zjemy na kolację: mielone kotlety baranie, brokuły, kuskus i truskawki. Gotowanie dla opornych. Przygotowuję nawet brokuły, oddzielając od siebie pojedyncze różyczki. Wkładam je do miski i zabezpieczam folią aluminiową. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz używałam folii aluminiowej. Patrzę z zadowoleniem na efekty swojej pracy, po czym nalewam sobie kielich wina tak ogromny, że Danny mógłby w nim utonąć. Wzdycham z satysfakcją. W domu panuje porządek, posiłek zaplanowany, sytuacja opanowana. Z drogi, Nigello.

Wieczorem, po ułożeniu Danny'ego do snu, postanawiam zadbać o swój wygląd. Przebieram się w czyste dżinsy, białą koszulkę, bosc stopy smaruję samoopalaczem. Moją inspiracją jest Jennifer Aniston, seksowna, lecz nie wyzywająca. Na koniec psikam się perfumami, które podarował mi na gwiazdkę Tom.

Wraca z pracy o dziewiętnastej trzydzieści. Zdejmuje krawat i strzepuje krople deszczu z ciemnych włosów.

- Ojej. Krasnoludki nas odwiedziły? - pyta, rozglądając się wokół ze zdumieniem. - W korytarzu porządek. Nie mów, że sprzątałaś.

- Sprzątałam. - Wstyd mi, że przypisuję sobie zasługi Pat, ale cel uświęca środki. - A także wywietrzyłam pościel, poukładałam twoje skarpetki i wyprasowałam koszule.

- Coś się stało?

- Wszystko w porządku. Herbatki, kochanie? - Podchodzę do czajnika, kręcąc biodrami.

Wiesza kurtkę, spoglądając na mnie podejrzliwie.

- Poproszę coś mocniejszego.

Nalewam mu kieliszek wina i podaję razem z miską prażonych orzeszków. Ciekawe, czy zauważył mój seksowny strój à la Jennifer Aniston? Chyba nie. Siada przy kuchennym stole i otwiera gazetę. Usilnie staram się ignorować fakt, iż choć nie widzieliśmy się od dwunastu godzin, Tom jest tak oczarowany moim towarzystwem, że woli czytać o planach urlopowych polityków, niż rozmawiać.

Gryzę się w język, choć zwykle nie odmawiam sobie komentarza. Nakarmiony, szczęśliwy mąż w czystym przytulnym domu. Teraz mogę bez obaw spytać:

- Tom... Danny wspominał, że odwiedziła nas jakaś pani. Ktoś od ciebie z pracy. Zaciekało mnie, kto to był.

- Hm? - Nie odrywa się od czytania gazety.

- W zeszłym tygodniu, kiedy kończyłam zlecenie w galerii Belsize Park, a Danny został z Trish, ktoś tu był.

- Och, pewnie chodzi o Annette - odpowiada szybko, ze ściśniętą szczęką.

- Annette? - Czuję się, jakby ktoś wylał na mnie kubel zimnej wody. Czar Jen Aniston pryska. - Kim jest Annette?

- Annette Eastern. Jedna z naszych klientek.

Znajoma Chloe. To ta, która poszukuje florystki. Annette Eastern. Nie Western. Chloe się pomyliła. Wiedziałam, że brzmi znajomo. Boże, już sobie wszystko przypominam.

- To ta... Inaczej znana jako Psychoviagra?

Tom się krzywi. Sam wymyślił dla niej przezwisko, był z siebie wtedy niezwykle dumny. Teraz nie wydaje się zadowolony.

- Tak. Annette Eastern. - Patrzy na mnie podejrzliwie.

- Jechaliśmy na spotkanie w City. Wpadłem po papiery... - Przerzywa. - Padam z nóg, miałem ciężki dzień. Czemu tak mi się przyglądasz, Sadie?

- Po prostu dziwię się, że mi o tym nie wspomniałeś - odpowiadam szorstko. Jestem o krok od zrobienia awantury. Założę się, że Jen nie robi awantur. Co najwyżej uroczo się sprzecza.

- Powiniennem być? Jeżeli sobie życzysz, mogę nawet zapisywać każdy swój krok w twoim różowym notesie. Tymczasem idę pod prysznic. - Wstaje gwałtownie, zostawiając za sobą woń nieumytego mężczyzny. Pachnie trochę restauracyjną kuchnią, a trochę szatnią gimnastyczną.

- Coś ci się przyczepiło do stopy, Sadie.

Patrzę na swoje bose stopy à la Jennifer Aniston. Ciągnę za sobą długi kawałek papieru toaletowego, poplamionego brązowym samoopalaczem. Przynajmniej próbowałam.

Piękny, słoneczny dzień. Otwieram bramę, wpisując kod, i wjeżdżam do środka. Wsiadam z samochodu, wdycham z rozkoszą świeże letnie powietrze. Dom i ogród Enid pasują do wyobrażenia o powrocie do Anglii, jakie miałam w Toronto. Pięknie utrzymane zielone trawniki i śliczne żółte kwiaty. Kapryfolium pachnie słodko, pszczoły wesóło bzyczą. Życie wydaje się prostsze, pełne pytań i odpowiedzi, jak krzyżówka. Wygladzam włosy spięte nową elegancką szylkretową spinką, kupioną w miejsce tanich plastikowych ozdób z Tesco. Mam nadzieję, że nie spotkam Eddiego. Albo że go spotkam. Śnił mi się niedawno bardzo miło. Mógłby odgadnąć moje myśli, podobnie jak ja odgadłam myśli Toma, kiedy sprawdzał dziś rano świeżość swojego oddechu. Od razu wiedziałam, że nie po to, żeby mnie pocałować.

- Witaj, Sadie. Ładnie wyglądasz. - Eddie otwiera mi drzwi.

Cieszę się jak głupia. Tom tęskni za tym samym? Za tym, żeby podobać się komuś innemu niż ja? Miłe uczucie, muszę przyznać. Patrzę na brązowy pasek skóry między koszulką a paskiem spodni Eddiego. Na pewno jest miły w dotyku.

- Zapraszam. Księżna przebywa w ogrodzie. - Idę za nim do kuchni. Na stole czekają przygotowane już kryształowe wazony, promienie słońca odbijają się od załamań i tworzą tęczę na ścianach. Przez okno widzę Enid. Siedzi na krzasiastym kocu piknikowym, ubrana w swoje błękitne kimono z papugami. Na drewnianej tacce stoi dzbanuszek do herbaty, mleko i mały tort czekoladowy. Angie rozczesuje i układa jej srebrne falujące włosy. W świetle słońca Enid wygląda na starszą niż w ciepłym półmroku domu.

- Dziś są urodziny Alberta - informuje mnie szeptem Eddie. Jego oddech pachnie bardzo przyjemnie, jak ciepły tost.

- Może przeszkadzam?

- Skądże. Ucieszy się. - Kładzie mi rękę na plecach, wznecając ciepło w całym ciele. - Na razie. Zrobię, co mam do zrobienia w ogrodzie, a potem pędzę do kolejnego zlecenia.

Enid rozpromienia się na mój widok.

- Dziękuję, Angie - zwraca się do gosposi. - To wszystko.

Angie mija mnie ze szczotką w rękę, nie zatrzymując rozbieganego spojrzenia czarnych oczu na mojej twarzy. Delikatnie zamyka za sobą drzwi balkonowe.

- Czarne tulipany - mówię radośnie, wręczając Enid jeden z kwiatów. - Najładniejsze, jakie widziałam w tym roku.

- Nie można lepiej uczyć urodzin Alberta. Czarne tulipany i tort czekoladowy. - Przez kilka chwil uważnie mi się przygląda. - Pewnie masz mnie za wariatkę? Że wyprawiam urodziny zmarłemu mężowi?

Potrząsam głową z przesadną gwałtownością.

- Dla młodej osoby muszę wyglądać jak jakaś pani Havisham.

- Ależ nie, to urocze - śmieję się. Młoda osoba, podoba mi się.

- On tak lubił świętować swoje urodziny. - Uśmiecha się tajemniczo. - Zawsze wtedy chodziliśmy na tańce. Tańczył jak Fred Astaire. - Enid poklepuje koc. - Siadaj, moja droga. Ładna bluzka.

Przestaję udawać, że łączy nas zwykła relacja służbowa. Siadam swobodnie na kocu i podziwiam dzieło Eddiego. Pięknie zaprojektowany ogród.

- Eddie dobrze się spisał, urządzając to miejsce, Enid.

- Prawda? Jest utalentowanym architektem zieleni. Ten mój Eddie. Tylko... - Enid pochmurnieje. - Chciałabym, żeby więcej osób miało okazję podziwiać jego dzieło. To wymarzone miejsce na przyjęcia, nie uważasz? Takie, które zaczynają się w południe i przeciągają do późna w noc. Na których wszyscy piją za dużo i flirtują z cudzymi mężami.

Robi mi się jej okropnie żal. Gdzie się podziała jej rodzina? Przyjaciele? Zrywam stokrotkę i obracam ją w dłoniach.

- Większość moich przyjaciół nie żyje, moja droga. W razie gdybyś się zastanawiała.

Czasem wydaje mi się, że ona naprawdę potrafi czytać w myślach. Nieco mnie to przeraża.

- Nie lituj się nade mną. Wszyscy obrócimy się w proch - dodaje z goryczą. - Ty także. Życie rozdaje karty na oślep. Przeżyłam wielką miłość. Nie każdemu jest dane jej doświadczyć. - Wachluje się rozpostartą dłonią. - Gorąco, nieprawdaż? Dziękujmy niebiosom za globalne ocieplenie i prośmy o jeszcze. Zazdroszczę ci tych wspaniałych tropikalnych wakacji, które przeżyjesz. Wyjechaliśmy z Albertem na placówkę dyplomatyczną, żeby uciec przed okropną angielską pogodą. A powiedz mi, jak tam nasz mały projekt, Sadie? Jakież postępy?

- Cóż... - Odganiem pszczołę, która za bardzo zbliżyła się do mojej nogi.

Enid wybucha śmiechem, najwyraźniej zachwycona perspektywą kolejnych problemów.

- Ojej! Znosi się na większą przeprawę?

Uśmiecham się z przymusem. Nie potrafię przestać myśleć o zdradzie Toma. Pomyśli, że mam paranoję. Że jestem neurotyczką. I będzie miała rację.

- O co chodzi? Coś cię martwi. Zjedz kawałek tortu czekoladowego. Czekolada jest niezawodna w takich sytuacjach. Byle w umiarze. Grube uda już nie pomagają.

- Dziękuję. Wygląda apetycznie.

Kroi cieniuteńki kawałek - porcja dla damy, a nie ogromna chłopska racja, jaką nałożyłabym sobie sama - i zgrabnie przekłada go na nożu z jednego talerza na drugi, tak samo jak robiła to moja babcia.

- Tak? Słucham cię. - Patrzy na mnie przenikliwie i wiem, że nie uniknę odpowiedzi.

- To tylko przeczucie, Enid. Jest pewna kobieta, klientka Toma. Była u nas w domu - tłumaczę nieskładnie. - Tom dziwnie zareagował, kiedy go poprosiłam o wyjaśnienie... Kilka rzeczy wzbudza moje podejrzenia. Wiem, że to głupie.

- Kochana, to wcale nie jest głupie - przerywa mi i przykłada rękę do serca. - Wierzę w intuicję. Zignoruj przeczucie, a będziesz zgubiona.

- Naprawdę tak myślisz? - Wolałabym, żeby jednak uznała mnie za paranoiczkę.

- Nie martw się. To łatwo sprawdzić. Spędziłyśmy kiedyś z Maud kilka tygodni na dochodzeniu w sprawie protegowanej jej męża, małej lisicy o imieniu Valerie.

- Czy przeczucie Maud się potwierdziło?

- Tak.

- O nie.

- Musisz trochę powęszyć. Wyobraź sobie, że grasz w filmie. Życie staje się wtedy o wiele łatwiejsze.

- Mam wątpliwości, Enid. Nawet przychodząc tutaj, czuję się jak intrygantka. Przyrzekaliśmy, że nie będziemy mieli przed sobą tajemnic.

- Szczerłość w małżeństwie jest znacznie przeceniana. - Bierze do ust mały kawałek ciasta i ociera wargi białą lnianą serwetką. - Intymność to nie to samo co bezwzględna szczerłość. Intymność żywi się tajemnicą i niedomówieniami, kochana. Ja i moje dziewczyny nigdy nie zakładałyśmy, że nasi mężowie nie mają przed nami sekretów, a my z całą pewnością wiele ukrywałyśmy przed nimi.

- Ale czy to nie jest brak szacunku? - pytam z rozbawieniem.

- Cudowny brak szacunku - chichocze Enid. - Możesz mi wierzyć - najtrwalsze związki miały te z moich znajomych, które coś ukrywały. Tajemnica rodzi namiętność. Rozpinana bluzka jest bardziej kusząca niż skąpa sukienka, a skrzyżowane nogi uwodzą bardziej niż rozłożone.

Śmieję się, po raz kolejny zszokowana niespodziewaną wulgarnością staruszki.

- Nie mówię, że... Bębni palcami o tacę.

- Jak mawiał stary Nietzsche: „Skromność kobiety jest tym większa, im większa jej uroda”. Jak coś tak, o ile mnie pamięć nie zawodzi. To działa także na odwrót. Tylko brzydkie kobiety muszą być wyzywające.

Kiwam tępo głową. Nigdy nie czytałam żadnego z dzieł Nietzschego. Nie wiem, jak przeszliśmy od tajemniczości do skromności. Enid ma dużo czasu na rozmyślanie. Bogaci i bezdzietni prowadzą zupełnie inne życie. Mają mnóstwo czasu na osobisty rozwój. Moja mama często to powtarzała, dodając, że bezdzietne kobiety się nie starzeją. Ale są samotne, uzupełniała z uśmiechem. Ona nie miała czasu na wyrafinowane rozrywki i czytanie traktatów filozoficznych. Lubiła proste przyjemności. Zabawę z małymi dziećmi. Kwiaty. Dobre jedzenie. Jestem do niej pod tym względem podobna.

- Będziesz udawać, że masz przed nim tajemnice - mówi władczo Enid. - Niech on się zacznie zastanawiać, czy nie masz kochanka. - Udaje francuski akcent. - A twoje policzki powinny odpowiadać na każde pytanie tym samym.

- Moje policzki?

Szczypie się ze śmiechem w policzek, który marszczy się jak bibuła.

- Kolory, moja droga. Błysk w oczach, zaróżowione policzki. Przymiotnik, który przychodzi mi do głowy to „postkoitalny”.

Rumienię się.

- Od razu lepiej. Podaj mi ten swój różowy zeszynek. - Zapisuje coś. - Proszę!

Zerkam jej przez ramię, żeby sprawdzić, co napisała swoją elegancką kursywą:

Rozkwitaj! Miej w sercu własne sekrety. Nigdy nie zdradzaj ich mężowi! E x.

- Ale o czym mam Tomowi nie mówić? - pytam z rozpaczą. Nie mogłaby posługiwać się bardziej współczesnym językiem?

- Mało istotne, moja droga! Możesz sobie nawet myśleć o wizycie w pralni chemicznej. Ale masz wyglądać, jakbyś wspominała chwile spędzone z kochankiem. Zwłaszcza jeśli podejrzewasz męża o zdradę. To najlepszy sposób, żeby przywołać go do porządku, uwierz mi. Dawaj mu do zrozumienia, że coś ukrywasz. Mężczyźni nie potrafią się oprzeć takim sztuczkom. Przestraszy się utraty tego, co ma, i zacznie cię na nowo zdobywać. Oni są zaprogramowani na pościg. Mają polowanie we krwi, jak psy myśliwskie. Jeszcze jeden drobiazg... Jeśli się nie obrazisz. - Przygląda się mojej twarzy bardzo dokładnie. - Wzięłabyś pod uwagę używanie czerwonej pomadki?

- Usiłujesz mi dyplomatycznie dać do zrozumienia, że nie powinnam się pokazywać bez makiżażu? - Śmieję się do rozpuku z tej jawnej impertynencji.

Enid szalenie przypomina mi babcię. Czyżby istniała ograniczona liczba typów osobowości, które się powtarzają w przypadkowych konfiguracjach? A może ciągnie nas do tych, którzy przypominają nam bliskich?

- Bajeczny wygląd czyni cuda. Wszystkie najlepsze aktorki używają czerwonej pomadki. - Wstaje nieco chwiejnie, nagle robi się bardzo blada.

- Enid? Źle się czujesz?

- Och, nic takiego. - Uśmiecha się słabo. - Zakręciło mi się w głowie. Pewnie od upału.

- Lepiej usiądź. - Pomagam jej usiąść i podaję szklanek wody.

- Zawołasz Angie, moja droga? Chyba pójde się na chwilę położyć.

Przyprowadzam Angie i żegnam się z Enid. Przed odjazdem postanawiam odszukać Eddiego. Przycina drzewko cytrusowe w ogrodzie przed domem. Zatrzymuje piłę elektryczną, kiedy mnie widzi.

Usiłuję nie upuścić sterty pudeł z kwiatami, którą trzymam przed sobą.

- Eddie, mógłbyś zajrzeć za jakiś czas do Enid? Zasłała, teraz jest z nią Angie.

- Cholera. - Odgarnia spocone włosy z czoła i zgrabnie zeskakuje z drzewka. - Dziękuję, że mi powiedziałaś. Pójdę do niej.

Upuszczam jedno z pudełek, kiedy mnie mija. Karton opada miękko na kępkę lawendy. Eddie pochyla się i podnosi go. Leśny zapach potu. Najseksowniejsza woń na świecie: ziemia, pot i liście. Nasze dłonie stykają się na dłużej niż to konieczne.

16

Annette Psychoviagra. Enid potwierdziła moje najgorsze obawy. Nie mogę przestać myśleć o Annette, jej twarz nawiedza mnie w koszmarnych snach. Jadąc do domu doktora Prenwooda w Belsize Park, wyobrażam sobie, jak Annette wygląda nago, kiedy się kocha. Zapamiętałam ją jako zadbaną drobną brunetkę o kształtnych piersiach. Nawet jej imię mnie drażni. Kojarzy mi się z pewną wstrętną dziewczyną ze szkoły, którą uwielbiali wszyscy chłopcy i której nienawidziły wszystkie dziewczyny. Zawsze chciała być na pierwszym planie i głośniej śmiała się z żartów kolegów niż koleżanek. Tak, ten sam typ. Zazdrość jest moim sekretem.

Nie potrafię się odprężyć w mieszkaniu Prenwooda. Podskakuję za każdym razem, kiedy Aysha wychodzi wyrzucić śmieci. Boję się, że znów zamknie mnie w środku, tym razem na zawsze, a mój mąż odejdzie w kierunku zachodzącego słońca z energiczną brunetką. W drodze do domu obgryzam paznokcie. Dzwonię do Chloe.

- To ja. Mam pytanie.

- Nie bardzo mam czas - zniża głos do szeptu. - Jestem na planie zdjęciowym. Aktorka ma trądzik. Zalewa się łzami, kiedy operator usiłuje jej zrobić zbliżenie. Taki mały kryzys. *i*

- Przepraszam. Zajmę ci tylko minutkę. Chodzi o Annette Eastern. Ty mówiłaś, że Western, ale myślę, że chodzi o tę samą kobietę... Szuka florystki, dałaś mi jej numer, pamiętasz?

- Tak, tak. Tak się nazywa! Wiedziałam, że podobnie. Malowałam ją do sesji zdjęciowej dla „Marie Claire”. Artykuł o seksownych terapeutkach.

- Jaka ona jest?

- Nie pamiętam. Chyba trochę zarozumiała. Bez okularów i po operacji plastycznej nosa wyglądałaby jak bliźniacza siostra Gisele Bündchen. Tylko dlatego zaprosili ją na sesję, rzecz jasna.

- Aha - mówię zbolalym głosem.

- Nie ten róż!

- Słucham?

- Przepraszam, mówiłam do asystentki. Sadie, skarbie, muszę kończyć. Zadzwoni do mnie później, jeśli chcesz.

- Ostatnie pytanie: pasowałaby mi czerwona szminka?

- To jedno z najdziwniejszych pytań, jakie mi zadałaś, Sadie Drew - odpowiada Chloe ze śmiechem.

- Pasowałyby czy nie?

- A czemu nie?

- Nauczysz mnie, jak się malować? - Jeżeli mam iść na wojnę, muszę przystroić się w barwy wojenne.

- Z przyjemnością. A teraz muszę...

- ...kończyć. Wiem. No to pa. - Rozłączam się. Kręci mi się w głowie. Wygląda jak Gisele? Zmysłowa brazylijska supermodelka z nogami do samej szyi? Niedobrze. Czy wywietrzona pościel i poskładane do pary skarpetki mogą konkurować z przekłętą Gisele? Muszę sięgnąć po cięższe działa. Zatrzymuję samochód na światłach i przetrząsam torebkę. Musi gdzieś tu być. Potrząsam różowym notesem. Wylatuje z niego zgnieciony rodzynek i długopis. Za drugim razem numer Annette napisany na kartce zdecydowanym charakterem pisma Chloe spada na podłogę jak strząśnięty wiatrem jesienny liść. Czy się odważę?

17

Moja matka przez wiele lat używała tej samej różowej pomadki w złotym opakowaniu. Wydyła usta, nakładając na nie kolor, a potem całowała kawałek papieru toaletowego. Kiedy byłam mała, uwielbiałam się bawić kosmetykami. Pachniały taką mamą, jaką lubiłam najbardziej: wystrojoną na przyjęcie. Szminka zostawiała ślady na szklankach, kubkach, kieliszkach, a czasem na moim policzku. Mieszkała w magicznej otchłani maminej torebki wraz z innymi tajemniczymi przedmiotami, takimi jak pudełko na tampony i zapasowe spinki do włosów, związane grubą zieloną gumką. Kiedy dorosnę, też będę się malować szminką, mówiłam, a mama śmiała się i klepała mnie po policzku. Dorosłam i mam wiele szminek - kilka z nich dostałam od mamy na gwiazdkę - których jednak nie używam. Maluję usta bezpiecznym błyszczkiem w naturalnym kolorze. Pomadka wydaje mi się zbyt sucha i zbyt „dorosła”.

Z pewnością uda mi się znaleźć w domu czerwoną szminkę. Nie na półce w łazience ani w kosmetyczce, to byłoby zbyt proste. Stara czerwona szminka zawieruszyła się w pudełku po butach, w którym przechowuję tanią biżuterię i dodatki. Kiepsko się rozsmarowuje, pewnie dlatego, że jest przeterminowana. Moje zęby w zestawieniu z ognistą czerwienią wydają się żółte. Wyglądam, jakby właśnie pocałowała mnie w usta jakaś stara ciotka.

Schodzę na dół i pełna poczucia winy przeszukuję biurko Toma. Szybko znajduję trzy egzemplarze książki, której szukam. Wsuwam jeden z nich pod pachę, nie mam czasu teraz czytać. Danny jeszcze nie skończył jeść swojej grzanki, ale musimy iść do przedszkola. Straszna Hanna patrzy na

mnie z wyrzutem, jakby chciała powiedzieć: „kolejne spóźnienie”. Na widok grzanki w ręczce Danny'ego reaguje przerażeniem, jakbym karmiła go trucizną. Pam chodzi tam i z powrotem przed bramą przedszkola, obracając nad głową różową parasolkę w kropki, choć już nie pada. Przypomina postać z hollywoodzkiego musicalu. Zauważyła mnie już, nie uniknę rozmowy.

- O! - Patrzy na mnie znacząco, jakby myślała, że mam coś do ukrycia. Romans lub opryszczkę na wardze. - Ładna szminka. - Dotyka palcem wskazującym swoich zębów. - Trochę się rozmazała.

- Dzięki. - Ocieram się rękawem. - Już?

- Już. Odebrałaś moją wiadomość?

- Tak! Przepraszam, że nie oddzwoniłam. Miałam urwanie głowy.

- Nie szkodzi. Rozumiem. - Uśmiecha się sztucznie. Przechyla głowę, patrząc na książkę, którą wciąż trzymam pod pachą. Jej oblicze zmienia się całkowicie. - Co czytasz?

- Takie tam bzdurki, nic ciekawego. - Uporczywie wpatruję się w przejeżdżające samochody.

- Annette Eastern? - Pam nie daje za wygraną. - „Oczyść swoje serce na wiosnę”! Uwielbiam tę książkę! Niesamowita. Wiesz co? Dzięki niej związałam się z Sethem. Mówię poważnie. - Jej oczy płoną fanatyzmem. - Zdałam sobie sprawę, że wiąże się z mężczyznami, którzy uciekają przed bliskością, bo podświadomie nie uważam, żebym na nią zasługiwała.

- Jesteś wielbicielką Annette?

- Zagorzała fanką! Mój poprzedni facet, piosenkarz Flash Pete, nie chciał nawet rozmawiać o małżeństwie. - Pam mówi konspiracyjnym tonem, trudno ją zrozumieć wśród zgiełku przejeżdżających aut. - Normalnie nie zwróciłabym uwagi na kogoś takiego jak Seth, ale po przeczytaniu tej książki pomyślałam sobie, że właściwie chciałabym oczyścić swoje życie z imprezowania i niegrzecznych chłopców. Chciałabym obudzić się rano u boku mężczyzny, którego nazwisko jest mi znane. - Uderza się dłonią w pulchny dekolt. - Zasługuję na to. Autorka książki radzi, aby codziennie rano stawać przed lustrem i powtarzać sobie: „Zasługuję na zdrowy związek. Tak, jestem tego warta”.

- Jak w reklamie L'Oreala?

Pam wpatruje się nieobecny wzrokiem w przestrzeń.

- Chodzi o to, żeby usunąć ze swojego życia ludzi, którzy cię ograniczają.

- Ach. - Czuję ukłucie w prawym boku na myśl, że być może ograniczam Toma. Gdyby ożenił się z kobietą podobną do Perfekcyjnej Pam, jego życie mogłoby wyglądać inaczej. Doceniałby posprzątaną dom i regularne posiłki, nie musiałby się tak często kłócić i miałby więcej dzieci. Domowa oaza spokoju nastrajałaby go do bardziej wyteżonej pracy. Już dawno awansowałby na dyrektora.

- No wiesz - kontynuuje z przejściem Pam - tych wiecznie niezadowolonych, dla których szklanka jest zawsze do połowy pusta.

Rety, ona chyba mówi o mnie, zdaję sobie sprawę.

- Muszę iść, Pam. Albo jak zwykle się spóźnię.

- Nie bądź pesymistką. - Pam poprawia trzymaną na ramieniu lnianą torbę na zakupy. - Annette Eastern przestrzega przed dołowaniem się. Jeżeli sama wpędzasz się w dołek, pisze, dlaczego ktoś miałby cię z niego wyciągać... Hej, popatrz, to Ruth. Cześć. Ruth!

Miła kobieta, którą poznałam na kolacji u Pam. Wygląda inaczej w idealnie skrojonym garniturze, podkreślającym figurę.

- Cześć. Nie mam czasu...

- Wyglądasz niesamowicie elegancko - mówię. - Gdybym potrzebowała prawniczki, chciałabym, żeby wyglądała jak ty.

- Wcale nie. - Ruth przeczesuje ręką włosy. - Muszę wrócić do domu. No, zobacz. - Pokazuje swoje stopy. - Wyszłam w...

Ma na nogach buty tego samego koloru, lecz nie do pary.

- Ojej! - wołam ze śmiechem.

- Nie mam już siły. Wyszłam z domu z bliźniakami, które wrzeszczały, jakbym usiłowała je porwać. Ludzie się na mnie podejrzliwie gapili. Znasz to. A może nie.

- Znam, znam - zapewniam.

- W pewnym momencie poczułam, że lewy but jest ciaśniejszy od prawego, ale odjechałam za daleko, żeby zawracać - jęczy. - Chcę moją żonę z powrotem!

- No, nie dziwię się. Nie mam pojęcia, jak funkcjonują domy, w których oboje rodzice pracują - mówi Pam.

- Powinam się w tym miejscu skrzywić - odpowiada Ruth. - Ale powiem z przykrością, że niemal się z tobą zgadzam, Pam. I pomyśleć, że sama zachęcałam Aleksa, żeby wrócił do pracy. Strzeliłam gola do własnej bramki.

- Dostałaś moją wiadomość? - pyta nagle Pam.

- Chyba tak. Przepraszam, mam tak strasznie mało czasu.

- Znajdziecie czas w sobotę? Koło czwartej. Sprawdźcie w kalendarzach. Spotkajmy się w sprawie tego zbierania funduszy na cele charytatywne. Postanowiłam nieco poszerzyć nasz mały klub i zaprosić jeszcze kilka żon.

- Wyjmuję z torebki telefon komórkowy. - Od razu zadzwonię do Lindy.

- Nie! - krzyczę. Mam ochotę wyrwać jej telefon z ręki.

- Zostańmy w małym gronie.

- Może masz rację. Miałam zamiar zaprosić też Chloe, skoro nasze drogi ponownie szczęśliwie się zeszły.

- Ona przecież nie spełnia warunków. Nie jest żoną pracownika firmy. Nie jest niczyją żoną.

- Ale ma rozległe kontakty, Sadie. I dostaje mnóstwo darmowych produktów, które mogłybyśmy sprzedawać na straganach.

Na straganach. W co ja się wplątałam? Przyjdzie mi jeszcze wydawać przyjęcia dobroczynne.

- Ruth, a ty co możesz zaoferować?

- Darmowy rozwód - odpowiada sarkastycznie Ruth.

- Czwarta - przypomina Pam, stukając różową parasolką o chodnik. - Przynieście jakieś ciasto.

Ciasto. Ratunku. Upiekłam w swoim życiu dwa ciasta. Po jednym na każde urodziny Danny'ego. Zapadały się w środku.

- Uważaj, o co prosisz, Pam! - woła Ruth, biegnąc do samochodu w swoich butach nie do pary.

Po powrocie do domu pochłaniam dwie mleczne kanapki Danny'ego, które miał dostać na przekąskę, i szukam w Internecie informacji na temat Annette. Znajduję jej stronę internetową. Ze zdjęciem. Lśniące jasne włosy, ułożone w fale, okalają piękną twarz o szeroko rozstawionych orzechowych oczach, pełen wyższości uśmiech. Robi mi się niedobrze. Ona jest dokładnie w typie Toma. Bardziej zmysłowa wersja mojej poprzedniczki, uroczej Lucindy Lawn. Czytam notkę biograficzną: „Annette Eastern jest autorką dwóch poradników psychologicznych, które odniosły ogromny sukces po obu stronach Atlantyku. Poprzez swoje książki, wystąpienia telewizyjne, warsztaty i wykłady - daty najbliższych wydarzeń znajdziecie w załączniku - doradza tysiącom ludzi - firmom, parom oraz jednostkom - tak, TOBIE także! - aby oczyścili swoje serca na wiosnę! Autorka mieszka w Londynie i Los Angeles. Żałuje, że nie jest w stanie odpowiadać osobiście na listy od fanów". Jezu. Odwijam kolejny batonik, zatykam sobie usta czekoladą i otwieram książkę na stronie tytułowej. Mój wzrok spoczywa na dedykacji napisanej okrągłym pewnym charakterem pisma.

Kochanemu Tomowi,

Dziękuję za cudowne wsparcie! Nie wiem, co bym bez Ciebie zrobiła! Twoja, A.

Twoja? Ogarnia mnie furia. Wybieram jej numer drżącymi palcami. Zgłasza się poczta głosowa. Annette ma melodyjny energiczny głos. Nagrywam wiadomość, w której nie wspominam, że jestem żoną Toma.

Chloe mieszka w lofcie w gorszej części Kensal Rise, gdzie można dostać porządne cappuccino i nieźle po głowie. Mieszkanie przypomina nieco salę gimnastyczną, ma drewnianą podłogę i olbrzymie okna w metalowych futrynach, zimą jest w nim przeraźliwie zimno, a latem gorąco jak w szklarni. Podobnie jak jego właścicielka, zawsze wygląda wspaniale. Promienie słońca padają na błyszczący parkiet, przez otwarte okno wpada ciepły wiatr. Opieram głowę o zagłówek landrynkowo-różowej kanapy.

- Mam przestać wyglądać jak pacjentka kliniki leczenia bezsenności i osiągnąć postkoitalny blask. Pomożesz mi?

- Postkoitalny blask? - Chloe parska śmiechem. - Mów, o co chodzi, Sadie - dodaje całkiem serio.

- O nic.

- To kolejna porada Enid, tak? Uwielbiam tę kobietę. Ciekawe, czy spodobałoby jej się, gdybym cię znów ubrała na złoto.

- Bardzo śmieszne. - Kopię ją lekko w kostkę. - Chodzi mi o naturalny swobodny styl, taki na co dzień. Nie chcę więcej zawstydzać Toma przed jego kolegami. - A tym bardziej zbłaźnić się przed Annette, dodaję w myślach.

- Zmysłowa mężatka? Chodź tu, koleżanko.

Przybliżam twarz, żeby mogła się jej przyjrzeć. Chloe wygląda na zaskoczoną.

- Rety, czy to pozostałości po czerwonej szmince? Piekło niechybnie zamarzło. - Wpatruje się bacznie w moje usta. - A może to dżem?

- Nie, Chloe. To nie jest dżem. To najprawdziwsza czerwona pomadka. Sugestia Enid.

- Podoba mi się, Sadie. Dziwię się tylko trochę, że podchodzisz do tego wszystkiego tak strasznie serio. Nie, źle zabrzmiało. Jestem szczerze zadowolona. Jeśli już coś robisz, zrób to porządnie.

- Nie zamienię się w żonę ze Stepford?

- Nie!

- Na pewno?

- Tak. O, rety Twoje paznokcie!

- Okropne?

- Koszmarne! - odpowiada ze śmiechem, studiując moją twarz pod światło. - Nie możesz nosić czerwonej pomadki, mając brudne paznokcie. Będiesz wyglądać jak rosyjska prostytutka. Dobra. Moim zdaniem, coś w stylu seksownej Gwyneth. Piękno i naturalność oraz wygoda.

- Najlepiej, żeby makijaż można było wykonać jedną ręką, a drugą podcierać pupę Danny'emu.

- Masz ładną cerę - mówi Chloe, nakładając fluid gąbką.

- Parę lat na świeżym kanadyjskim powietrzu działa cuda. Tylko że blada jestem jak budyń waniliowy.

- Uwielbiam jasną karnację. Zamknij oczy.

- Łaskocze.

- Wytrzymaj. Otwórz. Spójrz w górę. - Maluje kreskę pod okiem i nakłada różowy cień w tubce.

- A więc pragniesz stać się kolejną Perfekcyjną Pam?

- Otóż to. - Śmieję się. - Mam nawet swoją tajną sprzątaczkę. Grubą Pat. Tom myśli, że kosmici przeszczepili mi osobowość.

- Sadie, udajesz, że sama sprzątasz? Tak nie wolno!

- Po co mam rozwiewać jego złudzenia? Przecież to nie zbrodnia, tylko małe oszustwo. - Przeriwam. - Mam lodówkę wypchaną po brzegi. Jak Nigella. Wydałam fortunę na zakupy. Może nawet poproszę Pam o kilka przepisów. A propos Pam, idziesz do niej w sobotę? Mówiła, że ma zamiar cię zaprosić.

- Niestety, tak mnie zaskoczyła, że się zgodziłam, zanim zdążyłam pomyśleć. Nie widziałam jej od lat. Może się jeszcze jakoś z tego wykręcę.

- Ani mi się waż. Musisz pójść.

- Nie mam obowiązku. Nie jestem żoną z Andersona.

- Potrzebuję twojego wsparcia.

- Nie ma to jak szantaż emocjonalny. Siedźże spokojnie.

Miło oddać się w zaufane ręce. Gąbki i pędzle do makijażu przyjemnie łaskoczą skórę. Miło też być przy tym trzeźwą. Może nawet uda mi się czegoś nauczyć. Dzisiejszy makijaż jest zupełnie inny od tego, który mi zrobiła poprzednio. Elegancki i stonowany. Żadnych sztucznych rzęs, unurzanych w brokacie.

- Co się dzieje? - pyta nagle Chloe. - Widzę, że coś cię trapi.

- Psychoviagra była w naszym domu w zeszłym tygodniu. Przeklęta Annette Eastern, sobowtór Gisele. Znalazłam na biurku Toma egzemplarz jej książki z napisaną odręcznie sentymentalną dedykacją. Tom notorycznie wraca do domu bardzo późno, czasem pachnie kobiecymi perfumami. Coś jest na rzeczy, po prostu to wiem. On się dziwnie zachowuje.

Chloe cofa się o krok do tyłu i patrzy na mnie z niedowierzaniem. Kręci głową.

- Chyba nie myślisz... Boże. Tom nie zrobiłby czegoś takiego.

- Nie wiem, Chloe. - Wzruszam ramionami. - Nic już nie wiem. Może jestem naiwniaczką? Muszę sobie odpowiedzieć na to pytanie. Wołałabym, żeby moje podejrzenia się nie potwierdziły, jednak nie mogę zamykać oczu na fakty. Ja pobieram lekcje, jak być przykładną małżonką, a on mnie zdradza. Cóż za ironia losu.

- Popatrz w dół. - Chloe przechyliła głowę i nakłada jakąś substancję na moje powieki. - Jestem przekonana, że nie masz racji co do Annette. Tom taki nie jest.

- Był.

- Kiedy miał dwadzieścia kilka lat!

- Jeszcze nie potrzebuje viagry.

- Masz paranoję.

- Ogląda się za innymi kobietami. Gapi się na cycki Pam.

- Wszyscy gapią się na cycki Pam. - Dotyka mojej twarzy miękkim, puszystym pędzlem do nakładania pudru. - To wybryk natury.

- Nie chce się ze mną kochać.

Chloe marszczy czoło. Najwyraźniej ona również uważa to za niepokojący objaw, jest jednak zbyt taktowna, by powiedzieć to na głos.

- Może przez stres? Nic się nie bój - kiedy z tobą skończę, zedrę ci majtki zębami. Słowo. Już wyglądasz szalowo, a jeszcze nawet nie masz pomalowanych rzęs. Proszę, zobacz sama. - Cofa się i podziwia swoje dzieło. - Spłodzicie szóstkę dzieci. - Mruga. - Nie będziesz mi wtedy dziękować.

Wyglądam naprawdę ładnie, mam rozświetlone oczy i zaróżowione policzki.

- Jakbym właśnie skończyła szybki numerek na sianie. Dzięki, Chloe.

- Siadaj, siadaj. Nie zapominajmy o pomadce. Proszę. Intensywna czerwień jest odrobinę za ostra dla ciebie. Ten odcień nazywa się Cherry Pie. Jest delikatniejszy. - Chloe siada obok mnie na kanapie, zakłada jedną szczupłą odzianą w dzins nogę na drugą. - Zatrzymaj wszystkie kosmetyki, których użyłam. Łatwo się je nakłada. Nawet małpa by sobie poradziła.

- Dzięki, Chloe. Zrewanżuję ci się w kwiatkach. - Wpatruję się w swoje odbicie w lustrze, wydymam usta, unoszę brwi, podziwiam z profilu zaróżowione jak po akcie seksualnym policzki. - Dobra, jestem gotowa.

- Gotowa na co? - pyta ze zdziwieniem Chloe.

W odpowiedzi odzywa się mój telefon komórkowy. Wiadomość na poczcie głosowej. Serce zaczyna mi bić szybciej, sprawdzam numer. Annette. Wspaniale, chwyciła przynętę!

Co mam robić? - wzdycha Ruth, pokładając się na kanapie w salonie Pam. Przyciska do piersi haftowaną poduszkę. - On chce się kochać dwa razy dziennie. Podejrzewam, że to skutek uboczny pracy w miejscu ociekającym testosteronem. Kiedy siedział w domu, zajmując się dziećmi, miał potrzebę dwa razy w miesiącu. - Zakrywa twarz poduszką. - A mnie wystarczyłoby raz na miesiąc. Mamy zupełnie rozbieżne potrzeby.

Wypluwam wino do kieliszka. Niechętnie przystaliśmy na propozycję Pam, aby urządzić wyprzedaż ubrań, a zysk przeznaczyć na szczytne cele. Nie było sensu się z nią spierać, przechodzi fazę hipomanii. Szczęśliwie zamknawszy temat działalności społecznej, radośnie oddaliśmy się ploteczkom przy winie. Dzieci bawią się grzecznie na górze. Herbata i ciasteczka upieczone własnoręcznie przez Pam nie wzbudziły naszego zainteresowania.

Postanowiłam zamiast ciasta przynieść bukiet różowych peonii, Tara kupiła luksusowe herbatniki, a Ruth przeprosiła, że pojawia się z pustymi rękoma. Miała poważny kryzys w pracy. Chloe przyniosła wino, ponieważ nigdy nie uruchamia piekarnika. Z jej zboląłego wyrazu twarzy można wyczytać, jak rzadko bywa na spotkaniach kółka gospodyń. Nigdy nie widziałam jej bardziej zagubionej.

W obcisłych czarnych dżinsach, bluzce z gwiazdą na piersiach i intensywnie różowych szpilkach, otoczona ręcznie haftowanymi poduszczykami, kaszmirowymi narzutami w cekiny i zapachem ciasta wygląda zupełnie nie na miejscu.

- Kładź się spać wcześniej albo czekaj, aż on zaśnie - oświadcza Pam tonem znawcy tematu.

- Muszę się jeszcze napić. - Chloe otwiera kolejną butelkę wina. - Komu dolewkę?

Wszystkie - oprócz Pam, która pije jakiś bezalkoholowy napój - wyciągamy kieliszki w jej stronę.

- Ale raz w miesiącu to trochę za rzadko, nawet dla mnie. Tak się chyba nie da na dłuższą metę. Od dawna jesteście razem? - kontynuuje Pam.

- Od dziesięciu lat.

- Aaa. - Pam kiwa głową, jakby to wszystko wyjaśniało. - Ja jestem w związku dopiero sześć lat.

- Za cztery mnie zrozumiesz - mówi Ruth. - A jeżeli w dodatku urodzą się wam bliźnięta, wtedy naprawdę mnie zrozumiesz.

Zerkam na Chloe i obie zaczynamy chichotać. Naprawdę nieźle się bawię, choć przysłam tylko z poczucia obowiązku, aby wypełnić niedorzeczne zobowiązanie, złożone Enid. Wino mile odpręża i zaciera przykre wspomnienia z całego tygodnia. Mój nowy makijaż został zauważony przez kobiety, co odrobinę łagodzi rozczarowanie, że Tom nie zwrócił na niego uwagi. Odpoczywam od obsesyjnych myśli o Psychoviagrze. Za trzy dni jestem z nią umówiona na wykonanie zlecenia. Jak mam do tego

czasu funkcjonować? Zdjęcie z okładki książki - blond czupryna i uśmiezek wyższości - na stałe wdrukowało się w mój mózg. Jest pierwszą rzeczą, o której myślę po przebudzeniu. Chciałabym wypytać o nią dziewczyny, ale nie mogę ryzykować, że informacja dotrze do Toma za pośrednictwem któregoś z mężów.

- A kiedy się pobieraliście, też mieliście inne potrzeby? - pyta z zadumą Tara, która przysiadła na srebrnym skórzanym pufie. Obejmuje dłońmi opalone kolana, wydaje się zatroskana. Przypuszczam, że każda z nas ma swoje tajemnice.

- Na początku znajomości człowiek jest na hormonalnym haju - odpowiada z uśmiechem Ruth. Jej otwartość sprawia, że czuję się chorobliwie wycofana. Może po prostu za mało jeszcze wypiałam.

- Wszystko się zmieniło po przyjściu na świat bliźniaków. Pewne rzeczy się rozszerzyły, a nasze życie seksualne się skurczyło - dodaje Ruth.

- Chyba nie chcesz powiedzieć...? O, Boże! - woła Chloe, krzyżując nogi. - Nie chcę mieć dzieci.

- Nie ćwiczyłam mięśni Kegla. Ktoś to w ogóle robi? Tymczasem Alex najwyraźniej przechodzi kryzys wieku średniego - wyznaje Ruth. - Mnie natomiast zależy głównie na tym, żeby się porządnie wyspać. Najlepiej bez jego chrapania.

- Nie pociąga cię myślenie o seksie, Ruth. Pewnie dlatego, że jesteś zmęczona? - Pam uśmiecha się wstydliwie. - Czasem, kiedy się człowiek zmusi, okazuje się, że to całkiem przyjemne. Odkryłam też, że udając rozkosz, można ją naprawdę poczuć.

- Uch! - jęczy Chloe. - Nie wierzę, że to powiedziałaś.

- Bardzo się boję kolejnej ciąży. - Ruth wzrusza ramionami. - Mam nadzieję, że Alex również. Postawiłam na jego nocnej szafce zdjęcie bliźniaków w wieku niemowlęcym, żeby pamiętał o możliwych konsekwencjach swoich poczynań.

- Dziewczyny, dziewczyny. - Chloe kiwa głową z politowaniem. - Nie wolno wam tak mówić! Jesteśmy u szczytu swoich seksualnych możliwości! Pod koniec naszego koszmarnego małżeństwa nienawidziliśmy się z moim byłym mężem, ale w łóżku zawsze było cudownie.

- Nie mieliście dzieci - przypomina z wyższością Pam, klepiąc się po wielkim brzuchu.

- Chętnie wysłałabym go raz na jakiś czas do profesjonalistki, gdyby to było bardziej akceptowalne społecznie i legalne - mówi z westchnieniem Ruth, mierzwiąc palcami krótkie włosy. - Zresztą o czym ja mówię? Pewnie i tak wszyscy to robią w tej ich firmie.

- O matko! - Pam, przyciskając brzuch obiema rękami, jakby chciała zasłonić uszy płodu. - Nasi mężowie byliby wstrząśnięci, gdyby nas teraz słyszeli.

- I dobrze. - Ruth rozsiada się wygodniej i zdejmuje buty. Patrzy z uśmiechem na Tarę. - Druga żona musi mieć jeszcze cięższe życie. Założę się, że widzi w tobie swój deser.

Tara otwiera usta, po czym z powrotem je zamyka.

- To także twoje drugie małżeństwo, prawda? - pytam z zaciekawieniem. - Powiedz, czy za drugim razem jest łatwiej? Dochodzi się do większej wprawy? Tak jak w grze w tenisa albo na pianinie? Trening czyni mistrza?

Tara rumieni się i zakłada nogę na nogę.

- Na początku wydaje ci się, że dostałaś od losu drugą szansę. Wraca namiętność, która wypaliła się w poprzednim związku, i jest cudownie - odpowiada z wahaniem. - Ale...

- Nie mów mi, że jest jakieś ale. - Ruth zasłania uszy. - Błagam cię. Nie rozwiewaj moich złudzeń o ucieczce.

- Prawda jest taka, że urok nowości powoli znika i wracasz do tego samego miejsca, w którym byłeś z poprzednim partnerem. Klócimy się nawet o te same rzeczy - mówi cicho Tara.

- Wiedziałam. - Chloe mądrze kiwa głową. - Powtarzają się te same schematy.

- Coś w tym rodzaju - przytakuje skrzywiona Tara.

- Przynajmniej jeszcze się sobą nie znudziliście w łóżku. - Ruth wzdycha z zazdrością. - Jeszcze co najmniej dwa lata będziecie się woleli kochać niż spać.

- Właściwie nie miałabym nic przeciwko temu, abyśmy robili to częściej. - Tara oblewa się purpurą. - Mam wrażenie, jakbyśmy byli małżeństwem kilkanaście lat, a nie zaledwie trzy. Jego libido się ustabilizowało. Moje także, ale... na nieco wyższym poziomie.

- To ja rozumiem! - Chloe wznosi do góry swój kieliszek. - Brawo, Tara!

- Hej, może się zamienimy? - Ruth śmieje się i trąca Tarę żartobliwie w bok.

Wszystkie wybuchamy śmiechem, po raz kolejny uzupełniamy kieliszki. Pam przysuwa nam talerz ze słodyczami.

- Nie zjeść ciastka, kiedy wszystkie kobiety wokół się objadają, jest aktem braku solidarności. Wzbudza w jedzących poczucie winy.

- W takim razie będę niesolidarna. - Chloe odsuwa od siebie talerz. - Nie, dziękuję. Poza tym - nie wiedziałam, że tak łatwo popadasz w poczucie winy, Pam. - Śmieje się. - Znałam tę panią, zanim została przykładną żoną. Dziewczyny, co to było za szalone stworzenie.

- Bredzisz. - Pam uśmiecha się z przymusem.

- Tańczyła na stołach i grzeszyła z wytatuowanymi przystojniakami bez najmniejszego poczucia winy.

- Niemożliwe! Pam jest przecież taka zrównoważona - dziwi się Ruth. - Mówię to bez ironii, Pam, lecz ze szczerym podziwem.

- Nie przesadzaj. - Pam bezskutecznie próbuje ukryć uśmiech zadowolenia. - Staram się być dobrą żoną, to wszystko.

- Daj spokój. - Chloe parska śmiechem. - Nie żyjemy w latach pięćdziesiątych!

- Co za różnica - odzywa się Tara, biorąc ciastko. - W facetach coś się zmienia, kiedy zostajesz ich żoną. Wychodzi z nich seksistowski potwór, dotąd ukryty pod warstwą kulturowej ogłady. Chcą się zmienić, ale nie potrafią. Wsuwają ci na palec obrączkę i od razu oczekują, że będziesz taka jak ich matka i pierwsza żona. Jakiś atawizm, czy co? Jakby byli jaskiniowcami. Chcą seksu, jedzenia i wyprasowanych koszul. W tej właśnie kolejności.

- Chyba już wiem, gdzie popełniłam błąd - odpowiada ze śmiechem Chloe. - Mój dostawał tylko seks. I obiad zamówiony przez telefon, jeśli miał szczęście.

- Ja swojemu zapewniam wyżywienie i dach nad głową - mówi Ruth. - Niech się cieszy.

- A jaką żoną był Alex, Ruth? - pyta Pam.

- Właściwie w odniesieniu do mężów zajmujących się domem można zastosować ten sam zestaw staroświeckich zasad - odpowiada ze śmiechem Ruth, pociągając spory łyk wina. - Czytałyście kiedyś te zabawne poradniki z lat pięćdziesiątych? Z poradami w stylu: „Nie narzekaj, kiedy się spóźnia na kolację. Czekaj z zastawionym stołem. Dopilnuj, żeby dzieci były czyste i spokojne”.

Wszystkie kiwamy głowami.

- W odniesieniu do niepracujących mężów można zastosować podobne zasady. Trochę tylko zmienione.

- Na przykład? - pyta z rozbawieniem Tara.

- Po pierwsze! - Ruth unosi do góry palec wskazujący. - Przygotuj dzieci na powrót żony z pracy. Dopilnuj, żeby miały czyste ręce i nie pobrudziły jej eleganckich ubrań. Po drugie! Zdejmij fartuch do gotowania, gdyż nie dodaje ci on męskości. Żona powinna widzieć w tobie mężczyźnę, zwłaszcza jeśli pełnisz rolę tradycyjnie przynależną kobietom. Po trzecie! Nie wspominaj, że matki wszystkich kolegów waszego dziecka pojawiły się na szkolnych jasełkach. Po czwarte! Bardzo ważne. Przenigdy nie mów jej, że wygląda na zmęczoną.

Wybuchamy zbiorowym śmiechem. Panuje bardzo miła atmosfera.

- Sadie... - Pam trąca mnie łokciem. - Niewiele mówisz o sobie. Jaką jesteś żoną?

- Tak, opowiadaj - przyłącza się do niej Tara.

- Cóż... - waham się. A co mi szkodzi? - Jestem antytezą przykładnej pani domu. Prawdopodobnie miałabym szansę na tytuł najgorszej żony na świecie. Chloe może potwierdzić.

- Po prostu jesteś sobą. Tak powinno być - protestuje Chloe.

- Mój poradnik dobrej żony brzmiałby mniej więcej tak... Po pierwsze! Dopilnuj, aby w lodówce nie było nic jadalnego.

Pam pluje do swojego soku.

- Po drugie! Zbliżenia intymne powinny być sporadyczne i rutynowe. Najlepiej, aby odbywały się w brudnej pościeli i flanelowych piżamach.

- Wypiję za to! - woła Ruth, unosząc do góry kieliszek.

- Po trzecie! Nie przegap żadnej okazji, żeby skompromitować męża w oczach jego kolegów z pracy. Pamiętaj, że pracuje ciężko tylko po to, by ci to wypominać.

Śmiech milknie, czuję na sobie zdumione spojrzenia kobiet. Czyżbym posunęła się za daleko?

- Na swoje usprawiedliwienie dodam... - kontynuuję z przejęciem publiczne wyznanie win - ...że pracuję nad swoim negatywnym nastawieniem. Staram się być lepsza.

- Korzysta z porad specjalistki od układów damsko-męskich, staruszki z Hampstead - mówi Chloe, unosząc znacząco jedną brew. - Poważnie mówię.

Wolałabym, żeby Chloe o tym nie wspominała. Czuję się strasznie głupio. Odstawiam kieliszek i momentalnie trzeźwieję.

- Doradztwo małżeńskie? - pyta Ruth. - Nie wierzę w takie rzeczy.

- Nie, nie. Ta starsza pani jest klientką, dość zamożną. Rozmawiamy sobie. To bardzo miła, dość ekscentryczna osoba, myślę, że ma około osiemdziesiątki. Wydaje się samotna. Jej mąż zmarł parę lat temu. Doradza mi... w sprawach małżeńskich.

- Cudownie! - woła Ruth. - Ile jej płacisz?

- To ona płaci mnie. Za kwiaty. No i gawędzimy przy okazji. Jest sympatycznie, bardzo ją polubiłam. Chyba się zaprzyjaźniłyśmy.

- A może byś ją przyprowadziła na któreś z naszych zebrań? - proponuje Pam. - Z przyjemnością poznałabym tę panią.

- Nic z tego. Ja także wpadłam na ten pomysł - mówi Chloe. - Ale Sadie trzyma ją tylko dla siebie.

- Bardzo podejrzane - oświadcza, zaśmiewając się, Tara. - Czyżby rumieniec na twych policzkach był naturalny? Masz romans, Sadie?

- Chciałabym - odpowiadam, wspominając z rozmarzeniem zapach Eddiego.

Zatrzymuję samochód na czerwonym świetle i w ostatniej chwili powstrzymuję się od dłubania w nosie. Czy gdybym miała ponownie wyjść za mąż, wybrałabym kogoś podobnego do Toma? - rozmyślam. Czy wszystkie rzeczy, które w nim lubię - figlarne ogniki w oczach, specyficzne poczucie humoru, włosy na karku - równoważą jego wady? A może powiedziałabym sobie: nie, tym razem związę się z kimś, kto nie pracuje codziennie po nocach, żeby udowodnić coś matce, nie kupuje kana-py za pięć tysięcy funtów, by zrobić wrażenie na gościach, i zauważa, że w pokoju dzieciennym codziennie są świeże kwiaty? Kogoś, kto zwróci uwagę, że umalowałam usta czereśniową pomadką. To by naprawdę było coś. Dziś rano musiałabym chyba wejść do kuchni przystrojona jedynie w dwa batoniki zbożowe, dyndające u sutków, żeby Tom popatrzył na mnie znad swojego blackberry.

Wyobrażanie sobie życia u boku innego mężczyzny jest czystą abstrakcją. Jak wizualizowanie siebie z długimi szczupłymi nogami albo pośladkami Kylie Minogue. Toma i mnie łączy prawdziwa miłość. Naprawdę. Przypomina o sobie na co dzień, w zwykłych codziennych gestach. Kiedy Tom całuje Danny'ego na dobranoc. Kiedy przytula mnie przez sen. Czasem dostrzegam w jego oczach wzruszającą czułość. Tylko że niezbyt często.

Czy to wystarczy? Tyle można oczekiwać od małżeństwa z kilkuletnim stażem? Ciepłej, spokojnej akceptacji. Mama wiele wybaczała ojcu: jego skłonność do marudzenia, nieumiejętność gotowania i zmywania, antytalent do majsterkowania. Kiedyś wymienił wszystkie plastikowe kontakty w domu na mosiężne, zainstalował je do góry nogami, co do jednego. Mama uśmiechnęła się ze stoickim spokojem i zapewniła, że przywyknie. Zwykła powtarzać, że akceptacja rzeczywistości daje klucz do szczęścia - przeczytała to w jakimś kieszonkowym poradniku - i że utrudniamy sobie życie, walcząc z tym, co nie zależy od nas. Nie lubiła się dręczyć pytaniami w stylu: „Co by było, gdyby...”.

Światło zmienia się z czerwonego na żółte, a potem na zielone. Zdejmuję stopę z hamulca, wycieram nos rękawem i prawie przewracam rowerzystę.

Kilka minut później wjeżdżam do luksusowej dzielnicy, w której mieszka Enid. Mijam eleganckie rezydencje, okablowane alarmami przeciwwłamaniowymi, piękne drzewa. Jestem odrobinę spięta. Dziś rano, rozochocona reakcją, jaką wzbudził mój nowy styl u całkiem przystojnego sprzedawcy, podjęłam odważną decyzję w sprawie kwiatów. Słyszę szcęk łopaty uderzającej o kamień.

- Cześć, Eddie! - wołam przez wysoki żywopłot.

Szelest kroków w trawie, odgłos metalu ciągniętego po ziemi. Staje przede mną, widzę tylko jego loki i zielone oczy.

- Nieźle. - Przygląda mi się przenikliwie. - Wyglądasz inaczej.

- Tak? - Rumienię się.

- Wyjątkowo dobrze.

Nie umiem powstrzymać szerokiego uśmiechu. Czyżbym nakładała czereśniową pomadkę na usta bardziej z myślą o Eddiem niż o Tomie lub Enid?

- Enid w domu?

- Naprawdę sądzisz, że wyszłaby, wiedząc, że przyjdiesz?

- Lubię sprawiać ludziom przyjemność. - I po co to powiedziałam? Zachowuję się jak kiepska komediantka.

Eddie stawia stopę obutą w ciężki kalosz na ostrzu szpadla. Zwracam uwagę na mięśnie, wyraźnie zarysowane pod przepoconą koszulką. Jest coś niebywale zmysłowego w widoku mężczyzny pracującego fizycznie na łonie przyrody. Zdecydowanie bardziej atrakcyjnego niż mężczyzna w garniturze, tyjący z dnia na dzień od służbowych obiadków.

- Jak się miewa mój mały kolega Danny?

- Wspaniale. - Pochlebia mi, że zapamiętał imię mojego syna.

- Zabierz go kiedyś ze sobą. Pościgamy się samochodzikami - mówi Eddie, zarzucając bez wysiłku szpadel na ramię i wracając do swoich grządek. - Powiedz mu, że tym razem chcę czerwone auto. Nie ze mną takie numery.

Enid siedzi wyprostowana na białej sofie, trzyma przed sobą okazały egzemplarz dzieł zebranych Szekspira z pozaginanymi rogami. Jest ubrana w biało-granatowy kostium, włosy upięła w elegancki kok, na drobne stopy wsunęła skórzane pantofle z błyszczącej czerwonej skóry. Zamyka książkę i przygląda mi się chytrze.

- No, no. Szybko doprowadziłaś się do porządku.

- Dziękuję, Enid. - Cieszę się z pochwały jak mała dziewczynka. - Mam koleżankę, Chloe, która pracuje jako kosmetyczka. Udzieliła mi lekcji.

- Naprawdę? A mogłabyś ją do mnie przysłać? Przydałaby mi się kosmetyczka. Układa także włosy? Cudownie. Dasz jej mój numer?

Kiwam głową, zastanawiając się, co na to Chloe. Enid jest o sześćdziesiąt lat starsza od większości jej klientek.

- Usiądź, proszę.

- Kwiaty... - zaczynam z wahaniem.

- Kwiaty zaczekają, kochanie. Siadaj. Mogę cię prosić o odłożenie tej starej książki na półkę? Dziękuję. Oczy mnie pieką od wpatrywania się w drobny druk. Co słyhać na domowym froncie? Masz dobre wieści? - pyta, podnosząc do ust filiżankę z delikatnej porcelany. - Opowiadaj.

- Cóż... - Szukam dobrego sposobu, aby jej powiedzieć.

- Aha. - Obrzuca mnie przeciągłym spojrzeniem.

- Obawiam się, że daleko mi jeszcze do miana idealnej żony. - Zaśmiewam się nerwowo. - Jednak lodówka jest zaopatrzona, dom czysty, a ja mam na ustach pomadkę. Pojawiła się za to wątpliwość, czy on w ogóle zauważa zmianę i czy go ona obchodzi.

- No cóż, wygląda na to, że musimy wytoczyć cięższe działa. - Enid unosi brew w pytającym grymasie. - Upieczesz ciasto.

- Nie potrafię.

- Nie mów tak. Weź przepis od koleżanki. Oczaruj go własnoręcznie ugotowanym posiłkiem.

- No tak - mówię z uśmiechem. Chciałabym, aby życie było tak proste. Czy kiedyś takie właśnie było? Mężowie przypominali psy? W takim razie współczesne kobiety mają gorzej. Mężczyźni są dziś o wiele bardziej skomplikowanymi stworzeniami.

- Nie zniechęcaj się. Zmiany wymagają czasu, mężowie ich nie lubią. Opór zwykle bywa najsilniejszy na początku. Kochają rutynę, nawet jeśli pozostawia ona wiele do życzenia. Przyzwyczajenie się do nowości zwykle trochę trwa. Podaj mi notes, kochanieńka.

Wyjmuję z torebki różowy zeszyt i posłusznie podaję Enid.

Pisze tak, abym nie mogła czytać jej przez ramię.

- Przeczytasz później - mówi i zamyka notes. - Znalazłaś już swoją Maud, Iris i Ruby? Opowiadaj, jak było na spotkaniu klubu żon.

- Możliwe, że znalazłam.

- Pokaż ręce.

- Słucham?

- Pokaż ręce, moja droga.

Podaję jej prawą dłoń. Czyżby zamierzała mi powróżyć?

Enid prostuje mi palce i przygląda się paznokciom.

- Tak jak podejrzewałam: postęp. Oby tak dalej. Czy to również zasługa twojej przyjaciółki Chloe?

Kiwam głową.

- Doskonale. Każdy mężczyzna miałby problem, by pozostać szczęśliwym w związku z kobietą o brudnych paznokciach - oświadcza. - Dobrze, teraz kwiaty.

- Pójdę po nie. - Zatrzymuję się na progu. - Enid, jest coś, o czym ci nie powiedziałam - mówię niepewnie. - Tulipany...

- Słyszałeś, kochany Albercie? - przemawia do fotografii, uderzając paznokciem w tafelę szkła. - Twoje tulipany zaraz będą.

- Cóż... - Przeszuję z nogi na nogę. - Dziś nie przywiozłam tych czarno-fioletowych, Enid. Pomyślałam...

- Nie czarne? - Enid otwiera szeroko oczy. - Jak to nie czarne? Nie mieli dziś rano na rynku czarnych tulipanów Alberta?

Biorę głęboki oddech.

- Mieli, Enid. Ale pomyślałam, że być może zainteresuje cię też inny kolor. Mamy pełnię lata, a pamiętam, jak podziwiałaś bukiet różowych tulipanów, który miałam przy sobie w parku tamtego dnia, kiedy się poznałyśmy.

- Różowe tulipany? Różowe tulipany? - Enid mamrocze sama do siebie, jakbym jej zaproponowała bukiet ze sztuczków. - Nie. - Kręci głową. - Nie chcę różowych tulipanów.

Dokładnie takiej odpowiedzi się obawiałam. Przekroczyłam swoje kompetencje, zapomniałam o naszej relacji służbowej. Kimże jestem, żeby zmieniać czyjeś wieloletnie przyzwyczajenia?

- Przepraszam, Enid. Uznałam, że być może spodoba ci się pewne urozmaicenie.

- Co tydzień kupuję świeże czarne tulipany, odkąd zmarł Albert - mówi powoli, bliska łez.

Zerkam na zegarek. Nic już nie mogę zrobić, nie ma sensu wracać na rynek. I zmarnowałam tyle kwiatów. Niech to szlag.

- Mogę wrócić jutro rano z nowymi tulipanami. Albo za tydzień.

Enid wstaje, przytrzymując się oparcia kanapy.

- Za tydzień. - Wygląda na ogromnie rozczarowaną. - Poproszę Angie, żeby potwierdziła zamówienie telefonicznie.

Wychodzę z pokoju z poczuciem klęski, jakbym nie zdała ważnego egzaminu. Atmosfera uległa zmianie. Angie otwiera mi drzwi.

- Do widzenia pani - mówi, jakby mnie zegnała na zawsze.

Wsiadam do samochodu zrezygnowana, w bagażniku mam feralne różowe tulipany. Może to i lepiej, myślę. Enid, ten dom, cała sytuacja... To wszystko jakieś wariactwo. Nie mogło trwać zbyt długo. Przekręcam kluczyk w stacyjce. W drzwiach staje Angie i Enid, rozmawiają z przejęciem. Wreszcie Enid drepcze ku mnie w swoich czerwonych pantoflach.

- Zaczekaj, Sadie!

- Tak? - Wychylam głowę przez okno.

- Zmieniłam zdanie co do kwiatów. Chciałabym zatrzymać różowe tulipany. - Ogląda się przez ramię, zerkając na Eddiego wynurzającego się z zarośli. - Eddie, kochany chłopcze, pomożesz Sadie wnieść kwiaty do środka? Przywiozła mi różowe tulipany dla poprawy nastroju.

- Jest pani pewna? - Angie zdaje się zaskoczona.

Enid prostuje plecy i uderza otwartą dłonią w dach auta.

- Skoro Sadie zmusza się do używania czerwonej szminki, ja postaram się polubić różowe tulipany. - Wpatruje się w przestrzeń. - Tak, chyba nadszedł już czas na różowe tulipany.

Wracam do domu bardzo zadowolona z siebie. Robię sobie kawę. Nie udało mi się, co prawda, wywołać uśmiechu na twarzy Toma, ale za to uszczęśliwiłam Enid. To naprawdę przyjemne uczucie. Siadam wygodnie na kuchennym krześle i otwieram notes. To, czego szukam, znajduję dopiero na ostatniej stronie.

Udawaj, że jesteś szczęśliwa, nawet kiedy nie jesteś, moja droga. Udawaj dotąd, dopóki fikcja nie stanie się rzeczywistością. E xx

Uśmiecham się na ten przejaw przebiegłości sympatycznej staruszki. Perfekcyjna Pam mogłaby się pod tym podpisać.

21

Wreszcie nadszedł ten dzień. Uzyskam dostęp do pieczary mojej blondwłosej Nemezis. Gdyby aura miała odzwierciedlać stan mojej duszy, grzmiałoby i lało jak z cebra. Tymczasem pogoda piękna i słoneczna, niebo bez jednej chmurki. Mieszkanie Psychoviagry znajduje się niepokojąco blisko mojego domu. Zaledwie osiemnaście minut i trzydzieści dwie sekundy jazdy samochodem, kiedy nie ma korków. Dystans sugerujący możliwość zdrady. Zatrzymuję się przed białym apartamentowcem w Belsize Park. Wchodzę do środka, stąпам po marmurowej podłodze klatki schodowej i przyglądam się morskim pejzażom, zdobiącym ściany. Portier odnajduje moje nazwisko na liście i wskazuje drogę do windy. Wchodzę do lustrzano-chromowanej kabiny, pachnącej odświeżaczem powietrza, i jadę na trzecie piętro. Drzwi do jaskini smoczycy stoją otworem, przytrzymywane stopą jakiejś pani w średnim wieku, ubranej w granatowe ogrodniczki. Zgaduję, iż jest to gospodyni lub sprzątaczką.

- Witaj, kochana - mówi. - Jesteś nową florystką?

- Ja... tak - jąkam się niepewnie, spoglądając sponad sterty pudeł z kwiatami. Annette nie żałowała pieniędzy na dekoracje. - Dzień dobry.

- Mam na imię Louise. Zapraszam do środka.

Serce podchodzi mi do gardła, kiedy przekraczam próg ogromnego mieszkania. Przepastny korytarz prowadzi do olbrzymiego salonu. Podłoga z ciemnego drewna wypastowana na wysoki połysk, dwa beżowe narożniki, duża szklana ława, a na niej poukładane równo albumy z reprodukcjami dzieł sztuki, wielki telewizor plazmowy, wbudowany w ścianę jak okno. Na gustownym regale ustawione na pokaz nagrody. Jedna z nich zwraca moją uwagę. Mrużę oczy i czytam inskrypcję na statuetce: „People's Choice Award: Oczyszczyć swoje serce na wiosnę!”. Robi mi się niedobrze.

- Kuchnia. - Louise rozsuwa białe drzwi, odsłaniając luksusowo wyposażoną kuchnię: ogromna lodówka w stylu amerykańskim, granitowe blaty, płytki ze szmaragdowego szkła, połyskujące akcesoria ze stali nierdzewnej. Pomieszczenie nie wygląda, jakby ktokolwiek w nim gotował. Albo bałagał.

Cóż, należy to przyjąć za dobrą monetę. Jeszcze tego brakowało, aby Psychoviagra była mistrzynią nie tylko w pisaniu głupich poradników, ale także w przyrządzaniu domowych wypieków.

Zabieram się do pracy, roztaczając przed Louise aurę profesjonalizmu. Rozkładam na kuchennym stole ostentacyjnie piękną mieszankę kwiatów: blad różowe róże, jaśmin, eucharis i hebe. Louise przynosi mi trzy duże kwadratowe wazony. Układanie bukietów zajmuje mi więcej czasu niż zwykle, gdyż myśli mam zajęte zupełnie czym innym. Na jednej ze ścian wisi okazały rama z mozaiką zdjęć przedstawiających Annette w różnych okolicznościach, lecz zawsze piękną i promieniującą poczuciem spełnienia. Jest Annette na plaży, ubrana w brązowy kostium kąpielowy, ozdobiony muszlami, oraz kapelusz o bardzo szerokim rondzie. Patrzę nienawistnie na jej płaski brzuch. Annette na spotkaniu autorskim, otoczona tłumem kiepsko ubranych kobiet z nadwagą, przyciskających do serca jej książkę i wpatrujących się w autorkę nabożnie. Annette przytulająca jakieś biedne ciemnoskóre dziecko w kraju Trzeciego Świata. Annette na promie do Staten Island: rozwiane włosy, Manhattan w tle. Uśmiechnięta Annette w džinsach, z książką. Zdjęcie... O nie. To przecież niemożliwe.

Podchodzę bliżej. Tak, to on. Mój Tom. Z Annette i trzema mężczyznami w garniturach. Dwóch z nich rozpoznaję: Roman i Sebastian. Stoją na tle olbrzymiego biurowego okna z widokiem na charakterystyczne nowojorskie drapacze chmur. Zdjęcie zapewne zostało zrobione podczas amerykańskiej delegacji, na którą wysłano Toma tuż po rozpoczęciu pracy u Andersona. Delegacji, którą opisywał jako koszmar. Rzeczywiście, widać, jak strasznie ciężko pracował, drań jeden. Annette jest na pierwszym planie, otoczona przez mężczyzn, ma na sobie czarną jedwabną kreację, wspaniale ułożone włosy i podkreślone usta. Tom stoi tuż obok niej. Wyglądają, jakby trzymali się za ręce. I jego spojrzenie... Nie patrzy w obiektyw, lecz na Annette. W taki sam sposób, w jaki kiedyś patrzył na mnie.

22

Do kolejnej wizyty u Annette jeszcze tydzień, tymczasem moja obsesja kwitnie. Ona wciąż mi się śni, bez przerwy wpisuję jej nazwisko w wyszukiwarce internetowej. Im więcej o niej myślę, tym bardziej jestem przekonana, iż uwiodła mojego męża. Potrzebuję jedynie niepodważalnych dowodów. Dopóki ich nie zdobędę, muszę się zachowywać, jak gdyby nic się nie stało. Udawanie sprawia mi niejaką trudność. Wymaga większej samodyscypliny niż wstawanie do pracy przed świtem. Najchętniej pocięłabym na strzępki garnitury Toma oraz wysłała na stronę internetową Annette stek niewybrednych i dziecinnych obelg. Ale to by było zbyt desperackie, za bardzo w stylu Glenn Close z „Fatalnego zauroczenia”. Dlatego zamiast chwycić za nożyczki i klawiaturę, oddaję się z przekonaniem odgrywaniu swojej roli, idę za radą Enid i usiłuję poszerzyć siłę rażenia na domowym froncie. Nie ograniczę się do zaopatrzenia lodówki w kosztowne półprodukty. Zamierzam, ekhem, zacząć gotować, uzbrojona w przepisy od Delii Smith i Perfekcyjnej Pam.

Pięką dwie lazanie według przepisu Delii. Pierwsza łąduje w koszu w smudze dymu i przy akompaniamencie alarmu przeciwpożarowego. Druga, ku mojej dumie, radości oraz niemałemu zaskoczeniu, nie jest ani spalona, ani surowa. Bulgocze optymistycznie w brytfance jak coś jadalnego. Sukces dodaje mi skrzydeł, zabieram się do wykonania puddingu. Pam wcisnęła mi konspiracyjnie kartkę z przepisem, mijając mnie w bramie przedszkola. Deser jest trudniejszy do przyrządzenia, niż sądziłam. Ubijam śmietanę mikserem, brudząc przy tym sufit i ściany. Wykładam na nasączony konfiturami biszkopt. Dodaję słodki sos z puszki i gotowe. Wpatruję się z fascynacją w swoje dzieło. Piękne. I nawet nie było bardzo trudne. Opadam na kanapę z półlitrowym kieliszkiem wina. Oczy same mi się zamykają, boli mnie kręgosłup. Bycie dwoma osobami wyczerpuje, jestem zarazem idealną panią domu, przyrządzającą pyszne desery, i ukrytą paranoiczką. Mam nadzieję, że nie skończę w kaftanie bezpieczeństwa.

Trzaskają drzwi wejściowe, Tom wkracza do kuchni, odwiązuje krawat. Jest spocony i opuchnięty, jakby spędził zbyt wiele czasu w dusznym ciemnym barze.

- Danny śpi?

- Oczywiście. - Kiwam głową. Jest dziewiąta, mały chodzi spać o siódmej.

- Cholera. - Tom pochmurnieje. - Naprawdę chciałem dziś wrócić wcześniej. Mam wrażenie, że ostatnio prawie go nie widuję.

W ogóle go nie widzisz, mam ochotę powiedzieć, ale gryzę się w język. Przecież mam być miła i udawać zadowoloną. Pod żadnym pozorem nie wymawiać imienia Psychoviagry. Nie wspominać o fotografii. Uśmiecham się do Toma szeroko, bołą mnie policzki. Nazywam się Sadie Drew i jestem szczęśliwą mężatką.

Siada ciężko na kanapie i rozwiązuje buty. Dostrzegam maleńki łysy placyk na czubku jego głowy i ciemne obwódki wokół oczu.

- Ależ miałem ciężki dzień.

- Biedaku.

Podnosi na mnie zdumiony wzrok.

- Brałaś coś, Sadie? Chloe cię odwiedziła?

- Nie! Dlaczego tak mówisz?

- Czuję zapach spalenizny. Pierwsza lazania.

- Uśmiechasz się podejrzanie. A to dzięki drugiej lazanii.

- Ogólnie wyglądasz dziwnie. Przerażasz mnie. - Przesuwa kciukiem po moim podbródku. - Co to?

- O co pytasz?

- Masz czerwoną smugę na twarzy - mówi, zerkając na poduszczkę palca wymazaną czymś czerwonym.

Ocieram podbródek. Musiałam niedokładnie zmyć makijaż.

- Szminka.

- Tak, zauważyłem - odpowiada z uśmiechem. Nareszcie!

- Pasuje ci. - Rozlega się głośnie burczenie. Tom łapie się za falujący brzuch. - Umieram z głodu.

- W piekarniku jest lazania.

- Co takiego? - Przeciera pięściami zmęczone oczy.

- W piekarniku jest lazania.

- Naprawdę? - pyta z niebotycznym zdumieniem. - A niech to.

- A na deser pudding.

- Pudding? - powtarza z niedowierzaniem, jakbym właśnie ogłosiła, że w lodówce przebywa żywe prosię. - Co mam powiedzieć? Dziękuję. - Zdejmuje przepocone skarpety, odsłaniając białe, owłosione, bardzo męskie stopy. Kiedyś uważałam je za seksowne. - Na pewno dobrze się czujesz?

- Czuję się... - przerywam z wahaniem, mając przed oczami wyobraźni wspomnienie zdjęcia w kuchni Annette - ...lepiej niż kiedykolwiek.

- Naprawdę? - upewnia się, jakby nie wierzył własnym uszom. Wygląda jak mały chłopiec, któremu spadł z serca wielki ciężar. - Bardzo, bardzo się cieszę. Podchodzę i rozmasowuję mu kark.

- Odebrałaś e-mail?

- Jaki e-mail? - Wpadam w panikę. Pewnie napisał: „Droga żono, postanowiłem oczyścić swoje serce na wiosnę i pozbyć się...”.

- Od swojego taty. Wyzначył datę przyjęcia zaręczynowego. - Tom wstaje i obejmuje mnie ręką w talii. Niemal padam z wrażenia. - Trzeci września.

Trzeci września. Ta data z czymś mi się kojarzy. Czyjeś urodziny? Jakieś święto?

- Sadie! - Odsuwa się ode mnie. Patrzę bezradnie, szukając w jego oczach wskazówki. - Rocznica naszego ślubu.

- Oczywiście! - Do diaska. I koniec mojej tajnej misji reanimowania naszego małżeństwa. Idealny moment, aby pomówić o przyszłości i dzieciach, zebrać plony mej niewieściej pracy. O ile do tego czasu nie odejdzie z Psychoviagrą. Tata wykazał się całkowitym brakiem wyczucia chwili. - Przecież nie mogą wyprawić przyjęcia w naszą rocznicę!

- Powiedział, że to jedyna sobota we wrześniu, kiedy sala wybrana przez Lorette jest wolna, a Loretta nalega, żeby przyjęcie wyprawić we wrześniu, bo w październiku wyruszają w rejs po Nilu - tłumaczy mi Tom z grymasem na twarzy. Bierze sobie piwo z lodówki. - Zaprosili wszystkich, łącznie z moimi rodzicami. Ojciec już zastrzegł, że tego dnia musi być na jakiejś imprezie w klubie golfowym, natomiast mama, niestety, jest bardzo podekscytowana.

Jakżeby inaczej! Rona będzie tym żyć przez kilka tygodni. Dopóki mama żyła, ojciec nie miał okazji, żeby się zbłąźnić. Ale odkąd poznał Lorette... Odkąd Rona poznała Lorette... a miało to miejsce w Boże Narodzenie, moja teściowa z trudem skrywała zachwyty, nie mogła dostać piękniejszego prezentu. Prawdziwa zwykła kobieta z Milton Keynes! Taka, która nosi swetry z domieszką akrylu i chadza do solarium! Nazywa czasopisma „książkami”!

O, radości. Od dawna nie widziałam Rony szczęśliwszej. Loretta ugruntowała jej poczucie wyższości. Tak, matka Toma z zachwytem będzie chłonać każdy szczegół festyniarskiego bankietu na zaprzętej wiejskiej sali gimnastycznej pod Milton Keynes.

- I... - Tom spogląda na mnie niepewnie. Rona to drażliwy temat, odkąd obcięła bez pytania włosy Danny'emu. - Niestety, chciałaby się u nas zatrzymać w tym tygodniu. Ojciec jedzie do Szkocji na turniej golfowy i zostaje sama.

W istocie idealna żona! Tak idealna, że mąż ucieka od niej przy każdej nadarzającej się okazji. Oczywiście, nie powiem tego głośno. Uśmiechnę się, udam zadowoloną.

- Będzie ci przeszkadzać, jeśli tu przenocuje? - pyta nieśmiało.

Biorę głęboki oddech i dobywam z siebie słowa:

- Skądże. - Zaciskam zęby do bólu. - Przecież to twoja mama.

Tom wygląda na zaskoczonego, ale chyba nie ma siły, żeby się nad czymkolwiek zbyt głęboko zastanawiać.

- Świetnie - mówi tylko.

W sypialni przygląda mi się z łóżka sennym wzrokiem, kiedy zdejmuję ubranie. Przypominam sobie, że mam sprawiać wrażenie, jakbym ukrywała zmysłowy sekret - tyle rzeczy do zapamiętania - opuszczam więc powieki z nadzieją, iż wyglądam seksownie, a nie jak pijaczka. Myślę o Eddiem. O brązowej skórze, widocznej między paskiem spodni a rąbkiem bawełnianej koszulki. Zdejmuję majtki i, nieco zawstydzona, wsuwam się pod kołdrę. Zaczynamy znajomy rytuał. Przesuwa dłonią po moich piersiach i brzuchu. Ja kładę rękę na jego torsie i schodzę powoli ku krzywej wieży. Zgoda, to małżeński seks, żadne tam szaleństwa namiętności, ale bywa całkiem przyjemnie.

Dodatkowo pobudzam się fantazjowaniem na temat Eddiego. Usiłuję sobie przypomnieć, w którym momencie cyklu jestem. Czy są szanse...? Niewykluczone! Prawie środek cyklu. Zanim nadchodzi spełnienie, rozlega się znajomy pomruk.

- Tom? - Całuję miękkie brzuch ukochanego mężczyzny.

W odpowiedzi słyszę tylko chrapanie. Zasnął.

Najważniejsze są pozory. Powoli uczę się przywdziewać na twarz odpowiednie maski. Zadowolona mężatka dla Toma. Pilna uczennica dla Enid. Zagubiona, niedojrzała nastolatka, uwięziona w ciele trzydziestokilkuletniej kobiety dla Chloe. No i żaloszny wrak człowieka, który wacha przechowywane w szafie niemowlęce śpioszki oraz szpieguje Annette, kiedy nikt nie patrzy. Tej osoby nie zna nikt. A już z pewnością nikt z obecnych na dobroczynnej wymianie ubrań.

Przez pierwszą godzinę pełnię dyżur przy drzwiach. Oznacza to tyle, że siedzę na srebrnym pufie u wrót salonu Pam i proszę miłe panie z bogatych dzielnic Londynu, aby rozstały się z gotówką - pięć funtów, przecież nie zbiednieją - wyjaśniając, że dochód z imprezy zostanie przeznaczony na pomoc potrzebującym dzieciom. Rozpoznaję parę andersonowskich żon, obecnych na bankiecie w Ivy, co za wstyd. Między innymi wątlą blondynkę z długim nosem, ubraną w beżowy kaszmirowy sweter i białe džinsy, swobodna elegancja w europejskim stylu. Na szczęście ona mnie nie rozpoznaje. Podobnie jak brunetka o ostrych rysach twarzy, z pięknie ułożonymi włosami, w prostej kremowej tunice i beżowych szpilkach. Szybko biorę od nich pieniądze i zapraszam do salonu. Od razu kierują się ku stercie ubrań ułożonej na środku pomieszczenia, wokół której krążą już zachłannie wcześniej przybyłe kobiety. Wątlą blondynka dokłada do sterty naręczę jedwabnych bluzek. Brunetka nie przyniosła niczego, sprzeniewierzając się zasadom. Nie mam zamiaru oceniać jej zbyt surowo, gdyż mocno bym się zdziwiła, gdyby ktokolwiek skusił się na moje szmatki, chyba że potrzebowałby ścierek do podłogi.

Tara i Pam pojawiają się u mego boku. Tara trzyma przed sobą dzinsową spódniczkę.

- Jak ci się podoba? Na mnie za duża. Seksowna, trochę w stylu dziewczyny kierowcy ciężarówki.

- Była moja - wyjaśnia z uśmiechem Pam. - Na pewno się w nią zmieścisz. - Nagle zaczyna się rozbierać na środku pokoju bez żadnego skrępowania. Zdejmuje bluzkę i ciężowe džinsy, ukazując pokaźny brzuszek bez jednego rozstępu. Nie wiem, gdzie podziać wzrok.

- Posiłki z Kensal Rise! - Ktoś klepie mnie w ramię. Odwracam się. Chloe.

- Twojego nazwiska nie ma na liście. Nie możesz wejść - żartuję.

Chloe całuje mnie w policzek.

- Zobacz, co przyniosłam.

- Dawaj pięć funtów.

Przewraca oczami i demonstracyjnie kładzie na szczycie stosu olbrzymią plastikową torbę, pełną ubrań. Wśród zebranych rozlegają się westchnienia zachwyty i podniecenia.

- Ooo. - Pam chwieje się, odziana już tylko w uroczy komplet bielizny. - Wiedziałam, że można na ciebie liczyć, Chloe!

- Idź na polowanie, Sadie - odzywa się cicho Ruth, która wygląda dziś na wyczerpaną. - Ja cię zastąpię przy drzwiach. Nie ma sprawy. Nie jestem w nastroju do przymierzania ubrań.

- Dzięki. Dobrze się czujesz?

- W porządku. Idź już, zanim wszystko przebiorą. - Ruth zagryza usta, nie wygląda najlepiej.

- Szykować łokcie! - woła Pam i ruszamy do boju.

Szybko orientuję się, które ubrania od razu mogę odłożyć na bok. Te należące do Tary pasowałyby na dziesięciolatkę. Te od Chloe będą za obcisłe. Te, które dołożyła Pam - za szerokie w biuście. Odsuwam się na bok, kiedy Tara wdaje się w przepychankę z panią w swetrze w cętki lamparta. Obie w tym samym czasie chwytają długi szary kardigan, prawdopodobnie przyniesiony przez Chloe. Każda ciągnie za swój rękaw, wreszcie Tara zwycięża. Wymiana zamienia się w pole bitwy. Pam otwiera butelkę wina. A potem następną. Kobiety zbierają się w małe grupki. Matki dzieci prowadzanych do naszego przedszkola siedzą przy stoliku i gawędzą na temat swoich pociech. Wątła blondynka i brunetka od Andersona stoją pod oknem, od czasu do czasu zerkają w moją stronę i szepczą coś do siebie. Pam, Tara, Chloe i ja dotrzymujemy towarzystwa Ruth siedzącej przy drzwiach.

- Dobra robota, dziewczyny. Za nas! Za biedną Ruth - wznosi toast Pam.

- Co się stało, Ruth? - pytam.

- Alex się wyprowadził do swojej matki.

- Wyprowadził? - powtarza z niedowierzaniem Chloe.

Ruth spuszcza powieki i kiwa głową.

- Od jakiegoś czasu się na to zanosilo.

- Strasznie mi przykro - mówię zszokowana.

- Nie mówcie nic waszym mężom, dobrze? - prosi Ruth z nagłym niepokojem. - Ani tym dwóm.

- Wskazuje brodą brunetkę i blondynkę z Anderson & Co. - Nie chcę, aby nowina rozniosła się po całej firmie. Jeszcze nie.

- Oczywiście. Będę milczeć jak grób - zapewniam, zastanawiając się, ile jeszcze małżeństw popada w ruinę za piękną fasadą, wzniesioną na użytek publiczny.

- Ale dlaczego? - Oczy Tary wypełniają się łzami. - Alex wydaje się bardzo miły.

- Jest bardzo miły - mówi cicho Ruth. - Po prostu nie jesteśmy zbyt mili dla siebie nawzajem.

Kiedy wrócił do pracy, zrobiło się strasznie trudno. Miałam nadzieję, że będzie inaczej, że poczuje się szczęśliwszy, mogąc znów pracować... - Głos jej się załamuje.

- Musi być wam bardzo ciężko, teraz, kiedy oboje pracujecie - mówi łagodnie Pam.

- Inni jakoś sobie radzą.

- Z trudem - informuję.

- Coś musiało się zmienić - kontynuuje Ruth. - Bez przerwy toczyliśmy awantury. To niezdrowa sytuacja dla bliźniaków.

- Och, Ruth - wzdycha Tara.

- Przepraszam, że psuję nastrój.

- Jesteśmy po twojej stronie - zapewnia Pam, przytulając Ruth do obfitej piersi. - Jesteśmy z tobą. Wypłacz się, Ruth. To ci dobrze zrobi.

Biedaczka pewnie przysłała na wyprzedzą, żeby odetchnąć od myślenia o problemach. Nie płacze, ale zauważam, że trzęsą jej się ręce.

- Możemy zmienić temat? - Wygląda na załamana, odwraca się plecami do sali, aby uniknąć ciekawskich spojrzeń. - Przepraszam was.

Przez chwilę stoimy w milczeniu, przyswajając wiadomość. Co sprawia, że jedne pary decydują się na rozwód, a inne walczą, aby pokonać kryzys? I czy walka zawsze jest lepsza? Nie da się przewidzieć, czy człowiek będzie szczęśliwszy, trwając w związku, czy też lepiej zminimalizować straty, rozstając się. Nie wszyscy są jak Enid i Albert. Albo moi rodzice.

- Taro, rozchmurz nas - odzywa się z przebiegłą miną Pam. - Tara ma nową radykalną terapię dla znudzonych żon.

Na twarz Tary wypływa rumieniec.

- Pam. To nie uchodzi.

- Boże, toż to brzmi jak prawdziwa bomba. - Ruth nagle się ożywia. - Zarumieniłaś się. Gadaj, ale już.

Wszystkie patrzymy na Tare, a ona parska nerwowym śmiechem.

- Mogę cię zastąpić? - Pam nachyla się ku nam i, nie czekając na odpowiedź Tary, oznajmia teatralnym szeptem. - Ona chodzi co tydzień na masaż do faceta, który gwarantuje „happy end”.

Nie mam pojęcia, o czym mowa. Chloe otwiera szeroko usta.

- Nie! - woła. - Daj mi jego numer!

- Masz na myśli... O. Mój. Boże. - Wreszcie zaczynam się domyślać. - Masaż z orgazmem? - Patrzę na nią innymi oczyma, dostrzegam błysk w oczach i róż na policzkach. - To legalne?

- Wątpię - mówi Ruth.

- Ciii! - krzyczy Tara, po czym zakrywa usta dłonią. Nie jest jednak w stanie powstrzymać uśmiechu. - Robię to dla dobra związku. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuję się zupełnie zrelaksowana i zadowolona. - Promienieje seksualnym zadowoleniem. Przyglądam się jej z dziwacznym, niechętnym podziwem. Nie pochwalam takich zachowań. Oczywiście, że nie! Jednak im dłużej jestem mężatką, tym trudniej mi osądzać kogokolwiek.

- To... trochę w stylu francuskim.

- Przecież mówimy jedynie o masażu - mówi Tara. - Nieco ulepszonym.

- Ucgh - prychna Pam. - Pomijając wszystko inne - na przykład drobne kwestie natury moralnej - bałabym się, że coś złapie.

- Wszelkie zasady higieny zostają zachowane - zapewnia Tara. - Przecież nie uprawiam seksu. Tylko leżę, a on mnie dotyka.

- A co tam! - woła ze śmiechem Chloe. - Czyż mężczyźni nie robią tego cały czas? Płacą kobietom za przyjemność i wracają do domu.

Wątła blondynka i brunetka o wyrazistych rysach suną w naszą stronę, zwabione śmiechem i nadzieją na ploteczki. Ruth i Chloe odciągają Tarę w cichy kącik w celu dalszego przesłuchania, mającego na celu wydobycie od niej wszystkich pikantnych szczegółów.

- Pamiętacie Sadie ze spotkania w Ivy? - pyta szczebiotliwie Pam.

Wielkie dzięki, koleżanko.

- Wiedziałam! - woła z przejęciem blondynka. - Wiedziałam, że skądś znam tę bluzkę. Pokaż ją, Joanna!

Brunetka rozkłada trzymaną pod pachą bawełnianą koszulkę z wielkim jęzorem, pokłada się przy tym ze śmiechu.

- Nie mogłam się oprzeć!

Zakrywam usta dłonią, przerażona widokiem kompromitującej sztuki odzieży w wypielęgnowanych dłoniach żony jednego z kolegów męża.

- Więc to ty jesteś żoną Toma Harrisona? Wiele o tobie słyszałam - mówi blondynka, uśmiechając się dyskretnie.

- Tak, to ja. Żona Toma. - Etykietka, którą rozumieją. Informacja, do kogo przynależysz.

- Jestem Linda. Żona Romana - przedstawia się. Niedobrze. Roman widział mnie w złotej sukience.

- Joanna, druga połówka Sebastiana. - To mówi brunetka.

Nic dziwnego, że obie wyglądają, jakby z całych sił powstrzymywały się od rechotu.

- Prawda, że Sadie wygląda zupełnie inaczej, kiedy się umaluje? - odzywa się słodko Pam. - No dobra, dziewczyny, zrobię jakąś herbatkę. - Zostawia mnie w towarzystwie dwóch obcych kobiet i feralnej bluzki.

Zapada krępująca cisza, uśmiechamy się do siebie, zastanawiając się gorączkowo, co powiedzieć.

- Tom jest chyba bardzo zajęty - mówi wreszcie Linda, przeczesując palcami jasne włosy i eksponując gustowne złote bransoletki. Cała jest irytująco gustowna.

- Potwornie. A wy często widujecie swoich mężów? - Żart nie zostaje doceniony.

- Firmie dobrze się powodzi ostatnio. - Linda przyjmuje postawę obronną. - Dlatego mają dużo pracy.

- Tak, firma fantastycznie sobie radzi na rynku - powtarza Joanna niczym dobrze zaprogramowany żonobot.

- Słyszałam, że Tom osiąga duże sukcesy - dodaje Linda. - Zwłaszcza jeśli chodzi o... jak się nazywa ta kobieta od szkoleń motywacyjnych, Joanno?

- Annette Eastern.

Zachłystuję się winem. Linda patrzy na mnie z uśmiechem.

- To dlatego Toma nigdy nie ma w domu, Sadie. Miej pretensje do apetycznej panny Eastern. - Przestaje się śmiać, przywołana do porządku mało subtelnym kuksańcem między żebra, wymierzonym jej przez Joannę.

Joanna chrząka zmieszana i spuszcza wzrok.

Nie wiem, co mogłabym na to odpowiedzieć, żeby się ostatecznie nie pogрузić, dlatego postanawiam się wycofać.

- Cieszę się, że was poznałam. Pójdę pomóc Pam w kuchni.

- Cholera, myślisz, że ona wie? - dobiega mnie jeszcze szept zaniepokojonej Joanny.

24

Niebo ma nedorzecznie pogodny niebieski kolor, jak farba plakatowa Danny'ego. Przypomina mi mroźne zimowe dni w Toronto, bezchmurny horyzont, oblodzone chodniki i powietrze tak lodowate, że oddychanie sprawia ból. Byłam wtedy w ciąży, pełna entuzjazmu i nadziei na przyszłość. Przemierzałam radośnie ulice miasta. Dziecko przypominało o sobie atakami porannych mdłości, miałam wiecznie zapchany nos i wrażenie, że moje piersi to dwa wielkie sińce. W ogóle się tym nie przejmowałam, tak bardzo się cieszyłam, że rośnie we mnie nowy człowiek, siostrzyczka lub braciszek Danny'ego, kolejny członek rodziny. Wzdycham i próbuję zapomnieć.

Drzwi otwiera mi Angie.

- Enid jest na zakupach, panno Sadie. Spóźnia się, zechce pani na nią zaczekać?

- To nic, Angie. Zabiorę się od razu do pracy.

- Prosiła, żeby pani zaczekała. - Wzrusza ramionami i uśmiecha się przeproszająco. - Wie pani, jaka ona jest.

- Tak. Wobec tego zaczekam w ogrodzie, jest piękna pogoda. - Siadam na kamiennym murku i wystawiam twarz do słońca, pozwalając, aby złagodziło skutki niespokojnej nocy, kiedy to budziłam się raz po raz, rozpamiętując rozmowę z Lindą i Joanną. Angie wraca do środka, zostawia otwarte drzwi. Po kilku minutach słyszę odgłos charakterystycznych kroków. Moje ciało reaguje gwałtownie i natychmiast.

- Wygrzewamy się w słońku? - zaczepia mnie z uśmiechem Eddie.

Mam wrażenie, że opalił się jeszcze mocniej, odkąd go widziałam ostatnio. Jego zęby wydają się bielsze niż zwykle. Piękny jest.

- Tak. I podziwiamy rezultaty twojej pracy. Angie mówi, że Enid jest na zakupach.

- Znowu? Już drugi raz w tym tygodniu. - Śmieje się. - A ja się martwiłem, że prowadzi zbyt pustelniczy tryb życia. Najwyraźniej mamy tu tylko jedną starszą panią i jestem nią ja. - Przykuca na kamieniu nieopodal mnie, przesiewa między palcami garść ziemi, jakby sprawdzał jej jakość.

- Słońce dodało jej wigoru - mówię, podziwiając silne męskie dłonie Eddiego. Myślę o masażystce Tary, na policzki wypełza mi rumieniec.

Eddie wyciąga nogi obute w ciężkie gumki. Tom już tak nie robi, stał się zbyt sztywny, co najwyżej przytupuje nerwowo. Eddie jest jak wielki kocur, wygrzewający się w słońcu, Tom przypomina zwiniętą sprężynę.

- Albo spotkania z tobą. Ma do ciebie słabość, Sadie.

- Ach, to dzięki kwiatom.

Eddie kręci głową z powątpiewaniem.

- Twoja poprzedniczka, Paula, też co tydzień przywoziła tulipany, a Enid traktowała ją jak wroga.

- Nie wierzę, że mogłaby kogokolwiek tak traktować.

- Ma zerową tolerancję dla głupoty. A jeśli do tego ma kłopoty osobiste, potrafi być niemila.

- Ojej. - Staram się dopasować te nowe informacje do Enid, jaką znam. - Mam nadzieję, że była miła dla Chloe. Przesłałam tutaj swoją koleżankę.

- Chloe! - rozpromienia się. - O tak. Rozbawiła nas oboje do łez.

- Cała Chloe - odpowiadam z lekkim ukłuciem zazdrości. - Mam nadzieję, że Enid jest zadowolona także z mojej pracy.

- Czyżbym słyszał nutkę niewiary w siebie? - Uśmiecha się szeroko. - Sadie, jesteś pierwszą osobą od roku, która odważyła się zaproponować cokolwiek innego niż przeklęte czarne tulipany Alberta. Opowiedziałem o tym mamie. A ona na to: „Muszę poznać tę dziewczynę!”.

Na moją twarz po raz kolejny wypływa rumieniec. Tym razem zadowolenia, uwielbiam, kiedy ktoś mnie nazywa dziewczyną. Zwłaszcza Eddie. Jego matka chce mnie poznać? W mojej głowie natychmiast pojawia się cała masa niestosownych myśli. Uśmiecham się do niego, spostrzegam, że ma najpiękniejsze rzęsy, jakie widziałam u mężczyzny: długie i gęste jak firanki. Odwzajemnia uśmiech. Przez chwilę przyglądam się z wielkim zainteresowaniem własnym paznokciom. Zapada krępujące milczenie.

- Bardzo kochała swojego Alberta, prawda?

- Chyba tak. - Eddie ziewa i przeciąga się.

- Jaki on był?

Śmieje się, jakbym powiedziała coś zabawnego.

- Właściwie nie potrafię odpowiedzieć. Przyzwoity facet, raczej. Złożona osobowość. Przywiązywał dużą wagę do stroju i luksusów. Pozwalał Enid rządzić w domu. Z ciocią Enid mam tak ścisły kontakt dopiero od roku. Wcześniej mieszkalem w Edynburgu ze swoją byłą dziewczyną, Emily.

- Enid nie pomogła ci rozwiązać problemów w związku...

- Nie - odpowiada ze smutkiem. - Nie pomogła. Nikt nie byłby w stanie.

- Czemu? - pytam brutalnie, gdyż nie wiem, jak inaczej mogłabym spytać, a naprawdę chcę poznać odpowiedź.

Przygląda mi się długo i uważnie.

- Za bardzo się różniliśmy. Brzmi jak banał, ale to prawda. Ona chciała ode mnie czegoś, czego ja nie byłem w stanie jej dać. - Pociera podbródek. - Mnie zależy na prostych rzeczach w życiu, Sadie. Nie jestem materialistą, tak mi się przynajmniej wydaje. Nade wszystko cenię sobie ciszę i spokój.

Moje serce zaczyna szybciej bić. Proste życie. Nie materialista. Zupełnie jak ja! Przesuwam stopą żwirowe kamyczki, chciałabym serdecznie uściskać Eddiego i zapewnić, że wszystko się ułoży, spotka kobietę, która na niego zasługuje.

- Emily zależało na pieniądzach. Na szczęście nie mamy dzieci, ale sama myśl, że te hipoteczne maluchy miałyby zostać posłane do zwykłej publicznej szkoły, przepełniała ją zgrozą. Szkoła powinna być prywatna, wakacje na Barbadosie, ferie w Alpach... - Śmieje się z goryczą. - Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle się ze mną związała.

- Hm. - Przyglądam mu się zafascynowana żywymi emocjami, jakie budzi w nim wspomnienie byłej dziewczyny. Na twarzy Eddiego maluje się gniew, ból i zagubienie. Ta Emily głupia była, wypuściła z rąk dobrego faceta. Ze wspaniałymi bicepsami, którymi potrafi zrobić wszystko. W ogrodzie. - To chyba działa w obie strony. Wszyscy błakamy się po omacku, próbując utrzymać związki i ulepszyć partnerów.

- Tak sądzisz? - Patrzy na mnie przenikliwie. - A wiesz, co ja myślę? Każdy w głębi serca wie, co jest dobre. Wiemy, kiedy się oszukujemy. Ja oszukiwałem sam siebie latami. Chociaż wiedziałem. Wydaje mi się, że z nią było podobnie.

Czyżby sugerował, że ja także udaję sama przed sobą? Czy małżeńska rutyna z czasem zamienia się w fasadę, za którą piętrzą się kłamstwa? Oboje z Tomem czekamy na poprawę. A jeśli się nie doczekamy? Może tak właśnie ma wyglądać nasze małżeństwo. Rutyna. Boże.

- Słyszałem, że Enid bardzo się zaangażowała w twoje małżeńskie sprawy? - Eddie wykrzywia twarz w ironicznym grymasie.

- A, tak. - Z wielkim zaangażowaniem dłubię butem w piachu. Ile on wie?

Eddie kładzie mi dłoń na nodze. Ten niespodziewany intensywny kontakt fizyczny jest dla mnie wstrząsającym przeżyciem.

- Mogłabyś nie demolować podjazdu, słonko?

- Przepraszam. - Prędko cofam nogę, nadal jest gorąca w miejscu, gdzie mnie dotknął.

Opiera się na łokciach, wystawiając twarz ku słońcu. Ma na podbródku smugę zaschniętego błota. To może być jedna z najbardziej seksownych rzeczy, jakie widziałam.

- Na twoim miejscu nie traktowałbym zbyt serio jej rad. Cioteczka E bywa małą intrygantką.

- Oczywiście! - śpieszę z zapewnieniem. - Traktuję naszą umowę z przymrużeniem oka. Poskarżyłam się, że jestem chyba najgorszą żoną na świecie, co niezwykle rozbawiło Enid. Postanowiła mi pomóc stać się najlepszą z żon. Niektóre z jej wskazówek ignoruję, a inne przekreślam i robi się okropne zamieszanie.

- Biedny człowiek z tego twojego męża. - Eddie kręci głową ze śmiechem.

- To, o czym nie wie, nie może go zranić. - Wypowiedziane słowa wydają się nagle pełne podtekstów. Eddie przygląda mi się dziwnie.

- Wiesz, co mam na myśli - dodaję chaotycznie. - To nieszkodliwe. Uważam, że czasem dobrze jest zasięgnąć rady starszej kobiety. - Przerzywam. - Moja mama zmarła w zeszłym roku, brakuje mi jej rad. - Zaczynam się plątać. Nadal czuję mrowienie w miejscu, gdzie mnie dotknął.

- Cóż, małżeństwo bywa wyzwaniem. - Wzrusza ramionami. - Osobiście nie widzę w nim sensu.

- Jeśli są dzieci...

- Człowiek dłużej tkwi w beznadziejnym związku?

- Cynizm przez ciebie przemawia, Eddie. - W skrytości ducha przyznaję mu rację.

- Nie chcę cię nim zatruwać. Nie zwracaj uwagi na to, co mówię. Sparzyłem się i tyle. Ty się nie martw, na pewno jesteś doskonałą żoną, a twój mąż szczęściarzem.

Pałają mnie policzki, nie mam odwagi na niego spojrzeć. Siedzimy w miłej ciszy, delektując się pięknym dnem i ogrodem, dopóki nie wraca Enid. Wygląda zjawiskowo w turkusowej spódnicy i żakiecie, z ustami pomalowanymi na czerwono, słomkowy kapelusz z szerokim rondem nadaje jej czar dawnej gwiazdy Hollywood. Uśmiecha się z zadowoleniem, widząc nas razem.

- Przepraszam za spóźnienie. Znalazłam cudowne delikatesy. Miałam nadzieję, że Eddie cię znajdzie, Sadie, i razem miło spędzicie czas.

Zerkam na Eddiego, on patrzy na mnie. Nagle dopada mnie poczucie winy, wstaję i otrzepuję niewidzialny pył ze spodni.

- Czas na kwiaty!

Enid siedzi przy stole w bardzo dystyngowanej pozie, ze złożonymi na kolanach rękoma i głową przechyloną na bok, przygląda mi się bacznie, kiedy kładę na stole pnącza pachnącego groszku. W obawie przed wystraszeniem jej zbyt dużą ekstrawagancją nie dodaję za wiele ozdób, tylko kilka pędów bluszczu z listkami w kształcie serc. W połączeniu z prostotą ceramicznych wazonów ze Sri Lanki

bukiety wyglądają pięknie i naturalnie. Takie kwiaty byłyby odpowiednie na przyjęcie weselne w plenerze. Nawet ja wzdycham z zachwytu nad własnym dziełem. Enid w milczeniu wydyma usta.

- Podoba ci się? - pytam cicho.

- Czy mi się podoba? - Wznosi oczy do sufitu, kręci głową. - Kochanie, mój Albert przewraca się w grobie. To nie są tulipany. Te kwiaty są białe, Sadie.

Nic nie rozumiem. Tak, są białe. I co z tego?

- Biel jest zarezerwowana na chrzty i śluby. Początek drogi.

Rzeczywiście. Po raz kolejny popełniłam gafę.

- Przepraszam, myślałam...

- Mimo to, moja droga, jestem zachwycona! - Uśmiecha się przebiegle jak małe dziecko. - Nic na to nie poradzę. To wbrew mojej woli. Kawalek wiejskiej sielanki w zakurzonym londyńskim domostwie. - Delikatnie muska jeden z kwiatów pomarszczoną dłonią. - Wiejska sielanka, niczym łąki hrabstwa Dorset.

- Dobrze znasz Dorset? Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

- Wychowałam się w Arnham Hall, nieopodal Lyme Regis. Przepiękne ogrody. - Wzdycha. - Zdaje się, że rezydencję przerobiono później na hotel. Ojciec musiał ją sprzedać. Strasznie drogo kosztuje utrzymanie takiego domu.

Ach, starsza pani pochodzi z arystokratycznej rodziny.

- Zatem muszę się zadowolić tą chatką. - Uśmiecha się.

Gdyby sprzedała „chatkę”, mogłaby wykupić połowę hrabstwa Dorset.

- Albert nie znosił wsi.

- Naprawdę?

W wzroku Enid maluje się czułość i smutek. Kwiaty pozwoliły jej przenieść się myślami kilkadziesiąt lat wstecz, do świata, którego ja nigdy nie poznam. Czuję się uprzywilejowana, że poznałam Enid. Przecież mogłabym ją tylko spotkać przelotnie na ulicy, cmoknąć z irytacją, że wolno idzie i nie mogę jej ominąć w tłumie. Albo pomóc wsiąść do autobusu, niechętnie dotykając pergaminowej pomarszczonej skóry. Nie domyśliłabym się, że wśród kruchych kości, odzianych w kaszmir, tkwi dusza młodej dziewczyny, która przed laty wdychała woń pachnącego groszku w Dorset i zakochała się po uszy w chłopaku imieniem Albert. Tak jakby starość odbierała ludziom ich osobowość. Niemal się cieszę, że mama nie musiała stawić jej czoła. Znajdowała sens w codziennych obowiązkach i drobnych przyjemnościach, lubiła gotować, chodzić na spacer, na wino i orzeszki do pobliskiego pubu. Dobrze, że nie musiała cierpieć, wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Miała zaledwie sześćdziesiąt dwa lata.

- Albert kochał miasto: przyjęcia, ludzi, zabawę. - Enid wybucha starczym śmiechem. - Oj, umiał on się bawić jak nikt! - Chwyta mnie za rękę, z przerażeniem spostrzegam łzy w jej oczach.

Mówi z przejęciem: - Tęsknię za ludźmi, Sadie. Starość jest... nudna. Nudna, nudna, nudna. Brakuje mi przyjaciółek: Iris, Maud i Ruby. Straszliwie mi ich brak.

- Och, Enid. Bardzo, bardzo ci współczuję - mówię, czując, jak w jednej chwili zmienia się dynamika naszej relacji. Przyznaję ze wstydem, że mimo woli wycofuję się pod wpływem jej nagłej słabości i emocjonalnego głodu.

- Głupia jestem! - rzuca, wyjmując z wazonu pęd pachnącego groszku. - I tyle. Do rzeczy, moja droga - mówi o wiele pogodniej. - Cieszę się, że znów widzę na twoich ustach szminkę.

Wydymam czereśniowe wargi.

- A zauważyłaś, że ja także się umalowałam?

- Bardzo ładnie wyglądasz.

- Czy udało ci się zachować... - wodzi palcem w powietrzu przy swojej twarzy, rysując uśmiech klauna - ...pogodny wyraz twarzy?

- Robię, co mogę - odpowiadam ze śmiechem. - Należy mi się Oscar.

- Wspaniale. Chwileczkę, Angie! - woła, nie spuszczać ze mnie oczu. - Muzyka! Może Ella Fitzgerald. I dwie lemoniady, poprosimy. A co z tą drugą kobietą? - pyta mnie.

Druga kobieta. Głośno przetykam ślinę. W jej ustach brzmi to jak niepodważalny fakt. Ostateczność jakaś. Opowiadam o wizycie w mieszkaniu Annette i zdjęciu w jej kuchni. Angie przynosi zimną lemoniadę. W szklankach podzwaniają kostki lodu.

- Doskonała robota zwiadowcza, muszę przyznać. No, no. Bardzo ciekawe. - Podnosi szklankę i milknie na kilka chwil, pogrążona w zadumie. - Monogamia nie leży w męskiej naturze. Zarówno ja, jak i moje dziewczyny zawsze byliśmy tego świadome. - Zmarszczki na jej twarzy pogłębiają się pod wpływem uśmiechu. - Zaakceptowałyśmy rzeczywistość. Zależało nam jedynie, by nasi mężowie byli dyskretni.

- Naprawdę wam to nie przeszkadzało?

- Pogodziłyśmy się z faktami. Coś za coś. Współczesne kobiety oczekują rzeczy niemożliwych. Monogamia jest dla łabędzi, a nie dla istot ludzkich, moja kochana. Dokładnie tak powiedziałam Chloe. Wczoraj po południu, gdy przyszła mnie odmłodzić swoją magią. - Enid stuka szklanką w moją szklankę. - Niezależnie od tego, czy twój mąż zabawia się na boku, czy też nie - Chloe mówi, że jej mąż ją zdradzał, bydlak - zwłaszcza jeżeli ma inną, musisz się bardziej postarać, Sadie. Nie okazuj słabości w starciu z wrogiem.

- Postarać? Jeżeli sypia z tą kobietą, urwę mu jaja! Zamorduję!

- Nie wpadaj w histerię. Poproszę notes. - Przygotowuje długopis. - Kochanka oznacza wojnę. Po pierwsze: poznaj przeciwnika. Po drugie: przygotuj broń. Ciebie pierwszą mąż widzi rano, po przebudzeniu. Bądź piękna i uśmiechnięta. Wysł się trochę... - Mruga. - Wiesz, co mam na myśli.

Śmieję się gromko, rozbawiona niedorzecznością jej słów. Nie jestem aż tak zdesperowana, żeby próbować zatrzymać niewiernego męża pornograficznymi sztuczkami! Trwaj przy boku męża, co za bzdura. Jakbym była jakąś niepełnosprawną umysłowo kurą domową. Mowy nie ma.

Enid przywołuje mnie do porządku surowym spojrzeniem.

- Niech to będzie najlepszy seks w jego życiu. Pamiętaj o stawce. - Kładzie mi na ramieniu lekką jak piórko dłoń. - I nie martw się - mężczyźni rzadko odchodzą od żon, jeśli tego się obawiasz. Ryzyko jest bardzo niewielkie. Oni są domatorami, chłopcami, którzy nie chcą porzucać tego, co znane. Jeżeli ta kobieta rzeczywiście sypia z twoim mężem - a jeszcze nie mamy pewności - on szybko straci nią zainteresowanie, kiedy mu przypomnisz, że wszystko, czego potrzebuje, ma w domu. Za czasów mojej młodości - dodaje - nie tylko mężczyźni miewali romanse. My, dziewczyny, także czasem uszczknęłyśmy na boku kawałek ciastka. Miałyśmy swoje tajemne sposoby na poprawienie humoru w trudnych chwilach. - Obie wyglądamy przez okno na ogród, po którym krząta się Eddie.

25

Tom pochrapuje u mego boku, wygląda tak niewinnie, kiedy śpi. Ma podkrążone ze zmęczenia oczy. Lepsza żona martwiłaby się o niego. Ja tymczasem zastanawiam się, czy ktoś jeszcze ogląda go śpiącego i czy te sińce nie są przypadkiem skutkiem prowadzenia podwójnego życia. Rozważania przerywa mi wyjątkowo głośne chrapnięcie, dobiegające z gościnnej sypialni. Rona. Podchodzę do toaletki, by przejrzeć się w lustrze. Mam twarz poprzecinaną odcisniętymi szramami od pofałdowanej pościeli. „To wojna!” - dźwięczy mi w uszach echo słów Enid. Zabawne, że jeszcze kilka tygodni wcześniej mało mnie obchodziło, co Tom zobaczy po przebudzeniu. Postanowiłam jednak schować dumę do kieszeni i zastosować się do rad starej kobiety. Dlaczego? Ponieważ nie mam powodów, żeby otwarcie oskarżyć go o zdradę, nie mam również zbyt wiele do stracenia.

Upewniam się, że Tom nadal śpi, zanim sięgnę po swoją amunicję: podkład, róż i czereśniową pomadkę. Nabrałam już wprawy w ich nakładaniu, dlatego zrobienie makijażu zajmuje mi zaledwie kilka minut. Zdejmuję starą flanelową piżamę i wsuwam się pod kołdrę ubrana jedynie w zapach Chanel N° 5.

Nadchodzę. Wsuwam głowę pod kołdrę. Tom mruczy z zadowoleniem i chwyta mnie za włosy.

- Kochanie - mówi.

Boli mnie szczeka, ale sprawianie mu przyjemności sprawia mi przyjemność. Od miesiąca miodowego nie przyłożyłam się tak do seksu oralnego.

Na koniec trochę się krztuszę, maskuję to zalotnym spuszczeniem powiek i wypięciem pupy. Tom uśmiecha się do mnie, po czym, jak zwykle, posyła jeszcze szerszy, pełen czułości uśmiech w stronę krzywej wieży. Nagle uśmiech gaśnie, a jego miejsce zajmuje grymas przerażenia.

- Co to...?

O, Boże. Mój mąż został właśnie zaatakowany przez piranię. Dopiero po chwili dociera do mnie, co naprawdę widzę.

- Przepraszam, kochanie... - mówię, usiłując zetrzeć szminkę, ale tylko ją rozmazuję.

- Auć!

- To nic. To tylko... Krzywa wieża się kurczy.

- ...szminka. - Nie chce zejść, choć trę i trę. Czy hollywoodzkie boginie miewają takie problemy? Podskakuję na odgłos pukania do drzwi naszej sypialni.

- Mam pytanie - rozlega się głos Rony. - Danny twierdzi, że wolno mu jeść ciastka czekoladowe na śniadanie. To prawda? W tym domu nigdy nic nie wiadomo. Mogę wejść?

- Nie! - krzyczymy zgodnym chórem.

Tom biegnie pod prysznic, ja zarzucam na siebie ubranie i schodzę na dół, by ratować Danny'ego przed teściową.

Rona siedzi sztywno na kuchennym krześle. Ma włosy ściągnięte do tyłu opaską i twarz wymazaną jakąś białą mazią. Teddy siedzi obrażony w kącie. Danny nie chce usiąść na kolanach babci, której nie wolno mu nazywać babcią. Pyta, czemu ma taką dziwną buzię. Ona wyjaśnia, że to „bardzo droga maseczka kosmetyczna od doktora Prenwooda”.

- Wygląda jak ptasia kupa - zauważa rezolutnie mój synek.

- Mój drogi Danny - mówi Rona, z trudem poruszając ustami. - Kiedyś się ożenisz i zrozumiesz, jakie to ważne, aby kobieta o siebie dbała.

- Ożenię się z mamusią - pada odpowiedź Danny'ego, który zjada paluszkami dżem z grzanki.

Rona z wściekłością odstawia dzbanek. Wkraczam do kuchni, wzbudzając protesty Teddy'ego.

- Leżeć, Teddy! Dzień dobry, Sadie. Widzę, że wzięłaś sobie do serca moje rady. Wyglądasz lepiej, a i w domu panuje względny porządek. Brawo, kochana.

- Twoje rady? - Co ona sobie wyobraża?

- Zauważyłam szminkę, bardzo ci w niej do twarzy. Chociaż różowa chyba bardziej pasuje do dojrzałej cery. Kawy?

Tom wchodzi, wycierając włosy ręcznikiem. Uśmiecha się do mnie i siada z impetem na krześle, wyciągając przed siebie długie nogi. Teddy wacha jego krocze.

- Leżeć, Teddy! - Rona uderza psa po nosie, a zaraz potem karmi go grzanką. Patrzy z uwielbieniem na Toma. - Wyglądasz na przemęczonego, synku. Ciężko pracujesz - wzdycha z aprobatą. - Zapewniam cię, że nie pożałujesz. Sukces wymaga poświęceń. Ted ciągle to powtarzał.

- Zjesz grzankę, kochanie? - Nie czekam na odpowiedź. Smaruję masłem dwie kromki pełnoziarnistego chleba. Jak dobra żona. Zdaje się, że robię to po raz pierwszy, odkąd zostaliśmy małżeństwem. W końcu to dorosły mężczyzna, nie muszę się nim zajmować jak dzieckiem (zazwyczaj).

Rona przygląda się podejrzliwie moim wysiłkom, jakby podejrzewała, że popełniłam przestępstwo, które próbuję ukryć.

- Za dużo masła, Sadie - strofuje mnie. - Próbujesz go zabić?

- Prędzej padnie z przepracowania. Dżemu, skarbie?

- Nie padnie, jeśli żona będzie go wspierać - pada cięta odpowiedź. Aż się trzęsie z irytacji, prawdopodobnie woli, kiedy się nie sprawdzam jako żona. To jej pozwala świecić przykładem. - Tatuś zawsze zjadał coś smażonego w poniedziałkowy ranek, Tom. Dawało mu to energię do ciężkiej pracy.

- Cud, że jeszcze żyje. - Nie mogę przepuścić takiej okazji, żeby jej dogryźć.

Tom wznosi oczy do nieba.

- Hola, drogie panie...

- Podobno żonaci mężczyźni rzadziej umierają na zawał. Ale to pewnie zależy od jakości związku - mówi Rona.

Wymierzam Tomowi kopniaka pod stołem, Teddy warczy ostrzegawczo.

- Nie kop tatusia! - krzyczy Danny.

- Nie kopię, synku.

Rona uśmiecha się z wyższością, dając do zrozumienia, iż wie, że kłamię.

- Jakie plany na dziś? - pyta piskliwie, niemal zacierając ręce z uciechy. - Spotkania? Fuzje?

Projekty?

Tom szybko przełyka haust kawy, Danny wdrapuje mu się na kolana.

- Późne śniadanie w Wolseley. Dlatego nie rób mi więcej grzanek, Sadie. Nie powinienem jeść dwóch śniadań. Już mi brzuch rośnie. A potem spotkanie za spotkaniem.

- To śniadanie to z kimś ważnym? - dopytuje się Rona. Tom kaszle i zerka na mnie z zakłopotaniem.

- Z klientką. Annette Eastern.

Robi mi się duszno, kuchnia zaczyna wirować, serce podchodzi mi do gardła.

- Annette Eastern, Annette... - powtarza Rona. - Znajome nazwisko.

- Napisała parę dość poczytnych książek. - Tom usiłuje zakończyć rozmowę.

Rona gromko uderza w^t stół, Teddy warczy.

- Już wiem! „Oczyść swoje serce na wiosnę"! Zgadza się?

- Tak. Jakie masz plany na dziś, Sadie? - pośpiesznie zmienia temat Tom.

Rona nie daje mi szansy na odpowiedź.

- Zabawne. Widziałam ją w telewizji kilka dni temu. Przepiękna blondynka. Trochę podobna do twojej dawnej dziewczyny, Lucindy Lawn. - Tom nerwowo stuka nogą o podłogę, patrzy na matkę mało przyjaznym wzrokiem. - Cudowna figura, bardzo fotogeniczna osoba. Więcej niż tylko ładna bu-

zia. Bardzo ciekawie opowiadała o tym, jak pomaga ludziom kończyć toksyczne związki. - Zerka na mnie wymownie.

26

Wynurzam się na powierzchnię ze stacji metra Green Park. Idąc przez Piccadilly, oglądam się nerwowo, czy nie widzi mnie nikt znajomy. Staję przed wejściem do restauracji Wolseley. Szkoda, że to nie zima, mogłabym się schować za szalikiem, a tak pozostaje mi tylko czapka z daszkiem i ciemne okulary. Przekraczam próg najelegantszego bistro w Londynie, wyglądając jak amerykańska turystka ze środkowego zachodu.

- Ma pani rezerwację? - pyta piękna dziewczyna, stojąca za kontuarem, ubrana w czerń.

- Ja tylko... sprawdzam, czy jest tu pewna znajoma osoba - odzywam się swoim najbardziej nadętym tonem, kontrastującym ze strojem amerykańskiej turystki. Omiatam salę spojrzeniem, w razie przyłapania mam zamiar uciec albo schować się za kartą dań. Przy stolikach siedzi mnóstwo wystrojonych pań, pochłoniętych rozmową. Wielu mężczyzn przypomina mi Toma, a blondynek podobnych do Psychoviagry widzę dziesiątki. W lewym rogu pomieszczenia dostrzegam wreszcie znajomy łuk pleców. Tak, to są plecy, które poślubiłam: w kształcie litery V, muskularne, pod garniturem na prawym ramieniu kryje się charakterystyczne znamię. Naprzeciwko siedzi moja Nemezis.

Ma najjaśniejsze włosy spośród wszystkich obecnych kobiet, jaśniejsze niż na zdjęciach: w kolorze skondensowanego mleka. Zalotnie bawi się kosmykami i śmieje się z jakiegoś żartu Toma. Ekspertka od mowy ciała wysyła jasne sygnały. Bardzo jednoznaczne. Ogarnia mnie czerwona fala wściekłości. Psychoviagra podrywa mi męża! Jestem bliska wywołania sceny zazdrości, bezsilność doprowadza mnie do szaleństwa.

- Sadie! - słyszę czyjeś wołanie. Kamienieję.

- Hej, za tobą.

Ten głos... To niemożliwe. Odwracam się wolno. A jednak.

Mój ojciec. Siedzi przy stoliku parę metrów ode mnie, ubrany w jasnoróżową koszulkę polo. Jest też Loretta.

- Tato! Co tu robisz, do licha? - syczę, naciągając czapkę na oczy.

- Mogłabyś być miłsza! A ty co tu robisz? - Ojciec przysuwa krzesło od sąsiedniego stolika pod obstrzałem oburzonych spojrzeń. - Po co ci ta czapka? Klapnij sobie, dziecko.

Sprawdzam z obawą, co robią Tom i Annette, po czym pośpiesznie opadam na krzesło. Ojciec klepie się po brzuchu.

- Pyszne śniadanko, co, Loretko? Przewodnik kulinarny nie kłamał.

- Bardzo smaczne - przyznaje radośnie jego towarzyszką, odklejając kawałek czekolady od wysminkowanych ust. Bluzka w landrynkowo-różowym kolorze współgra z odcieniem pomadki oraz butów na obcasach. - Często się, Sadie. My się już najedliśmy.

- Dziękuję, jestem po śniadaniu. Co robisz w Londynie, tato?

- Widzę, że sprawiłem ci wiele radości.

- Przepraszam. Jestem po prostu zaskoczona. Nie spodziewałam się ciebie spotkać akurat tutaj. W ogóle nie miałam pojęcia, że jesteś w mieście. - Nie mówię tego, ale przykro mi, że mnie nie uprzedził i najwyraźniej nie miał zamiaru odwiedzić. Kiedyś przyjeżdżał do Londynu specjalnie po to, żeby spotkać się ze mną i z Dannym.

- Przyjechaliśmy obejrzeć „Grease”. Ten musical. Oglądałaś?

Kręcąc przecząco głową. Nie cierpię musicali. Całe to skakanie i fałszywa radość.

- Nie mogę się już doczekać - wzdycha Loretta. - Powspominamy nasze początki, prawda, John? - mówi ckliwie, jakby byli ze sobą co najmniej dwadzieścia lat. - Zjedz rogalika z czekoladą, Sadie. Są pyszne.

- Nie, dziękuję. - Annette właśnie wybucha przesadnie perlistym śmiechem i odrzuca głowę do tyłu. Żarty Toma nie są aż tak śmieszne! Uśmiecha się do niej seksownie. Przeklęty Tom. Najlepsza klientka. Z całą pewnością.

- Wszystko w porządku, duszko? - pyta tata. - Wydajesz się zmartwiona.

- W porządku, w porządku. - Skrywam twarz pod daszkiem czapki. Tom i Annette są całkowicie zaabsorbowani sobą nawzajem.

- Świetna czapka - zachwyca się Loretta. - Wyglądasz, jakbyś przyleciała z Los Angeles.

- Muszę już iść. - Zanim zostanę zdemaskowana. - Danny ucieszy się z twoich odwiedzin, tato - celowo zwracam się tylko do niego, choć wiem, że Loretta także przyjdzie. Nie mam zamiaru być dla niej miłą. Chciałabym, żeby zrozumiała aluzję i wycofała się z moich relacji z tatą. Tymczasem ona towarzyszy mu wszędzie jak cień.

Ojciec zerka na zegarek.

- Bardzo bym chciał się z nim zobaczyć, ale...

- Koniecznie musimy odwiedzić naszego małego Danny'ego! - przerywa mu Loretta.

Naszego?

- Ale przygotowałem małą niespodziankę dla nas Loretko - mruga. - Odwróć się, skarbeńku.

Skarbeńku?

Ojciec nachyla się i szepcze mi do ucha:

- Zaplanowałem na potem rejs po Tamizie i kolację w Soho. W małej włoskiej pizzerii na Regent Street. Bardzo trendy.

Niedobrze: Annette wstaje. Ależ ona wysoka. Toż to przeklęta amazonka z nogami do szyi. Jak Gisele. Schyla się po torebkę w lamparcie cętki. Tom przytrzymuje dla niej świetnie skrojony biały płaszcz, który wisiał na oparciu krzesła. Co będzie, jeśli zauważy mnie albo tatę?

- Chyba jednak zdecyduję się coś zamówić - oświadczam, chwytając kartę dań z sąsiedniego stolika, której zamierzam użyć jako tarczy. Chciałabym zakryć nią także tatę i Loretę. Mogę się tylko modlić, żeby przez chwilę siedzieli cicho. Siedzę bez ruchu, czekając na najgorsze.

- Życzy sobie pani złożyć zamówienie? - pyta ładna ciemnowłosa kelnerka, zmuszając mnie do pokazania twarzy. Rozglądam się nerwowo. Poszli sobie. Oddycham z ulgą, zdejmuję czapkę i przeczesuję włosy palcami.

- Poproszę cappuccino.

Ojciec opiera się o krzesło i patrzy na mnie uważnie.

- Tom powiedział ci o dacie naszego przyjęcia zaręczynowego?

- Tak.

Loretta kaszle i przekłada serwetkę.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Wiem, że koliduje z waszą rocznicą ślubu.

- Oczywiście, że się nie gniewa! - woła radośnie tata. - Będziemy wspólnie świętować.

Przez kilka minut gawędzimy na temat Danny'ego, szybko wypijam kawę, niemal parząc sobie język.

- Cieszę się, że was spotkałam, ale muszę już lecieć - mówię, zarzucając torebkę na ramię.

- Dobrze - odpowiada promiennie ojciec.

Jestem zdziwiona, że nie próbuje mnie zatrzymać. Stał się strasznie niezależny. Nie potrzebuje już mamy. Ani mnie.

- Nie odpowiedziałaś, co cię tu sprowadziło.

- Och, nic takiego. Miałam się z kimś spotkać, ale wystawiono mnie do wiatru. Do zobaczenia, bawcie się dobrze.

- Na pewno będziemy - zapewnia Loretta, dotykając otwartą dłonią natapirowanej fryzury. - Odwiedź nas niedługo w Milton Keynes, dobrze?

Kiwam głową z nadzieją, że moja noga nigdy tam nie postanie. Całuję tatę w szorstki znajomy policzek. Następuje chwila niezręcznej niepewności, kiedy schylam się, żeby pocałować także Loretę. Obie wolałybyśmy uniknąć tej nieprzyjemności, ale poświęcamy się ze względu na tatę. Policzek Loretty pachnie kosmetykami i jest lepki.

Ojciec kręci głową.

- Strasznie dziwne, że spotkaliśmy się przypadkiem w takim wielkim mieście. To pewnie jeden z tych dni, kiedy wszystko się może zdarzyć, co Loretko?

- No, ja myślę! Nie uwierzysz, Sadie. Niedawno widzieliśmy tu sobowtóra Toma.

- Zabawne. - Uśmiecham się z przymusem.

- Podobno każdy ma swojego sobowtóra - dodaje ojciec.

- Nie martw się! - mówi Loretta, kładąc swoją dłoń z pomalowanymi na różowo paznokciami na mojej. - To nie był on. Ten mężczyzna obejmował jakąś blondynkę z żurnala! - Zwraca się do taty: - Nie spotkasz takiej w Milton Keynes. Prawda, że miała zabójczą torebkę, John? Olbrzymią, w lamparce cętki. Nigdy nie widziałam podobnej!

Powiedziałam twojemu ojcu: „Jeżeli zastanawiasz się nad prezentem gwiazdkowym...”.

- Czy ja wyglądam na faceta, który zwraca uwagę na damskie torebki? - śmieje się mój ojciec.

- Pracuję nad nim, Sadie - mruga do mnie Loretta.

Zmuszam się do uśmiechu, sala restauracyjna wiruje mi przed oczami. Obejmował blondynkę...? Tak, to wojna.

27

Pam podaje mi plastikowy pojemnik z cudownymi małymi zapiekankami domowej roboty.

- Czy Tomowi smakował pudding?

Częstuję się zapiekanką, odganiem natrętną osę i wyciągam nogi na kocu piknikowym.

- Był zachwycony.

- To nie był najłatwiejszy przepis. Jestem z ciebie dumna.

- Zmieniłam się, Pam. A wiesz, co jest najdziwniejsze? Przygotowanie tego puddingu sprawiło mi przyjemność. Niewiarygodne. Aj, przeklęta osa. Wynoś się do piekła dla bzykaczy, oso!

- Szkoda, że nie ma przepisu na udane małżeństwo - wzdycha Pam.

- Ty chyba masz wszystko pod kontrolą.

Urządzyliśmy sobie piknik w Queen's Park, pod pretekstem omówienia pomysłu zorganizowania maratonu dobroczynnego. Pam twierdzi, że będzie mogła biegać już kilka dni po porodzie. Tak naprawdę skusiła nas piękna pogoda i piątkowe popołudnie, nasza energiczna koleżanka z właściwą sobie werwą przygotowała wszystko w ostatniej chwili. Przyniosła olbrzymi nieprzemakalny kraciasty koc, plastikową zastawę w pięknych zielonoróżowych barwach, górę jedzenia i szybko znikające białe wino. Ruth ma dziś wolne popołudnie, więc siedzi z nami, jedząc koktajlową kielbasę i przerzucając nerwowo strony czasopisma z artykułem na temat rozwodów. Alex nadal jest u swojej matki, a bliźniaki biegają wokół, wrzeszcząc przeraźliwie. Ruth wznosi oczy ku niebu i wstaje.

- Przepraszam was, drogie koleżanki. Kompromitująca progenitura wymaga interwencji.

Tara przygląda się obojętnie, jak Ruth rozdziela walczące dzieci. Po chwili traci zainteresowanie, zdejmuje bluzkę i kładzie się na trawie w samym biustonoszu. Jej piersi nie opadają na boki, ale podejrzanie sterczą. Czyżby miała implanty?

- Wspaniała zapiekanka, Pam - chwałę. Prawdziwa symfonia smaków: sera, szynki, cebuli i ciasta. Aż do dzisiaj nie przepadałam za tego typu wypiekami.

- Nie mam zbyt wygórowanych oczekiwań - mówi, wzruszając ramionami.

- Zabrałabym się do gotowania z podobnym nastawieniem. Tylko rezultat byłby inny.

- Nie mówię o zapiekance, głuptasie. O małżeństwie.

- Aha. No, ja także obniżyłam znacznie poprzeczkę.

- Bzdura - odpowiada bez uśmiechu. - Chcesz kariery, własnego życia, męża takiego jak Tom. Wszystkiego. Ja nigdy nie miałam takich oczekiwań. - Patrzy w dal. - Zdawałam sobie sprawę, że coś będę musiała poświęcić. - W jej głosie słychać bezradność i smutek, to do niej niepodobne. Zaczynam podejrzewać, że zaczerwienione oczy nie są efektem alergii na pyłki, jak twierdzi. Pam chyba płakała. A może jest zwyczajnie zmęczona, w końcu to prawie dziewiąty miesiąc ciąży. Z uporem patrzy na bawiące się dzieci. Przez chwilę siedzimy w milczeniu.

- Co masz na myśli, mówiąc: „męża takiego jak Tom”? - pytam z paranoiczną podejrzliwością. Ona także coś wie. Do diabła, wszystkie kobiety, które mają cokolwiek wspólnego z firmą Anderson & Co, wiedzą więcej ode mnie, nie tylko Linda i Joanna. Pokusa, aby spytać Pam o Toma i Annette, staje się nie do zniesienia. Zagryzam wargi, przypominając sobie, że jest ona zbyt dyskretną osobą. Powiedziałyby Sethowi, a Seth zaniósłby wiadomość do firmy, gdzie rozeszłaby się lotem błyskawicy. Sama myśl wydaje się zbyt okropna, nie mogę zwierzyć się Pam.

- Pewnie nigdy nie miałaś poczucia, że wybrałaś mniejsze zło.

- Mniejsze zło? - Zaskakuje mnie. - Nie. Nie miałam takiego poczucia. Byłam szaleńczo zakochana, a potem... - przerywam niepewnie - ...och, sama nie wiem. Małżeństwo, dzieci, trudne to, przynajmniej dla nas. A oczekiwałam sielanki. - Częstuję się kolejną zapiekanką, są naprawdę przepyszne. - Chyba nie uważasz, że małżeństwo z Sethem to mniejsze zło?

- Czasem tak - odpowiada Pam bardzo cicho po długim milczeniu. - Tylko nie mów nikomu, dobrze? - Zerka z niepokojem na Tarę.

- Nie powiem. Oczywiście, że nie. - Jestem oszołomiona i wzruszona, że Perfekcyjna Pam wyznała, iż jej życie dalekie jest jednak od ideału.

- Wiem, że dokonałam właściwego wyboru - zapewnia gorąco, jakby usiłowała cofnąć to, co powiedziała wcześniej. - Wychodząc za Setha. Pozostali mężczyźni łamali mi tylko serce, wprowadzali zamęt. Patrzę na samotne przyjaciółki, takie jak Chloe, i myślę sobie, że nigdy w życiu bym się z nimi nie zamieniła... - Śmieje się trochę sztucznie. - Ale... Och, sama już nie wiem. Spójrz tylko na Tarę.

Obie zerkamy na drzemiącą dziewczynę. Jej płaski opalony brzuch unosi się miarowo. Na zrelaksowanej gładkiej twarzy błąka się delikatny tajemniczy uśmiech.

- Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz tak się czułam. A ty?

- Nie! - odpowiadam ze śmiechem. - Chyba powinniśmy poprosić o namiary na jej masażystę.

- Byłoby miło wziąć choć na jeden dzień urlop od małżeństwa, pójść za przykładem Tary. - Pan potrząsa głową, odganiając złe myśli. - Nie pochwalam tego, nie zrozum mnie źle.

Myślę o Eddiem. O tym, jak patrzy na moje usta, kiedy coś mówię. O jego zielonych oczach.

- Rozumiem.

- Naprawdę? - pyta z ulgą. - Sądziłam, że w domu masz wszystko, czego potrzebujesz. Tom to niezła zdobycz.

- Weź go sobie - odparowuję.

- Z chęcią - drażni się ze mną Pam. - Ma poczucie humoru, jest przystojny. Wyróżnia się na tle pozostałych. Wygląda bardziej na chłopaka niż męża. Przypomina jednego z tych seksownych wiecznych kawalerów, o których się mówi, że nigdy się nie ustatkują. A oni najwyraźniej to robią. - Wzrusza ramionami. - Tyle że nie ze mną. Jeszcze zapiekanek? Te są ze szpinakiem i serem gruyere.

- Nie powinnam - mówię, zachłannie wyciągając rękę. - Ale co mi tam.

- Daj rękę! - woła nagle.

- Słucham? - upuszczam zapiekanek na papierowy talerz. Pam przyciska moją dłoń do swojego brzucha.

- Czujesz? Teraz! Znowu!

Wyczuwam lekkie poruszenie. Natychmiast pojawia się ból i myśl o nigdy nieużywanych ubrankach na dnie szafy.

- Dziecko. - Jej oczy wypełniają się łzami. - Wiesz co, Sadie? Kiedy czuję, jak kopie, zapominam o wszystkim innym.

28

- Na pewno nie potrzebuję klucza, żeby wyjść? - pytam po raz kolejny Louise, sprzątaczkę Annette Eastern. Nie zniosłabym uwięzienia w tym mieszkaniu. Oszałabym chyba.

- Na pewno. - Louise uśmiecha się, nieco pobłażliwie. - Do zobaczenia.

Pracuję bardzo szybko. Układam dwa bukiety z różowych peonii i trawy niedźwiedziej, używając drutu i gąbki, żeby nie opadały. Jeden wazon ustawiam w przestronnym korytarzu, drugi umieszczam na toalecie w salonie. Różowe kwiaty pięknie odbijają się w lustrze na tle białych ścian, ożywiając przestrzeń. Moja dawna mentorka z Notting Hill powiedziała mi kiedyś, że pokoje bez kwiatów przypominają twarze bez uśmiechu. Nigdy nie wydawało mi się to równie prawdziwe, co w bezosobowym mieszkaniu Annette.

Wykonałam swoje zadanie i powinnam wyjść, ale nie robię tego. Przypominam sobie słowa Enid: „Poznaj przeciwnika”. Święta racja. Wpatruję się w fotografię. On i ona. Ogarnia mnie piekąca

zazdrość, nad którą nie panuję. Zaczynam się rozglądać. Otwieram najbliższe drzwi, zaglądam do nieskazitelnie czystej chromowanej i marmurowej łazienki. Oczyma wyobraźni widzę szczupłe wysportowane ciało Psychoviagry pod prysznicem, zamknięte oczy, wodę spływającą z jasnych włosów na kształtne ramiona. Zatrząskuję drzwi i szybko przemierzam korytarz, niespokojnie nasłuchując zgrzytania klucza w zamku. Chwytam spoconą dłonią za kolejną klamkę. Och, tylko odkurzacz i zestaw szczotek do zamywania - teren Louise. Zaglądam do kolejnego pomieszczenia. Królewskie podwójne łóżce, śnieżnobiała pościel. Ładny nowoczesny abstrakcyjny obraz nad wezglowiem. Jej sypialnia? Być może. Wygląda raczej na gościnną. Serce bije mi bardzo szybko, kiedy otwieram szafę. Płaszcz, mnóstwo płaszczy.

Czym prędzej przechodzę do sąsiedniego pokoju. Nie mam wątpliwości, że trafiłam do centralnego punktu mieszkania, sypialni Psychoviagry. Olbrzymie łóżko przypomina jacht, zanurzony w je-dwabiu. Jest na nim tyle narzut i poduszek, że musi się wieczorami nieźle napracować, zdejmując je. Ściska mnie w dołku. Ilu kochanków tu miała? Czy jednym z nich był Tom?

Gruby różowy chodnik. Toaletka z lustrem. Duża butelka perfum Diora i ceramiczny wieszak na naszyjniku pełen odbijających światło łańcuszków.

Znalezienie garderoby zajmuje mi kilka minut, wejście jest niemal niewidoczne. Popycham drzwi pozbawione klamki i przed moimi oczami z cichym kliknięciem otwiera się nieskazitelny raj. Nigdy nie widziałam równie uporządkowanej szafy. Buty i skarpetki w oddzielnych małych przegródkach, otwierające się bezszelestnie szuflady. Tuziny sukienek na cedrowych wieszakach. Kilkadziesiąt pudełek z butami, na każdym fotografia zawartości

- Chanel, Jimmy Choo - oraz data zakupu. Ta kobieta jest piekielnie dobrze zorganizowana, myślę. Obrzydliwie bogata i nosi dziesiątkę, rozmiar obuwia - siódemka. Ulubione kolory to czerwony i jasnoszary. Nie przechowuje żadnych starych, powyciąganych, tanich ubrań. Jest moim całkowitym przeciwieństwem. A właściwie czego, do diabła, się spodziewałam?

Gdzie trzyma torebki? Z całą pewnością nie należy do osób, które mają tylko jedną. O, nie, ta kobieta... Dostrzegam je na najwyższej półce. Czarne torebki z uchwyty, maleńkie czerwone torebki wieczorowe, kopertówki, torebki w stylu Grace Kelly, niezliczone ilości i rodzaje. Pierwszy rząd ukrywa za sobą następne. Wyciągam rękę, ale nie mogę dosięgnąć. Rozglądam się za jakimś krzesłem, ale żadnego nie widzę. Jak ona po nie sięga? Mam pomysł. Uradowana własną bezczelnością, wybieram szpilki na najwyższym obcasie. „Manolo Blahnik, wieczorowe, wiosna 2006”. Granatowe, na cienkiej szpilce. Zdejmuję trampki, zostaję w samych przepoconych czarnych skarpetkach z hipermarketu. Wkładam stopy w czółenka, ale one wysokie. Teraz mogę dokładnie obejrzeć torebki. Zdejmuję jedną z półki, aby obejrzeć tę stojącą za nią. Odczuwam wielkie obrzydzenie do samej siebie. Jestem pozbawioną godności psychopatką. Co się ze mną dzieje?

Wreszcie znajduję to, czego szukam. Rzucam na podłogę czerwoną kopertówkę i gapię się na gigantyczną torbę w lamparce cętki. Torebka, którą widziałam w Wolseley. Wyciągam po nią obie ręce, tracę równowagę i wpadam wprost do szafy. Wieszaki grzechoczą, w ustach mam coś jedwabnego, atakuje mnie zapach jej perfum. Lewą stopę przeszywa ostry ból.

Otwierają się drzwi wejściowe do mieszkania.

Boże, Louise wróciła. Cholera, cholera, cholera. Gramolę się z podłogi i zamykam szafę. Już mam zdjąć szpilki, kiedy moje spojrzenie pada na czerwoną torebkę, którą porzuciłam na dywaniku. Schylam się, by ją podnieść.

- Halo? - rozlega się tuż za drzwiami. - Jest tu ktoś?

Kamienieję ze strachu. Wpycham kopertówkę do szafy i usiłuję pozbyć się szpilek. Jedna przykleja mi się do skarpetki, druga przelatuje na drugi koniec pomieszczenia.

- Kto tu jest?

- To tylko ja, Louise. Sadie! - Mam zamiar powiedzieć jej, że szukałam odpowiedniego miejsca do ustawienia kwiatów, aby nie „gryzły się” z tapetą. Szykuję się do skoku w celu odzyskania zbląkanej szpilki, zahaczam o dywanik i ląduję na twarzy.

Wchodzi Annette. Mierzmy się wzrokiem przez kilka okropnych sekund. Cofa się o krok, wygląda na przestraszoną.

- Kim pani jest?

- Florystką - przyznaję się wreszcie, marząc o tym, by ziemia mnie pochłonęła. To musi być jakiś koszmarny sen. Patrzę na jej opalone szczupłe łydki, kształtne stopy obute w czółenka bez pięty, obcisłą czarną sukienkę, pukle włosów okalające twarz. Na żywo wygląda jeszcze lepiej niż na zdjęciach.

- Florystką? - powtarza, wpatrując się z niedowierzaniem w swój granatowy but na mojej nodze.

- Co, do diabła...?

- Zaraz wszystko wytłumaczę... - Tylko nie mam pojęcia jak.

- Proszę natychmiast wyjść - mówi z wściekłością. - Proszę opuścić mój dom, zanim wezwę policję.

- Ja... - Widzę ją jak przez mgłę, łyzy przesłaniają mi obraz. Walczę z nimi zawzięcie, nie ma mowy, żebym upokorzyła się jeszcze bardziej. - Zobaczyłam te buty i zapragnęłam je przymierzyć - wyjaśniam, kładąc oba na brzegu łóżka. - Bardzo przepraszam, nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Proszę wybaczyć, że panią przestraszyłam.

Kręci głową z niedowierzaniem.

Zakładam swoje przepocone trampki drżącymi rękoma.

- Bardzo przepraszam - mamrocze zbyt przerażona własnym irracjonalnym zachowaniem, by pamiętać, że ta kobieta być może kradnie mi męża i rujnuje życie.

Annette śledzi podejrzliwie każdy mój ruch, upewniając się, że po drodze nie zwinę garści biżuterii.

- Człowiek zawsze się zastanawia, co służba robi pod jego nieobecność. Teraz już wiem.

Oby tylko nie domyśliła się, że jestem żoną Toma. Boże, to by było straszne. Na szczęście nie noszę jego nazwiska. Nigdy więcej nie przyjmę ani nie dostanę zlecenia w tym domu, a przygoda ze świrniętą florystką, która miała bzika na punkcie butów, powoli zatrze się w pamięci Annette.

- Zdaję sobie sprawę, jak to musi wyglądać.

- Proszę wyjść z mojej sypialni. - W jej postawie nie ma już cienia strachu. Mówi czystym, autorytarnym tonem, który musi robić wrażenie na tłumach słuchaczy. - I zabrać swoje rzeczy z kuchni.

Prowadzi mnie wzdłuż korytarza. W kuchni obserwuje z nadętą miną, jak się pakuję.

- Nie jestem złodziejką.

- Wynocha! - wrzeszczy.

29

- Miło wreszcie gdzieś razem wyjść - mówi czule Tom, opierając twarz na dłoniach i spoglądając na mnie ponad śnieżnobiałym obrusem restauracyjnego stołu. Jego oczy patrzą łagodnie w migotliwym świetle świec. - Ślicznie wyglądasz.

Mam na sobie sukienkę w kolorze szminki, włosy spięte w szykowny kok. Skusiłam się nawet na dodatki w postaci trzech złotych bransoletek, które pobrzękują dźwięcznie z każdym ruchem nadgarstka. Czuję się jak oszustka, przestępczyni skalana zbrodnią, okropnie się wstydzę spotkania z Annette Eastern. Pamiętam jej usta, wykrzywione grymasem przerażenia i pogardy, oraz ucisk granatowej szpilki na stopie. Umieram ze strachu, że Annette dowie się, kim jestem.

- To był pomysł mamy - dodaje Tom. - Powiedziała, że kiedy ona i ojciec przechodzili trudne chwile w związku, zawsze starali się zorganizować wyjście na randkę.

- Jesteśmy na randce? - Ogarnia mnie fala współczucia dla Toma. On naprawdę się stara. Przecież gdyby sypiał z inną, nie starałby się tak bardzo. A może to taki podwójny blef?

- Na to wychodzi. - Uśmiecha się chłopięco, próbując zatuszować zakłopotanie.

Kelner uzupełnia kieliszki rubinowym winem.

- Kolacja i seks. Tak to chyba było?

Zaskakuje mnie wzmianka o seksie. Ostatnio unikał tego tematu. Powoli przeistaczaliśmy się w jedną z tych par, które odczuwają zażenowanie, oglądając wspólnie sceny erotyczne w filmach. Patrząc na namiętne pocałunki i pieszczoty aktorów, porównywaliśmy je z własnym, pozbawionym namiętności związkiem.

- Trochę się pozmieniało.

Uśmiechamy się do siebie. Odkładamy rozmowę o problemach na rzecz paru godzin bliskości i spokoju. Nie jesteśmy całkiem zrelaksowani, za dobrze się znamy. Pozbawieni bezpieczeństwa własnych czterech ścian i wymówek w postaci domowych obowiązków, czujemy się, jakbyśmy byli nadzy. Ostatnio znam tylko Toma śpieszącego się do pracy lub odpoczywającego po pracy przed telewizorem. W weekendy oboje skupiamy się na Dannym. Gdzie jest mój dawny Tom? Mężczyzna rozsiewający wokół siebie chłopięcy czar, ten, który klepał mnie po pupie, nazywając swoją małą kwiaćciareczką?

Odchyła się do tyłu na krześle i klepie po brzuchu.

- Niezły stek.

- Przywykłeś do pustej lodówki.

- Pusta lodówka należy do przeszłości - mówi z uśmiechem.

- Od niedawna.

- Zauważyłem. - Bierze mnie za rękę. - Dziękuję.

Patrzę w swój talerz. Drobnym gestem uznania, na który przecież czekałam, nie wiedząc czemu wznieca kolejny płomień niepewności i gniewu. Nie mogę przestać myśleć o Annette i swoim upokorzeniu. Milczymy przez parę chwil.

- Chcą mnie wysłać na kilka dni do Nowego Jorku - mówi z obawą, czekając na moją reakcję, która nie nadchodzi. Oddycha z ulgą. - Wiesz co? Wydaje mi się, że awans mam na wyciągnięcie ręki - dodaje; - To bardzo dobry znak. Czuję zapach zwycięstwa.

- Cudownie.

- Wyjeżdżam w poniedziałek po służbowym pikniku. Za dwa tygodnie. Zgadzasz się?

- Oczywiście. - Odkładam gwałtownie widelec. - Boże, to ten piknik już za dwa tygodnie? Wydawało mi się, że zostało mnóstwo czasu.

- Nie. Wysłano już zaproszenia... Uświadamiam sobie coś strasznego.

- Będą tam wszyscy twoi klienci?

- Miejmy nadzieję. - Przecina mięso, z którego wypływa krew. - Inaczej będę miał kłopoty.

O Boże, Boże. Podnoszę serwetkę do ust.

- Chyba nie chcesz, żebym z tobą poszła po tej wpadce na poprzednim spotkaniu?

- Nie wyglupiaj się. Oczywiście, że chcę. Wszyscy partnerzy są zaproszeni. Będzie Pam i reszta. Zapowiada się miłe spotkanie.

- Utknę w jakimś mieszkaniu albo windzie. Zjawię się ze spódnicą zahaczoną z tyłu o majtki i kanapką między zębami. - Mnę serwetkę w dłoniach. Nie mogę pójść, to niemożliwe.

- Zaproś kilka przyjaciółek, jeśli masz ochotę, najlepiej ładnych. Będzie zbyt wielu sztywniaków w garniturach - żartuję. - Potrzebujemy barwnych postaci.

Szykowne żony nie są atrakcyjne towarzysko. Wychodzi się z nimi czasem na kolację, a na co dzień zajmują się dziećmi. Samotne kobiety emanują seksapilem. Annette Eastern jest singielką.

- Zaproszę Chloe. Powiem, żeby się ubrała wyzywająco.

Kelner sprząta ze stolika. Zaciskamy dłonie, milcząc uprzejmie. Okazuje się, że możliwe jest wspólne skonsumowanie zakrapianego winem posiłku poza domem bez skakania sobie do gardeł. nierozwiązane problemy krążą nad nami niczym sępy nad padliną. Tom wygląda, jakby chciał coś powiedzieć. Coś ważnego. Czyżby zaprosił mnie tu w jakimś celu?

- Sadie...

No proszę, zaraz się zacznie. Nie patrzę na niego, rozglądam się po sali pełnej milczących par, rozgadanych dziewcząt, ludzkich miłości i dramatów. Każda z tych osób albo się do drugiej zbliża, albo od niej oddala - jak ja i Tom.

- Zastanawiam się...

- Tak? - Słyszę łopot sępich skrzydeł.

Mruga nerwowo, to taki jego tik. Spogląda na moje czoło.

- Pamiętasz, jak uderzyłaś się w głowę?

Czyżbym wciąż miała guza? Dlaczego o tym wspomina? Dotykam linii włosów. Tom chrząka niepewnie.

- Nie obraż się, ale od tamtej pory zaczęłaś się zachowywać dziwnie.

- Dziwnie? O co ci chodzi?

- Inaczej niż zwykle - wyjaśnia przesadnie łagodnym tonem, zarezerwowanym dla chorych umysłowo. - Ta szminka, nagły zapał do prac domowych... Jakbyś nie była sobą.

Wybucham śmiechem. Och, cóż za ironia losu. Histeryczna wesołość przekształca się nagle w coś zupełnie innego. Nie jesteśmy już na randce, lecz z powrotem na wojnie.

- To wszystko dla ciebie - mówię z brzydką ironią w głosie.

- Nie tylko o to chodzi, Sadie. Jest kilka rzeczy, które nawet mama zauważyła.

- No tak. Mogłam się tego domyślić.

- Nie, nie. Nie jest tak, jak sądzisz. - Sprawia wrażenie zmęczonego i zniechęconego. - Wyrażam się niejasno, przepraszam cię. Może dobrze by było pójść do lekarza? Zrobić prześwietlenie. Uraży głowy...

- Do lekarza? Co ty pieprzysz? - Nie mogę uwierzyć własnym uszom.

Tom masuje policzek. Wygląda, jakby chciał uciec.

- Dlaczego zawsze wszystko bierzesz do siebie? - Ludzie przy sąsiednim stoliku odwracają się, słysząc podniesiony głos. - Po prostu dobrze by było zrobić prześwietlenie - syczy, patrząc karcąco na podglądaczy. - Martwię się o ciebie.

Chowam twarz w dłoniach. Lepsza żona, akurat. On mnie wziął za wariatkę! Bezcelowość wszelkich wysiłków uderza we mnie jak ogromna fala. Na próżno usiłuję powstrzymać łzy, jestem wściekła.

- A ty, Tom? Ty się nie przebadasz? Też masz problemy.

- Nie wywlekajmy przeszłości po raz kolejny - prosi, spuszczać wzrok.

- Bez przerwy pracujesz. Prawie cię nie widuję. I jeszcze masz czelność mi mówić...

- Muszę teraz ciężko pracować, inaczej nie ma mowy o stanowisku dyrektora - odpowiada gniewnym szeptem.

- Nie mam wyboru. Powinnaś się z tym pogodzić.

- Mogłabym zacząć podejrzewać cię o romans, wiesz?

- Wreszcie to z siebie wyrzuciłam. Towarzystwo przy sąsiednim stoliku spogląda na Toma karcąco.

- Romans? Romans? - syczy Tom, jego policzki stają się purpurowe. - Oszalałaś?

- Nie wiem, co mam myśleć, Tom.

- Czy ty masz pojęcie, jak bardzo chciałbym spędzać więcej czasu z Dannym?

- A kto ci zabrania? Wstawaj do niego w nocy, kiedy płacze. Tak jak ja!

- Nie budzę się. - Kręci głową. - Ale ty także nie powinnaś do niego wstawać. Nie jest już niemowlakiem, ma trzy lata. Pozwól mu dorastać.

- Nie pozwolę, żeby mój syn płakał w samotności w środku nocy. Powinieneś do niego wstawać. Ja też pracuję, dodam na marginesie.

- Ale ty nie musisz - mówi z rozpaczą w głosie.

- Chcę! Nie mam równie prestiżowego zawodu jak ty, ale to nie powód, żeby wciąż umniejszać moją pracę.

- Umniejszać? - prychna pogardliwie. - Przecież ty zawsze musisz być najważniejsza! - Teraz już naprawdę robimy z siebie widowisko. - A ja staram się sprostać twoim oczekiwaniom. Nie widzisz tego, do cholery?!

Płaczę z wściekłości.

- Jedyne, czego oczekuję, to normalna rodzina. Mąż, którego widuję. Plany na przyszłość. I... i...

- Chcę powiedzieć „dziecko”, ale ten wyraz nie przechodzi mi przez usta. Nie mam odwagi. Tom i tak się domyślił. Poznają to po jego minie i po tym, jak ukrywa twarz w dłoniach. - Nie zachowuję się dziwnie, Tom! - Wstaję gwałtownie, głośno odsuwając krzesło. - Ty naprawdę nic nie rozumiesz, co?

- Czego nie rozumiem? Co się, do diabła, dzieje, Sadie?

Już sama nie znam odpowiedzi.

Rezygnujemy z deseru. Nic nie jest w stanie osłodzić reszty wieczoru. Zatrzymujemy taksówkę, wracamy do domu w milczeniu. Danny zmoczył łóżko. Szybko zmieniam mokrą pościel, mój synek

stoi obok, ma nieobecny wzrok, jakby nie do końca się obudził. Kładę go z powrotem, zasypia w kilka sekund. Patrzę z czułością na unoszącą się w miarowym oddechu małą klatkę piersiową, głaszcząc odrastające loczki. Jest taki maleńki i bezbronny. Mój piękny, wspaniały synek. Co ja mam robić? Jako dorosła osoba powinnam to wiedzieć. A nie wiem.

Tom cicho uchyla drzwi, wchodzi do środka, całuje Danny'ego w policzek, siada na brzegu łóżka z dala ode mnie. Ciemny pokój wypełnia poczucie obcości.

- Nienawidzę, kiedy się kłócimy. Co się z nami stało? Brakuje mi nas. Takich, jakimi byliśmy - odzywam się szeptem. - Nie mogę tak dłużej, Tom.

- Ani ja - odpowiada ledwie dosłyszalnie. - Ani ja, skarbie.

30

Zapach lawendy uderza we mnie jak zaciśnięta pięść, przenosi w czasie do pierwszej wizyty, kiedy guz na głowie wciąż bolał, a ja byłam pełna skrywanej dziecięcej nadziei, że szykowna ekstrawagancka staruszka poda mi jakiś sprawdzony, tajemny przepis na naprawienie małżeństwa. Co ja sobie myślałam? Nic dziwnego, że mam problemy. Czas zakończyć tę farsę.

- Cześć, Sadie. - Angie otwiera mi drzwi z zaskoczonym uśmiechem. - Nie spodziewaliśmy się ciebie.

- Przepraszam za najście.

- Chwileczkę. Pójdę po panią Enid. Jest w swoim prywatnym saloniku.

Czekam co najmniej pięć minut na biało-czarnej szachownicy korytarza, wśród starych fotografii i eleganckich stojaków na parasole. Wreszcie drzwi do tajemniczej komnaty otwierają się, ukazując moim ciekawskim oczom fragment białego dywanu i kilka zdjęć na ścianie. Pokój wygląda zupełnie normalnie. Nie rozumiem, czemu jest tak pilnie strzeżony. Podejrzewam, że Enid tylko dlatego robi wokół niego tyle zamieszania, żeby dodać swemu życiu dramatyzmu i tajemniczości. Ot, dym i lustra, kuglarskie sztuczki.

Starsza pani wyraźnie chwieje się dziś na nogach.

- Niespodzianka! Uwielbiam niespodzianki. Oczekiwanie na umówioną wizytę jest takie nudne. Angie, zrób nam, proszę, coś orzeźwiającego. Wypijemy w ogrodzie.

Zielony bujny ogród pachnie bzem. Jabłonka ugina się pod ciężarem dojrzałych owoców, spośród liści dobiegają ptasie trele. Zbliża się jesień, czas tak szybko płynie. Niedługo mija termin naszej umowy.

- Co cię sprowadza, kochana? - Enid rozsiada się na ogrodowym krześle, poluzniając węzeł błękitnej jedwabnej apaszki. - Mam nadzieję na dobre wiadomości.

Angie stawia przed nami dwa drinki z miętą, lodem i plasterkami ogórka.

- Chciałam ci to powiedzieć osobiście, Enid - mówię opanowanym tonem, choć czuję się dość marnie. - Bardzo ci dziękuję za wszelką pomoc i rady dotyczące mnie i Toma. Bardzo mi pomogłaś, naprawdę! Potrafię zrobić pudding! Nie mam już pioruna na głowie i nie śpię we flanelowej piżamie.

Enid spogląda na mnie z konsternacją. Jej oczy jakby przygasły.

- Dzięki tobie poznałam fantastyczne koleżanki - kontynuuję niepewnie. - Traktuję cię bardziej jak przyjaciółkę niż klientkę. Naprawdę. Ale muszę sama zająć się swoim życiem. - Przerывam, czekając na jej zapewnienie, że rozumie, że wszystko w porządku. Nic takiego nie mówi, wygląda na zdruzgotaną. - To przecież nie jest gra - dodaję desperacko. - Tylko moje życie.

- No tak - odpowiada sztywno, nerwowo okręcając na palcu niebieski jedwab.

- Nie mogę już do ciebie przychodzić. Bardzo lubię z tobą rozmawiać, masz ogromny dar przekonywania, lecz... - kręcę się nerwowo na krześle, czuję się, jakbym miała utopić kociaki - ...muszę po swojemu rozwiązać własne problemy, o ile w ogóle da się je rozwiązać.

Enid przerywa mi władczym gestem dłoni, zaciska usta w cienką kreskę.

- Burza nie połączyła naszych ścieżek przez przypadek.

- Zgadzasz się. - Nadal nie wiem, co właściwie mnie przywiodło do tego dziwnego, pięknego domu i kazało wierzyć w niemożliwe. Przeznaczenie? Przecież nie wierzę w przeznaczenie.

- Odwiodłaś mnie od czarnych tulipanów.

Mrugam rozpaczliwie. Nie czas na sentymentalne łzy.

- Nie mam zamiaru dawać ci rad, o które nie prosisz - mówi ostro. - Wolisz po swojemu, rób po swojemu. - Wzrusza ramionami i wstaje powoli. - W twoim wieku też nie słuchałabym paplania jakiejś zdziwaczalej staruszki. - Odchodzi z godnością.

Przypomina mi własną babcię, spacerującą po oksfordzkim ogrodzie. Jej ogród wydawał mi się najpiękniejszy na świecie, a ona była najstarszą i najbardziej pomarszczoną osobą, jaką znałam. Mamą mojej mamy. To wydawało się niepojęte. Enid znika wśród zieleni i kwiatów, zostawiając mnie z bolesną tęsknotą za mamą i babcią, kobietami, które mnie stworzyły. Mam wrażenie, jakbym kontaktowała się z nimi za pośrednictwem obcej drobnej staruszki. Czuję się samotna i opuszczona. Siedzę, nie wiedząc, co ze sobą począć.

Odwracam się, słysząc szelest za plecami. Spodziewam się zobaczyć Angie, która przyszła odprowadzić mnie do drzwi, ale to Eddie stoi za mną, ocierając spocone czoło.

- Przepraszam, podsłuchałem niechcący.

- Podjęłam słuszną decyzję, Eddie. Zrobiło się zbyt poważnie.

- Tak. - Opada na krzesło opuszczone przez Enid. - Domyśliłem się. Paula...

- Moja poprzedniczka?

- Właśnie. Paula także miała dość po pewnym czasie. Całe to wtrącanie się w prywatne sprawy, doradzanie, wypytywanie. Dlatego zrezygnowała w końcu z pracy. - Kręci głową. - Ale ty, w przeciwieństwie do Pauli, miałaś na nią szalenie ożywczy wpływ. Bardzo wyczekuje twoich wizyt.

- Jestem tylko kwiaciarką. Nie mogę być jej przyjaciółką. A tym bardziej królikiem doświadczalnym. To głupie. Nie wiem, czemu się zgodziłam, byłam zdezorientowana - dodaję, myśląc o mamie i babci.

- Sadie. - Przysuwa się bliżej. - Proszę, nie rezygnuj z przychodzenia tu - nalega bardzo gorąco. Tak gorąco, że oblewam się rumieńcem. Pociąga łyk nietkniętego napoju i krzywi się. - Potwornie mocne. Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć... - Waha się przez chwilę. Wachluje spocone ciało rozciągniętym granatowym T-shirtem. Dostrzegam bardzo pociągający cień w dole brzucha Eddiego.

- Nie chciałem, ale chyba powinnaś wiedzieć. - Wodzi palcem po brzegu szklanki.

Ja z kolei wodzę wzrokiem za jego palcem. Serce bije mi jak szalone. Boże, ależ mi go będzie brakować.

- Enid umiera, Sadie - mówi rzeczowo i beznamiętnie. - Ma zaawansowany nowotwór. Odmówiła chemioterapii, bierze morfinę i łyka rozmaite pigułki. Zostało jej niewiele czasu. Bardzo niewiele.

31

Chloe i ja przepychamy się w tłumie na Portobello Road. Wdychamy zapach świeżego pieczywa, smażonej cebuli, skrętów i kawy. Słońce wychyla się zza chmur, przybywa ludzi, przed nami rozciąga się morze głów. Chloe zdejmuje obcisłą skórzaną kurtkę, lecz zostawia na szyi arafatkę mimo gorąca. Ukrywa za nią malinkę autorstwa pewnego młodego aktora, który zagrał małą rolę w znanym serialu, a teraz pragnie odegrać dużą rolę w życiu Chloe, ale ona nie jest zainteresowana.

- Bardzo mi przykro z powodu Enid.

Mocniej chwytam rączkę Danny'ego, który powłóczy małymi - zmęczonymi chyba już - nóżkami.

- Cóż, ma swoje lata, jak to mówią. Miała udane życie - racjonalizuję, aby zagłuszyć smutek. - A jednak... umieranie zawsze jest trudne, nieważne kiedy. Najdziwniejsze jest to, że ja naprawdę nie miałam o niczym pojęcia. Zauważyłaś cokolwiek?

Chloe potrząsa przecząco głową, duże kolczyki łapią promienie słońca i pobrzękują.

- Nic. Ale ja jej nie znam tak dobrze jak ty. Nie można mi udzielać małżeńskich porad. Enid uznała mnie za potwornie cyniczną i... - parodiuje arystokratyczną manierę staruszki - ...dość zepsuta. Pobawiłyśmy się tylko kosmetykami, pośmiałyśmy, obgadałyśmy ciebie. Ona za tobą przepada, Sadie. Traktuje cię jak jedną ze swoich „dziewczyn”.

Ku mojemu zaskoczeniu pod powiekami zbierają mi się łzy. Nie powinnam być aż tak zrozpaczona. Tom przypomina mi, że Enid nie jest naszą rodziną. Jednak mnie wydaje się bardzo bliska, raczej jak niespodziewanie odzyskana krewna niż klientka. Odczuwam wobec niej coś w rodzaju poczucia winy za niespłacony dług. Skorzystałam z jej rad - jakkolwiek wątpliwej byłyby jakości - nie dając nic w zamian.

- Wiem. Chciałabym jej jakoś pomóc.

- Wiesz, co by ją ucieszyło? Gdybyś pozwoliła jej wierzyć, że przyczyniła się do uratowania twojego małżeństwa.

- Wyczuje pismo nosem. Jest przebiegła.

- Dobra. Pożegnajmy ją z pompą, bez mazgajstwa. Wyprawmy jej przyjęcie.

Uśmiecham się. Impreza to odpowiedź Chloe na wszelkie życiowe problemy. Tak jakby wylanie kieliszka zimnego szampana na uciążliwy obiekt usuwało go z naszej przestrzeni.

- Enid uwielbia przyjęcia.

- Kupisz mi loda, mamó? - wtrąca Danny.

Zatrzymujemy się i kupujemy sobie więcej czasu na rozmowę w postaci truskawkowego rożka. Sadowimy się na murku na Elgin Crescent, żeby Danny mógł sobie spokojnie zjeść.

- Pytałaś go? - Chloe stara się mówić szyfrem, ponad głową Danny'ego. - O A.

- Bałam się po sytuacji, echem... - krzywię się - ...w szafie.

Moja przyjaciółka zakrywa usta dłonią, tłumiąc chichot.

- Boże, strasznie cię przepraszam. Wiem, że to nie jest śmieszne, ale jak pomyślę o tobie w jej bucie...

- Czym bucie, mamusiu? - pyta Danny z nagłym zainteresowaniem.

- Och, nieważne - zbywam go czym prędzej. - Mama zrobiła coś głupiego. Przymierzyła czyjeś buciki, ale na nią nie pasowały.

- Jak brzydka siostra Kopciuszka? Chloe i ja wybuchamy śmiechem.

- Ach, bezcenne. Tak, coś w tym rodzaju, Danny - mówię, poklepując go po kolanku. - Chloe, w przyszłym tygodniu muszę iść na służbowe przyjęcie Toma. Co ja mam robić? A jeśli Annette mnie rozpozna? Zostanę skompromitowana. A w ogóle to jesteś zaproszona.

- Jestem? - pyta z powątpiewaniem.

- Tak. Tom wysłał ci zaproszenie. Proszę, przyjdź. Będą Pam, Tara i Ruth. Mam egoistyczne powody, żeby nalegać. Potrzebuję cię. Większość z tych osób widziała mnie ostatnio w bluzce z napisem „Poliz mnie”, dzierzącą w dłoniach sekator, wyglądałam niczym postać z filmu Davida Lyncha. A na samą myśl o spotkaniu z nią oblewa mnie zimny pot.

- Głowa do góry! - Chloe uśmiecha się, wyciągając przed siebie długie opalone nogi. - Silna z ciebie przeciwniczka.

- Co to przeciwniczka, mamó? - pyta Danny, jedząc swojego loda w wielkim zamyśleniu.

- Ktoś, kto się kłóci - wyjaśnia Chloe.

- Jak mama z tatą?

Wymieniamy spojrzenia, ale tym razem nie jest nam do śmiechu. Co się mówi dzieciom w takich sytuacjach? Nie kłóćmy się, skarbie. Dyskutujemy i rozwiązujemy problemy. Nie chcę kłamać, więc przytulam go tylko. Danny opiera głowę na moim ramieniu, jest zdezorientowany, a ja czuję się jak najgorsza matka na świecie.

32

Pierwsze kłamstwo w dobrej wierze: kierując się sugestią Chloe, mówię Enid, że jej rady zaczęły wreszcie przynosić owoce.

- Tom i ja bardzo się do siebie zbliżyliśmy. - Nie mam wyrzutów sumienia, gdyż zrobiłam to, aby poprawić samopoczucie śmiertelnie chorej staruszki, która wygląda na szalenie uszczęśliwioną z tego powodu.

- Albert byłby zadowolony.

Zbliżamy się do celu, moja droga. E

Pisze w notatniku.

Drugie kłamstwo w dobrej wierze: Rona spytała, czy potrzebujemy opiekunki dla Danny'ego na czwartek, kiedy będziemy na pikniku, oczywiście ona nie może go popilnować, ponieważ sama została zaproszona. To ważne chwile dla Toma i za nic ich nie przegapi. Jednakże ma nową opiekunkę do psa, dziewczynę z Bułgarii, która chciałaby zarobić dodatkowe pieniądze. Odpowiadam: „Dziękuję, już kogoś znaleźliśmy”, mimo że nie znaleźliśmy nikogo. Nie pozwolę, aby Rona zniszczyła moją jedyną szansę na wymiganie się od pójścia na piekielną imprezę, gdzie grozi mi spotkanie z Psychoviagrą.

Trzecie kłamstwo w dobrej wierze: mąż Ruth nadal siedzi obrażony u swojej matki. Ruth schudła przeraźliwie.

Zapewniam ją, że nigdy nie wyglądała lepiej. Wygląda okropnie, czarne obwódki wokół oczu, kąciki ust opadające w dół, jak głodująca samotna matka kilkorga dzieci z filmu dokumentalnego. Poza tym zapadnięte policzki ją postarzają. Życie bywa wredne.

Czwarte, piąte i szóste kłamstwo w niezbyt dobrej wierze. Wszystkie dotyczą Toma, oczywiście. Nie mogę znaleźć odpowiedniej opiekunki na czwartek. Trish jest zajęta. Na dodatek właśnie w czwartek z Dannym trzeba się stawić na szczepienie, nie da się tego przełożyć, wieczorem będzie miał gorączkę, powinnam z nim zostać. Strasznie mi żal, że nie pójdę na przyjęcie.

- Musisz pójść - odpowiada po prostu. - Nie wykręcisz się, Sadie. - I wychodzi.

Od czasu feralnej kolacji mijamy się jak statki we mgle, unikając wszelkiego kontaktu. Zaczęłam chodzić wcześniej spać, by uniknąć pogawędek i rażącego poczucia braku intymnego pożycia.

Tydzień przed planowaną imprezą, kiedy jestem zajęta sporządzaniem listy kwiatów dla doktora Prenwooda, Tom wchodzi do pokoju i oświadcza z uśmiechem:

- Mam dobre wieści. Dostałem e-mail od twojego taty. Przyjeżdża w przyszłym tygodniu do Londynu z Loretą.

- To ma być dobra wiadomość?

- Z przyjemnością zaopiekuje się Dannym.

Nie mogę tego zrobić. Nie upiję się i nie zapomnę nie być sobą. Uśmiech nie opuści mych warg. Nie skompromituję męża. Nie będę opowiadać o zmarłej mamie ani śmiertelnie chorej Enid. Tom będzie ze mnie dumny, choćby mnie to miało zabić. Przedstawienie musi trwać. A jeśli zobaczę Annette Eastern, schowam się. Biorę głęboki oddech, wpinam jedwabny kwiat we włosy, wygładzam niebieską sukienkę, której nie miałam szansy włożyć na poprzednie służbowe przyjęcie Toma. Do tego zabójcze srebrne szpilki.

Nie włożę podkoszulki z jęzorem ani złotej sukienki. Nikt mnie nie zamknie w mieszkaniu. Nie spóźnię się dwie godziny. Wszystko będzie dobrze.

- Taksówka podjechała, kochanie! - woła ojciec.

Schodzę na dół, do salonu. Tata buja Danny'ego na kolanie z takim rozmachem, że gdyby mój synek był młodszy, obawiałabym się, iż coś mu się stanie. Loretta trzyma w ręku paczkę cukierków, którymi zapewne karmiła zapatrzonego w nią miłośnie chłopca, i gładzi się z zakłopotaniem po usztywnionej fryzurze. Biorę klucze, całuję Danny'ego oraz tatę, macham Lorecie.

- Nie martw się o nas. Mamy zamiar się świetnie bawić, co, smyku?

Danny posyła tacie w odpowiedzi szeroki uśmiech. Loretta wpycha mu cukierka do buzi.

- Proszę, mały przystojniaku. - Zerka na mnie. - Baw się dobrze. Zrelaksuj się. O, jaka ładna sukienka. Bardzo stosowna.

Zatrzymujemy się pod domem Chloe.

- Limuzyna podjechała, psze pani - dzwonię do niej.

- Już schodzę.

Zjawia się po dziesięciu minutach. Taksówkarzowi oczy wychodzą z orbit na jej widok. Chloe wygląda jak modelka z okładki czasopisma: puszyste rozpuszczone włosy, opalone nogi, połyskliwa złota sukienka i rzymskie sandały na wysokim obcasie. Sekswojowniczką i grecką boginią w jednym.

- Stara znajoma - sukienka na gejowski ślub! - śmieję się.

Chloe na próżno usiłuje wsiąść do samochodu, nie pokazując majtek.

- Ślub został odwołany. Jeden z panów młodych przestraszył się myśli o wiecznej monogamii. Rozsądny człowiek. Musiałam jakoś wykorzystać ciuch. - Obciąga rąbek złotej tkaniny. - Nie jest zbyt krzykliwa na tę okazję?

- Nie - odpowiadam ze śmiechem. - Zrobisz furorę.

- Twoja kiecka też mi się podoba. Bardzo ładna. Trochę w stylu Prady.

- Nie Prada. Jigsaw.

- Nie chwał się. - Całuje mnie w policzek. - Wyglądasz jak wymarzona żona dla każdego mężczyzny.

- Spróbuję potraktować to jako komplement.

Podjeżdżamy pod olbrzymi hotel z wielkim tarasem z widokiem na Trafalgar Square na dachu. Przed wejściem na skąpany w przedwieczornym słońcu taras stoją dwa wiadra do wrzucania datków charytatywnych: pomysł i realizacja Pam. Dekoracje kwiatowe wydają mi się nieco zbyt pretensjonalne. Mnóstwo lilii i białych róż w wysokich rzeźbionych wazonach, efektownych jak rosyjskie dziewczki. Atrakcyjni kelnerzy roznoszą sushi i drinki bellini. Nie tylko Chloe wyróżnia się wśród gości. Wokół roi się od dwudziestoparolatek o pięknych włosach, w długich kolorowych sukniach. Wyglądają, jakby za chwilę miały zamiar wsiąść na jacht płynący do Cannes. Tom z nimi pracuje? Niedobrze, czuję się okropnie nieatrakcyjna.

- Cudownie. Słońce. Bellini... - Rozgląda się z zadowoleniem Chloe. - Przystojni kelnerzy.

- Widzisz ją gdzieś? - Wyglądam ostrożnie znad swojej szklanki. - Musisz mnie ostrzec, gdy tylko się pojawi. Obiecay mi. Będę się chować. Jak się upijesz i zapomnisz, to cię zabiję.

- Tak jest. - Chloe poprawia włosy, zapatrzona w wysokiego ciemnowłosego przystojniaka w białym garniturze i kapeluszu. Już zapomniała. - Sadie, ja muszę siusiu. Przed wyjściem wypłam litr mineralnej. Zaraz mi pęknie pęcherz.

- Dobra, do zobaczenia za chwilę. Ja się tu pokręcę, poszukam swojego męża. Nie odejdę daleko.

Lawiruję wśród obcych twarzy i wózków z jedzeniem, popijając nerwowo drinka, który kończy się zadziwiająco prędko. Od czasu do czasu wpadam na któregoś z kolegów Toma. Od razu zerkają na moją kwiecistą sukienkę, zapinaną na małe obszyte tkaniną guziczki, na ich twarzach maluje się wyraźne rozczarowanie, jakby spodziewali się, że przyjdę ubrana w nakładki na sutki. Porywam kolejne bellini ze srebrnej tacy przechodzącego kelnera. Słońce świeci bardzo mocno mimo dość późnej pory, żałuję, że nie zabrałam ciemnych okularów, jak wszystkie inne kobiety. Dostrzegam w tłumie pewnego siebie przystojniaka w garniturze, mówi coś z przejęciem. To mój mąż.

- Jesteś! - Uśmiecha się trochę sztucznie. - Wyglądasz...

- Wcale nie. - Natychmiast przyjmuję postawę obronną.

- Nie widziałem wcześniej tej sukienki. Urocza.

Uroczą? Znów popełniłam gafę. Zdecydowanie nie jestem stworzona na salony, moje miejsce to rynek kwiatowy. Chloe ubrała się stosowniej niż ja. Wyglądam jak żona pastora.

- Jesteś jakiś spięty - zauważam, żeby odgryźć się za jego wątpliwy komplement.

- Wychodzę z siebie, żeby zabawić towarzystwo - odpowiada konfidencyjnym szeptem, rozgląda się wokół, połyskując na pokaz zębami. - Mamy tu okropnie ważnych klientów. Peter! - Daje przyjacielskiego szturchańca mężczyźnie ze spaloną słońcem łysiną. Krzywię się z niesmakiem. - Co słyhać? Znasz Trevora Headlinga? Koniecznie musisz go poznać. - Zjawia się kolejny człowiek w garniturze, a następnie jakaś koleżanka lub klientka w krótkiej czarnej sukience i okularach w rogowych oprawkach. Potem przyłącza się jeszcze jedna kobieta, w limonkowozielonej sukni, młodsza i mniej onieśmielająca. Prawdopodobnie jedna z sekretarek, o których wspominała Ruth. Zostaję przedstawiona jowialnie jako „druga połowa”, a czuję się jak zbędna połowa, nie mając pojęcia, co ze sobą zrobić.

Bycie żoną ma przedziwne aspekty. Koleżanki Toma traktują mnie uprzejmie, ale ze skępowaniem. Mężczyźni zazwyczaj życzliwie mnie ignorują. Nie warto ze mną ani flirtować, ani rozmawiać, gdyż nie mogę im się na nic przydać. Jestem niewidzialna. Tom w innym środowisku wydaje się obcy, nie lubię go takiego.

Rozglądam się za dziewczynami. Po przeciwnej stronie werandy dostrzegam Lindę i Joannę. Joanna ubrana w jaskrawoczerwoną suknię uśmiecha się do mnie sztywno. Linda wygląda na jeszcze smuklejszą i bardziej blond w bladozielonej tunice. Wracają do rozmowy. Czuję się wykluczona i odrzucona. Zaczynam wpadać w panikę, nie chcę wyglądać jak sierota bez przyjaciół. Nawet przekłeta Rona pogrążona w rozmowie przy barze, spowita warstwami szyfonu, sprawia wrażenie bardziej obytej niż ja. A jeśli wszyscy wiedzą, że Tom ma romans z Annette? Co, jeśli się nade mną litują? O Boże. Gdzie jest Chloe? Albo Ruth? Albo Pam? Wreszcie widzę Tarę. Przypomina Evę Longorie, krągła, drobna, na niebotycznie wysokich obcasach. Po chwili tracę ją z oczu. Gruby, starzejący się mąż oprowadza ją po sali, jakby się chwalił rodowodową klaczą. Uśmiecham się, myśląc o jej masażystce. Może jednak na świecie istnieje jakaś zakamufLOWANA sprawiedliwość.

Mężczyźni odwracają się do mnie plecami, więc nie chcąc sprawiać wrażenia społecznej kaleki, przyłączam się do grupki kobiet otaczających Lindę i Joannę, które witają mnie ze sztucznym entuzjazmem. Topię nieśmiałość w kolejnym drinku i wdaję się w pogawędkę na temat dzieci. Ku mojej nieopisanej uldze pojawia się Chloe. Lawiruje wśród tłumu w swojej połyskliwej sukience, przyciągając wszystkie spojrzenia.

- Moja przyjaciółka, Chloe - przedstawiam.

Kobiety patrzą na nią wrogo, jakby spodziewały się, że z marszu wskoczy na ich mężów.

- Chloe. Linda. Joanna. Ehem, przepraszam, zapomniałam, jak masz na imię. Ach, oczywiście, Sally. Ee, Emma, tak? Sophie. Żony kolegów Toma.

- Bardzo mi miło - mówi z uśmiechem Chloe.

Mamroczą coś w rodzaju mało przekonującego stwierdzenia, że im także, po czym obrzucają nieskazitelne nogi Chloe nieprzyjawnymi spojrzeniami.

- Popatrz, to Pam! - woła Chloe. - Z Ruth. I... ojej, Alex? Tak, to Alex.

Ruth i Alex wyglądają, jakby czuli się niezręcznie w swojej obecności. Ruth podchodzi, gdy tylko nas zauważa. Pozostałe kobiety uprzejmie się odsuwają, jak najdalej od Chloe, przy której zapewne czują się grube i niemodne.

Ruth potrząsa głową.

- To jest jakaś kompletnie surrealistyczna sytuacja - mówi szeptem. - Nikogo tu nie znam oprócz was. Jestem jak dzieciak w nowej szkole. O dwadzieścia lat za stara, żeby się tak czuć.

- Baniałuki! - odpowiadam. - Wyglądasz wspaniale. Nie byłam pewna, czy cię dziś zobaczę - dodaję ciszej. - Alex wrócił?

- Nie! Jednak poprosił, abym przysłała. Nie przyznał się nikomu w biurze do naszych problemów. Chorobliwie obawia się plotek, zależy mu na zachowaniu pozorów.

- Zachowałeś się bardzo wspaniałomyślnie.

- Tak. Bezczelny jest, wiem. Nie chciałam przychodzić, w ostatniej chwili zmieniłam zdanie. Ty mnie zainspirowałaś.

- Ja?

- Pomyślałam o tym, ile pracy wkładasz w swoje małżeństwo. Co prawda jako feministka uważam, że to obciachowe, ale jako żona jednak cię podziwiam. Nie chcę mieć do siebie za jakiś czas pretensji, że za mało zrobiłam.

Ściskam ją pokrzepiająco za rękę, a ona uśmiecha się z wdzięcznością. Mam bardzo miłe uczucie, iż zostaniemy przyjaciółkami na bardzo długi czas. Nadciąga Pam.

- Rety, Chloe! - woła, przesuwając dłońmi po śliskim złotym materiale jej sukni. - Wspaniale, że nosisz jeszcze takie stroje, jakie wszystkie nosiłyśmy w wieku dwudziestu pięciu lat.

Chloe i ja wymieniamy rozbawione spojrzenia. Pam jest mistrzynią w serwowaniu fałszywych komplementów, zwłaszcza kiedy czuje się zagrożona. Oczywiście, nie ma powodów. Promienie chylącego się ku zachodowi słońca rozświetlają jej włosy i skórę, zachwycające zdrowym wyglądem. Zwykle ciężarne śmiertelniczki mają rozszerzone pory, błyszczące od potu, ale nie Pam. Trzeba jednak przyznać, że nie dorównuje Chloe pod względem seksapilu. Pam to typ kobiety, które mężczyźni wybierają na żony. Chloe jest raczej typem kochanki. Może dlatego, że Pam wysyła jasne sygnały, że chce domu i stabilizacji, a Chloe wręcz przeciwnie.

- Alarm - szepcze Chloe, trącając mnie między żebra.

- Annette. Nie tam. Po lewej.

Zamieram w bezruchu i wpatruję się w tłum. Nie ona. I to też nie ona. Wreszcie ją dostrzegam. Nagle widzę wszystko jak za mgłą, doznaję strasznego poczucia odrealnienia. Annette. Nastroszone włosy, obcisła sukienka koktajlowa w czerwone maki, te jej nogi... Nie. Cholera. Ma na nogach granatowe szpilki, które przymierzałam.

- O Boże. - Chwytam się rozpaczliwie ramienia Chloe.

- Włożyła te przeklęte buty.

- Nie. - Zakrywa usta dłonią. - Niech to diabli, rzeczywiście. - Mruga do mnie. - Świetne są.

- Co tam? - wtrąca się Pam, wietrząc sensację. - Na kogo patrzycie? Znalazłyście Tarę?

- Och, nic takiego - mówię pośpiesznie, ale jest już za późno.

Pam podążała za moim otumanionym wzrokiem.

- To nie Tara! - woła z przejęciem, chwytając mnie za łokieć. - To Annette Eastern! Rety. Naprawdę ona. Seth wspominał, że może się pojawić.

Mam ochotę nią potrząsnąć, żeby przestała się wpatrywać bałwochwalczo i zwracać na siebie uwagę.

- Tak? - odzywam się piskliwie, usiłując nadać głosowi obojętny ton.

Pam kraśnieje aż po obfity dekolc.

- Czyż nie jest przepiękna? Gdybym była facetem, tobym się zakochała!

Poczucie zagrożenia prawie zwała mnie z nóg.

- Dobrze się czujesz, Sadie? - Ruth spogląda na mnie z troską. - Coś się stało? Zbladłaś jak ściana.

Wychyłam całą zawartość szklanki i sięgam po kolejnego - trzeciego? czwartego? - drinka. Nie udało mi się zachować trzeźwości.

- Uspokój się, na litość boską. Wyglądasz, jakbyś miała jakiś atak - szepcze Chloe. - Odwróć się do niej tyłem. O tak. Odwracamy się. Odwracamy.

Wolałabym nie tracić Annette z oczu, ale robię, co mi każe.

- Pamiętaj, żeby mnie ostrzec, jeśli podejdziesz za blisko.

- Czytałaś wspaniały poradnik psychologiczny Annette pod tytułem „Oczyść swoje serce na wiosnę”, Ruth? - pyta Pam. - Bardzo ci polecam.

- Nie lubię poradników. Jeżeli małżeństwo da się naprawić po przeczytaniu jakiejś książki, to znaczy, że wcale nie było zepsute. Wierz mi, znam się na tym trochę.

- Nie potrafię się z tym zgodzić - protestuje z zapalem Pam. - Po przeczytaniu jej książki - ma świetne buty! - odeszłam od chłopaka i...

Boże, będą się kłócić o Psychoviagrę. To jakiś koszmar. Zaczyna mi huczeć w głowie, zamykam oczy, lecz muszę je natychmiast otworzyć, gdyż mam wrażenie, że stracę równowagę. Chyba się upiłam.

Tom podchodzi i obejmuje mnie ramieniem w talii, jego oddech pachnie szampanem.

- Panie wybaczą na chwilę. Chcę kogoś przedstawić żonie.

Jego nienaturalny oficjalny ton działa mi na nerwy. Uśmiecham się i nie daję tego po sobie poznać.

- Jesteś pijana? - pyta szeptem, prowadząc mnie na bok. - Chwiejesz się na nogach.

- Przez niewygodne buty. - Robię, co mogę, żeby sprawiać wrażenie trzeźwej. Skupiam się na każdym kroku. Tom krzywi się z dezaprobatą. Nic nie mówi. Nie to miejsce. Nie ten czas.

- Dobra. Dwa słowa wstępu - mówi cicho. - Właśnie podpisała wspaniały kontrakt wydawniczy. Mam w tym swój udział. Mówię ci, skarbie, dzięki niej dostanę awans.

Staję jak wryta, szampan szumi mi w głowie.

- O kim mówisz, Tom?

- O Annette Eastern - syczy w odpowiedzi, popychając mnie do przodu. Trzyma rękę na moich plecach. - Bardzo chce cię poznać.

- Błagam, nie - mamroczę ledwie słyszalnie. Zamieniam się w kamień, podłoga mieni mi się przed oczami. Walczę o utrzymanie się na nogach. Wcale nie dlatego, że jestem pijana.

- Aha! Oto i ona! - woła radośnie. - Annette! Nasza piękna i sławna klientka. Właśnie ciebie szukałem.

Annette odwraca się w naszą stronę z oślepiającym uśmiechem.

- Tom, kochany Tom. Mój ulubiony człowiek Andersona. - Śmieje się uwodzicielsko, odgarnia włosy z twarzy i zamyka mojego męża w przesadnie czułym uścisku.

- Poznaj moją żonę - mówi Tom, wydostając się z jej objęć.

- Miło mi cię poznać, eee... - Zamyka moją dłoń w mocnym uścisku.

- Sadie - odpowiadam, usiłując stać się jak najmniejsza.

Tom przygląda mi się podejrzliwie. Muszę jedynie przetrwać pięciominutową rozmowę o niczym, potem udam, że muszę iść do toalety albo że Chloe mnie woła...

- Czym się zajmujesz, Sadie? - pyta monotonna Annette ze swoim amerykańskim akcentem, zerkając ponad moją głowę, jakby rozglądała się za ciekawszym rozmówcą.

- Och, niczym właściwie. Mam małego synka i... - Pozwalam włosom opaść na twarz. Taki kamuflaż.

- Nie bądź przesadnie skromna - wtrąca wesoło Tom.

- Sadie jest utalentowaną florystką.

- Florystką? - powtarza wolno Annette, odsuwa się o krok i spogląda na mnie z nagłym zainteresowaniem.

- Naprawdę?

- Tak. Ja tylko... - Wpatruję się uparcie w guziki swojej sukienki.

Annette przenosi wzrok z mojej postaci na Toma, nozdrza jej się rozszerzają.

- Wyglądasz dziwnie znajomo. Spotkałyśmy się już?

- O nie. Na pewno bym zapamiętała - zapewniam zupełnie nieprzekonująco.

- Może układałaś dla Annette bukiety w poprzednim wcieleniu - śmieje się Tom z lekkim zażenowaniem, wyczuwając napięcie między nami.

Na twarzy Annette pojawia się wyraz wściekłości, rozpoznała mnie.

- Ty... Ty nie... - Jej nozdrza drżą niepohamowanie, jakby wciągała ogromne ilości powietrza. - Czy przypadkiem nie układałaś dla mnie kwiatów parę tygodni temu? Przypominasz do złudzenia dziewczynę, która... - Widzę po jej minie, że nie ma już żadnych wątpliwości. Wie. Szykuję się na najgorsze. - Nie nazywasz się przypadkiem Sadie Drew?

- Taaa - odzywam się bełkotliwie. Jestem odurzona alkoholem i zdezorientowana.

- Wybacz, Tom - warczy Annette, kładąc wypielegnowaną dłoń na ramieniu mojego męża. - Obawiam się, że miałam już okazję poznać twoją żonę. Prawda, Sadie? Nigdy nie zapominam twarzy.

- Naprawdę? - dziwi się Tom. - Co za dziwny zbieg okoliczności. A gdzie?

Głośno przełykam ślinę, moje oczy patrzą błagalnie. Nie może mi tego zrobić. Przecież nie wywoła chyba publicznej awantury?

Wysuwa przed siebie jedną stopę.

- Poznajesz te buty, Sadie? - drażni się ze mną.

Nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa. Potrząsam głową z niepewnym uśmiechem, udaję zaskoczenie.

Tom nie spuszcza ze mnie wzroku, przyklejony uśmiech ledwie się trzyma.

- Sadie, co się dzieje?

- Zatrudniłam twoją żonę do układania kwiatów, Tom.

- Nic mi nie mówiłaś! - woła wstrząśnięty.

Annette wskazuje Chloe, która stoi kilka metrów od nas i przygląda się z przerażeniem.

- Ta kosmetyczka nas ze sobą skontaktowała. Dziewczyna w złotej sukience. Chyba ma na imię Chloe.

- Co za przypadek! - Tom stara się zachować pozory wesołości. Żyła na jego szyi zaczyna pulsować. Wyczuwa, że coś jest nie tak, i zastanawia się, czemu nic mu nie powiedziałam.

- Bardzo ładne bukiety - kontynuuje Annette sarkastycznie, jej oczy ciskają gromy. - Śliczne peonie. - Przerywa. Zapada straszliwa cisza. Przed burzą. - Ale, niestety, zastałam florystkę buszującą w mojej szafie.

Na początku czuję wyłącznie upokorzenie, które jednak po chwili - jak za naciśnięciem jakiegoś przełącznika - zmienia się w całkiem co innego. Opuszcza mnie strach, zostaje wściekła furia.

- Zabieraj łapy od mojego męża - warczę.

- Sadie! - Tom zakrywa usta dłonią, rozgląda się, czy nikt z jego kolegów nie słyszał. - Przestań, proszę.

Annette zdejmuje rękę z ramienia Toma, ścisła mocno czerwoną torebkę.

- Z pewnością wiedziałaś, że razem pracujemy. Czy o to ta cała afera?

- Co takiego? - Tom spogląda to na mnie, to na Annette. Jest bardzo blady. - Co tu się dzieje?

Czuję pulsowanie krwi i ogień pod skórą. Nie potrafię dłużej udawać. Nie jestem dobrą żoną. Jestem wstrętną, wkurzoną, zdradzoną babą.

- Widziałam was w Wolseley! Szliście pod rękę! Czytałam dedykację! A o czym niby mam nie wiedzieć, co?

- O czym ty mówisz? - pyta Annette.

- Napisz poradnik, jak odbić męża innej kobiecie.

- Boże, Sadie. - Tom chwyta mnie brutalnie za ramię.

- Przepraszam, Annette. Moja żona się upiła.

- Zostaw mnie! - Wyrywam się.

- Ona potrzebuje pomocy, Tom - stwierdza Annette.

Pomocy? Jak ona śmie, wyniosła suka. Szarżuję na nią z drinkiem w ręku, orientuję się, co zrobiłam, dopiero na widok jej ochlapanej sukienki. Natychmiast trzeźwieję.

33

Łzy płyną mi po policzkach niekontrolowanymi strugami, nie nadążam ich ocierać. Z trudem łapię oddech, patrzę przez okno taksówki, ale niewiele widzę. Tom był taki wściekły i rozczarowany - jakbym mu zrujnowała nie tylko karierę, ale całe życie. Nigdy mi nie wybaczy. Wybiegając z przyjęcia bez płaszcza, zostawiwszy za sobą zgłiszcza małżeństwa, napotkałam wzrok Rony; nigdy dotąd nie widziałam jej tak triumfującej. Nie mogę uwierzyć w to, co właśnie zrobiłam. Wysiłki, żeby być lepszą żoną, doprowadziły mnie do szaleństwa. Co we mnie wstąpiło? Mama byłaby wstrząśnięta.

Płacę za kurs taksówkarzowi i wysiadam. Znam tylko jedno bezpieczne miejsce, do którego mogłam przyjechać. Biegnę do drzwi i naciskam dzwonek.

- Sadie, dobrze się czujesz? - pyta zdumiona Angie.

- Mogę wejść? - szlocham.

- Chwileczkę. - Zostawia mnie w korytarzu, by wrócić po kilku sekundach. - Proszę, wejdź. Pani Enid czeka w salonie.

- Dzięki, Angie. - Przekręcam lodowatą kryształową klamkę.

- Och, nie ten salon. - Angie uśmiecha się. - Tamten.

Tajemniczy niedostępny pokój? Naprawdę? Uchylam delikatnie drzwi.

- Mogę wejść, Enid?

- Zapraszam. - Moja wiekowa przyjaciółka siedzi wyprostowana na białej sofie o złotych nóżkach, przypominających ptasie szpony. Jest zachwycona moim widokiem. - Wspaniała niespodzianka. Cieszę się, że mnie nie porzuciłaś całkowicie.

Rozglądam się po pokoju. Nie dostrzegam niczego intrygującego ani tajemniczego. Wygląda podobnie jak drugi salon, ten sam kształt i rozkład, jedynie wyposażenie nieco bardziej szykowne, trochę teatralne: ciężkie zasłony z czerwonego aksamitu, puszysty biały dywan, poduszki w lamparcie cętki, ogromne chińskie wazy i całe mnóstwo fotografii - przyjęć, jachtów, ludzi - na ścianach i półkach.

- Usiądź, proszę. - Reaguje na mój płacz z właściwą sobie powściągliwością, podaje mi chusteczkę.

Siadam na sofie naprzeciwko Enid.

- Przepraszam, że cię nachodzę. Nie miałam dokąd pójść.

- Zawsze jesteś tu mile widziana. Wszystkie moje dziewczyny mogły wpadać o każdej porze dnia i nocy. Wieczorami nudzę się niemiłosiernie. - Przerywa i mruży oczy. - Tusz ci się rozmazał na policzku, moja droga. Nie, na lewym. Ojej, strasznie się popłakałaś.

Ocieram twarz chusteczką, pociągam nosem.

- Przepraszam. Wiem, że wyglądam okropnie.

- Poprosimy Angie, żeby nam podała coś mocniejszego na uspokojenie nerwów, a potem... - w niebieskich oczach Enid pojawia się radosna niecierpliwość - ...wszyscyutko mi opowiesz.

Nie daję się długo prosić. Wyrzucam z siebie całą kompromitującą historię. Enid od czasu do czasu kiwa głową albo wybucha śmiechem. Nie dostrzegam komizmu sytuacji.

Kiedy kończę, nie od razu zaczyna mówić. Wydaje mi się, że mija wieczność, zanim się odzywa.

- Sadie, kochana dziewczyno... To wszystko nie układa się w żadną logiczną całość. Na pewno niczego nie pominęłaś?

- Nie.

Przygląda mi się z powątpiewaniem, nie wierzy.

- Ta Annette wydaje się wiarygodna, choć irytująca. Prawdopodobnie flirtuje z twoim mężem. Jednak im dłużej się nad tym zastanawiam, tym większego nabieram przekonania, że gdyby Tom cię zdradzał, starałby się być miłszy. Paradoksalnie wasz związek byłby o wiele łatwiejszy.

- Ale mówiłaś... - Podsycala moje podejrzenia, a teraz się wycofuje? Za późno!

- Długo się nad tym głowiłam. - Patrzy na mnie przenikliwie. - Czy twój mąż miał już kiedyś romans?

Zasycha mi w ustach, w mojej głowie szaleją żywioły, nie potrafię wydobyć z siebie ani jednego słowa.

Enid kręci głową, połyskują brylantowe kolczyki w jej uszach.

- Kim ona była?

Przejrzała mnie. Tylko jedna osoba potrafiła mnie zawsze tak dokładnie rozszyfrować: moja mama. Wiedziała, kiedy coś pomijam milczeniem. Domyślała się, że wydałam na coś sto pięćdziesiąt funtów, choć twierdziłam, że tylko pięćdziesiąt. Bardzo długo odpychałam od siebie to wspomnienie. Nie wiem, czy będę w stanie o tym opowiedzieć nawet teraz, nawet Enid. To był nasz sekret: mój, Toma i mamy - zmowa milczenia. Zakopaliśmy go głęboko w rutynie codziennych obowiązków.

- Byliśmy świeżo po ślubie. Ja w ciąży. On... - Słowa parzą mi język. - Pojechał do Toronto sam, żeby zrobić rozpoznanie, podczas gdy ja zamykałam nasze sprawy w Londynie.

- Ach, samotni mężczyźni za granicą. - Enid kiwa domyślnie głową. - Katastrofa. Jak myślisz, czemu żony dyplomatów wszędzie podróżują ze swoimi mężami? - Wzdycha. - Długo trwała ta przygoda?

- Jedną noc.

- Powiedział ci?

- Zadzwoił zapłakany następnego ranka. Powiedział, że był bardzo pijany i został sam na imprezie. - Przerywam. Nie chcę sobie wyobrażać Toma z inną kobietą. - Nie zapamiętał nawet jej imienia.

- Łzy, wyznania... - Enid potrząsa głową. - Boże. Nie miał zbyt dużej wprawy, prawda? Oczywiście przyjął go z powrotem.

- Byliśmy o włos od rozstania. Wszystko się rozpadło, nie chciałam już lecieć z nim do Toronto. - Ocieram łzy. - Nie da się chyba odbudować zaufania po czymś takim.

- Nie zawsze, ale zapewniam cię, że to możliwe. Trzeba podjąć świadomą decyzję o odbudowie. Samo nie dzieje się nic. - Enid popija drinka. - Skoro nie odeszłaś, musiałaś mieć nadzieję.

- Byłam skołowana, kompletnie nie wiedziałam co robić. Mama doradziła mi, żebym dała Tomowi szansę. Ona go znała... - Mam ją wyraźnie w pamięci, jej obraz z tamtego dnia. Wpada do mojego mieszkania nieco zdyszana od biegu, siada na brzegu łóżka - jest południe, a ja nie mogę wstać z łóżka, nie mogę jeść ani spać - wyjmuje chusteczki z pudełka w kwiatki i podaje mi je jedna po drugiej. Przytula mnie, zapewniając, że będę żałować, jeśli z nim zostanę, ale jeśli się rozstaniemy, będzie jeszcze gorzej. Powinam przynajmniej spróbować mu wybaczyć ze względu na nasze nienarodzone dziecko.

- Wybierałam mniejsze zło. Tom rozpaczliwie pragnął do mnie wrócić. Powiedział, że zachował się autodestrukcyjnie, po raz ostatni dopuścił do głosu swój lęk przed zaangażowaniem. Nigdy niczego tak bardzo nie żałował. Zaklinał, że pragnie rodziny bardziej niż cegokolwiek na świecie.

Mokra od łez słuchawka telefoniczna przy uchu, dźwięki klaksonów kanadyjskich taksówek w tle, wrażenie, że moja przyszłość wisi na włosku - wszystko to pamiętam przeraźliwie wyraźnie. Często myślę, że zachował się jak egoista, usiłując zrzucić z siebie ciężar poczucia winy za pomocą rozmowy telefonicznej. Stało się: ot, pijacki wybryk, o którym wolałabym nie wiedzieć.

- To takie banalne.

- Banalne, bo prawdziwe. Wykazałaś się odwagą w tym wszystkim, Sadie. I mądrością.

- Nie jestem o tym przekonana. Wszystko się zmieniło, straciło na wartości. W Toronto traktował mnie z taką czułością, że aż bolało. Przygniatało go poczucie winy, nie stawiał mi żadnych wymagań. - Uśmiecham się na wspomnienie niezliczonych bukietów kwiatów, gorącej czekolady ze Starbucksa i masażu stóp. - Po jakimś czasie uznałam, iż rana się zagoiła. Byliśmy szczęśliwi w Toronto. W jakiś taki oderwany od rzeczywistości sposób. Po powrocie do Londynu i stracie dziecka znów się popsuło - wyrzucam z siebie bolesne słowa. Pod powiekami wzbiera kolejna fala łez. Nie chcę zalewać się bez końca łzami, siedząc na niepokalanie białej sofie, wstaję i zaczynam chodzić po pokoju, by odreagować wypływające ze mnie strach i smutek. Przyglądam się fotografiom na ścianie, twarzom szczęśliwych ludzi, żyjących w mniej skomplikowanych, za to bardziej eleganckich czasach, atrakcyjnych ludzi na jachtach, w kabrioletach, na grzbiecie słońca. Jedna osoba pojawia się wyjątkowo często na fotografiach w towarzystwie Enid i Alberta. Przystojny blondyn w kapeluszu.

- Kto to jest?

Enid podnosi się z uśmiechem i pewnym trudem. Staje chwiejnie obok mnie, przytrzymując się oparcia kanapy.

- A to, moja droga, jest Archie. Prawda, że zabójczo przystojny?

- O tak. Pojawia się na wielu zdjęciach. Krewny?

- Nie. - Enid stuka sękatym upierścienionym palcem w szkło. - Albert bardzo go lubił.

- Ach. - Siadam na sofie, udało mi się opanować atak płaczu. - Czy nie będzie zbyt wielkim nie-taktem z mojej strony pytanie, dlaczego zamykasz ten salon? Bardzo mnie to zaintrygowało.

- Za dużo pytań, Sadie. - Enid siada z wysiłkiem. - To ja miałam zadawać pytania.

- Przepraszam. Byłam ciekawa.

- Nie zapraszam tu prawie nikogo.

- Wiem.

- Albert wolał, aby ten pokój wraz ze zdjęciami pozostawał zamknięty. Nie lubił pytań. - Uśmiecha się przebiegle, unosi do góry brew. Po chwili dodaje: - Chyba mogę ci odpowiedzieć, Sadie... Archie. On nazywał się Archibald Crane. Był... tym trzecim w naszym związku.

- Byliście kochankami? - pytam z zaskoczeniem, czując się jak drobnomieszczańska ciotka.

- Och, nie. Broń Boże - zaprzecza Enid. Przyglądam się uważniej fotografiom. Na większości z nich mężczyźni stoją obok siebie, objęci ramionami, Enid nieco z boku lub za nimi.

- Archie był kochankiem Alberta? - żartuję.

- Tak. - Enid kiwa ze smutkiem głową.

- O Boże. Ale... ale przecież... - To jakiś absurd. Albert miał kochanka mężczyznę? - Twierdziłaś, że wasze małżeństwo było idealne!

Enid wybucha śmiechem.

- Nie idealne, kochanie. Nigdy tak nie powiedziałam. Mówiłam, że spędziliśmy ze sobą pięćdziesiąt osiem lat jako małżonkowie. Pod wieloma względami nasz związek był udany. Bardzo kochałam Alberta, był moją bratnią duszą. - Spogląda na fotografię trojga młodych ludzi, tulących się do siebie na wietrznej plaży. - Kochany Albert.

- Nie rozumiem.

Z piersi Enid wydobywa się przeciągłe westchnienie.

- On był kompletnie rozdarty na połowę, ale z wiekiem jego rozterki stawały się coraz mniejsze. Wszyscy nauczyliśmy się akceptować sytuację. Nie potrafił tego zwalczyć. Ani ja. Poznał Archiego w rok po tym, jak zaczęliśmy się spotykać. Grywali w szachy w tym pokoju, aż do ostatniego dnia przed śmiercią Alberta. Żartowaliśmy sobie, że to salon tylko dla chłopców, ich królestwo.

- Gdzie jest teraz Archie?

- Przeżył Alberta tylko o kilka miesięcy. Lekarze stwierdzili zawał, ja podejrzewam, iż pękło mu serce.

- Jak mogłaś to znieść przez tyle lat, Enid? - Ja nie potrafię znieść nawet myśli, że Tom je śniadanie z Annette, a ona dzieliła się Albertem z innym mężczyzną? Niewyobrażalne. - Jak ty...

- Zrozumiałam, że nigdy nie będzie należał do mnie cały. Na początku trudno mi się było z tym pogodzić - naiwnej, głupiotkiej, romantycznej młodej mężatce. - Przerywa. - Dzieci nigdy się nie pojawiły.

Postanawiam nie zadawać więcej pytań, widząc grymas bólu na jej twarzy. Bardzo chciałabym umieć ją pocieszyć.

- Bardzo pragnęłam dzieci, Sadie, ale to pragnienie z czasem przyblakło. Nie zawsze tak się dzieje, w moim wypadku tak właśnie się stało. Zaczęłam doceniać wolność, swobodę, podróże, czas na czytanie i pisanie, życie z Albertem. - Wzdycha. - Wiem, że to może wydawać się dziwne, lecz pod wieloma względami był wspaniałym mężem, doskonałym towarzyszem, nadzwyczaj lojalnym, zapewnił mi cudowne życie. - Uśmiecha się z czułością. - To bardzo wiele. Drugi człowiek nigdy nie będzie twoją własnością. Złudzeniem jest przekonanie, że możesz wnikać w myśli i pragnienia innej osoby. Jeśli żyjesz taką iluzją, żyjesz w kłamstwie.

- Nie mogłabym zaakceptować takiego układu.

Enid wzrusza ramionami.

- Miałam swoje dziewczyny. Całkiem dobrze się bawiłam, moja droga. - Podchodzi powoli do kominka i unosi do góry fotografię. - Oto Stanley. - Stanley ma jasne włosy i karnację, okrągłą wesołą twarz, figlarne ogniki w oczach.

- Kolejny z...

- O, nie! - odpowiada ze śmiechem Enid. - Stanley przez wiele lat przyjaźnił się ze mną. - Mru-ga porozumiewawczo.

- Och, rozumiem. Ojej. Twój...

- Otóż to.

- Co się stało ze Stanleyem?

- Zmarł na udar - informuje rzeczowo. - Zabawne, że Albert był dużo bardziej zazdrosny o Stan-leya niż ja kiedykolwiek o Archiego. Mężczyźni potrafią być okropnie zaborczy.

- Jestem zdumiona, Enid. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. - Zapomniałam o własnych proble-mach.

- Z pewnością zastanawiasz się teraz, co daje mi prawo doradzania komukolwiek w sprawach małżeńskich.

- Cóż, coś w tym rodzaju. - Słuchałam żony dyplomaty homoseksualisty, która żyła w czworo-kącie. Już Chloe by mi lepiej doradziła.

- Oczywiście, że nie posiadam najmniejszych kwalifikacji, moja droga. Wiem tylko jedno: nie ma jednej właściwej drogi. Ani idealnych małżeństw. Każdy z nas ma swoje sekrety, każdy z czegoś rezygnuje. Kilka zasad pozostaje niezmiennych bez względu na okoliczności. W to wierzę.

- Czy do tych zasad należy malowanie ust na czerwono?

- Tak! Zarówno Stanley, jak i Albert uwielbiali moje pomalowane usta! - zapewnia kategorycz-nie Enid. - Albert lubił, kiedy się stroiłam. Nie cierpiał myśli, że mogłabym się zamienić w nudną starą babę.

Cóż, to się zgadza z moim wyobrażeniem na temat homoseksualistów.

- Wolał, żebyś udawała szczęśliwą?

- Nie musiałam udawać. No, może na początku. Kiedy się dowiedziałam, byłam zdruzgotana, lecz nie przestałam go kochać. Rozwód nie wchodził w rachubę w tamtych czasach w naszym środo-wisku. Mój płacz i narzekanie wydobywały z niego najgorsze cechy. Oboje udawaliśmy szczęśliwych przez jakiś czas, zanim wreszcie naprawdę się tacy poczuliśmy.

Na zewnątrz, pod oknem, słychać jakieś poruszenie, odgłos rozmowy, po chwili rozlega się dzwonek u drzwi.

- Kto to może być? - dziwi się Enid. - Jeden niezapowiedziany gość to rzadkość, dwóch grani-czy z cudem.

Kolejne naciśnięcie dzwonka i w korytarzu słysząc kobiecy śmiech. Angie puka do drzwi salonu.

- Sadie, ktoś do ciebie.

- Do mnie? - Krew odpływa mi z twarzy. Czyżby Annette albo Tom mnie śledzili?

- Nie bój się, to tylko ja! - woła Chloe.

- Chloe? Chloe Mansfield? Chodźże tu, dziewczyno. Cudownie cię widzieć! - Enid się rozpromienia. - Ach, tam do diabła, Angie, przyprowadź wszystkich tutaj! Niechże Albert ma wreszcie jakieś odpowiednie towarzystwo.

Chloe wbiega do pokoju, za nią wchodzi Pam, Tara i Ruth, która staje niepewnie w progu i rozgląda się wokół szeroko otwartymi oczami.

- Dziewczęta! - Enid klaszcze w ręce. - Macie cudowne kreacje! Wejdźcie, czujcie się jak u siebie w domu.

- Co wy tu wszystkie robicie? - pytam oszołomiona. - Skąd wiedziałyście, gdzie mnie szukać?

- Kobieca intuicja. - Chloe całuje Enid przelotnie w oba policzki. - Cześć, dziecinko.

Dziecinko? Chloe nazywa Enid dziecinką?

- Siądź tu koło mnie, kochana Chloe. Wy także, dziewczęta. - W Enid wstępuje nowe życie. - Bardzo mi się podoba twoja złota sukienka, Chloe. Olśniewająca. Drinki dla wszystkich prosimy, Angie. Coś mocnego.

Nie nadażam za biegiem wydarzeń. Jestem zdezorientowana i wytrącona z równowagi, na moich oczach mieszają się dwa różne światy.

- Poznaj Pam, Tarę i Ruth. Opowiadałam ci o nich...

- Jestem zachwycona - mówi Enid, uśmiechając się radośnie. Sprawia wrażenie zupełnie zdrowej i silnej. - Dajcie odpocząć roztańczonym stopom.

Pam, Tara i Ruth siadają posłusznie w rzędzie na wprost Enid, wyglądają jak małe dziewczynki, stremowane obecnością nauczycielki. Uśmiechają się nieśmiało.

- Martwiłyśmy się o ciebie, Sadie. Dobrze cię zastać w jednym kawałku - odzywa się Chloe. - Twój płaszcz.

- Rzuca mi okrycie, a ja chowam w nim zawstydzone oblicze.

- Wolalabym nie być w jednym kawałku. Zrobiłam straszną scenę?

Pam, Tara i Ruth wpatrują się w swoje pantofle. Chloe odpowiada z łagodnym uśmiechem:

- Tak, Sadie. W dobrym starym stylu. Zaimponowałaś mi.

- Nieźle wymierzyłaś - dodaje Ruth.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś o swoich podejrzeniach wobec Annette? - W głosie Pam słychać urazę.

- Zrobiłybyśmy rozeznanie i odkryły, że to bzdura! Nie ufasz nam? Stąd te tajemnice?

- Wiem, wiem. Nie powiedziałam, chcąc sobie zaoszczędzić wstydu. Bałam się, że powiecie mężom, a oni Tomowi. Teraz to mnie samej wydaje się głupie. Powinnam była wam się zwierzyć, zanim mnie to przerosło. - Krzywię się. - Co Annette zrobiła po moim wyjściu?

- Pomogłam jej doprowadzić się do porządku. Znam sposoby na wywabienie każdej plamy - mówi Pam. - Zachowała się z wielką godnością, zważywszy na okoliczności.

- Została na przyjęciu?

- Nie, wyszła. - Chloe uśmiecha się i zdejmuje jakiś pyłek z ramienia Enid. - Razem ze swoją dziewczyną Sarą.

- Co? - Wpatruję się w Chloe z niedowierzaniem. - Z jaką Sarą? Chcesz powiedzieć, że... O nie.

- Nic się nie zmienia! - woła radośnie Enid, klaszcząc w ręce.

Chloe wygładza sukienkę.

- Tak, Sadie. Właśnie tak. Jej dziewczyna wygląda groźnie, masz szczęście, że nie oberwałaś. Wysoka brunetka w typie Angeliny Jolie.

- Nie. - Ukrywam twarz w rękach. - Dlaczego Tom mi nic nie powiedział? Cholera.

- Może nie wiedział. - Chloe wzrusza ramionami. Pam zaczyna się śmiać.

- Gdybym wiedziała, sama bym spróbowała ją poderwać. Dla takiej kobiety jak Annette byłabym gotowa zmienić orientację.

- No, no. - Enid niemal mruczy z zadowolenia. Nie wiem, czy to dżin z tonikiem, czy towarzystwo sprawiło, że odmłodziła o dziesięć lat w ciągu pięciu minut. - Życie bywa fascynująco ciekawe.

Angie podaje drinki, moje wyczyny odchodzą w zapomnienie, teraz w centrum uwagi wszystkich znajduje się Enid. Tara prosi nieśmiało o pokazanie domu. Gospodyni oprowadza nas po całym parterze, opowiadając historyjki dotyczące poszczególnych fotografii i pamiątek. Dziewczyny nie kryją podziwu i zachwytu. Przechodzimy do ogrodu, wieczór jest ciepły, niebo rozgwieżdżone. Angie zapala świece i lampiony, podaje srebrną tacę z kolejnymi koktajlami. Rozmawiamy i śmiejemy się z ożywieniem. Frank Sinatra śpiewa w tle.

- Przepraszam - mruga do mnie Enid. - Ale uwielbiam Franka. Zrób głośniej, Angie! Nic nie słyhać. - Okrywa szczelniej ramiona kaszmirowym szalem. - Od dawna się tak świetnie nie bawiłam. Całkiem jak za dawnych czasów.

Tara i Ruth kiwają się na bujanych krzesłach, pękając ze śmiechu. Wszyscy zapomnieli, że jestem skompromitowana i mam męża, który mnie nienawidzi. Nie potrafię dłużej udawać, iż nic się nie stało i nasze życie to zabawa.

- Dziewczyny, wracam do domu. Muszę przestać chować głowę w piasek.

- Niech nikt inny nie waży się wychodzić! - zastrzega ze śmiechem Enid. - Zatrzymuję was jako zakładniczki. Nie ruszać się.

Chloe przytula mnie na pożegnanie.

- Pora jeszcze niezbyt późna - mówi. - Zostanę dłużej.

- Ja poproszę jeszcze jednego na drogę - woła Ruth nieco bełkotliwie, nie przestając się bujać na ogrodowym krześle.

- Wiecie co? Ja też - przyłącza się Pam. Patrzymy na nią z niedowierzaniem, nie wzięła do ust łyka alkoholu od początku ciąży. - Przestańcie się gapić. Kieliszek wina nie zrobi z mojego dziecka kaleki, nie pod koniec trzeciego trymestru. Jestem znudzona do łez własnym rozsądkiem. - Pam zaczyna tańczyć na trawie. - No co jest? Bawimy się!

- Ostrzegałam, że pod maską doskonałej pani domu kryje się prawdziwa bestia - rzuca rozba-
wiona Chloe.

- Bawcie się dobrze - mówię na pożegnanie i odchodzę smutno w mrok, coraz dalej od światła i śmiechu.

- Sadie! - woła Pam.

Odwracam się, unosi do góry kieliszek.

- Powodzenia! Pamiętaj, że jesteśmy z tobą!

Pozostałe kobiety śmieją się i także podnoszą kieliszki.

- Jesteśmy z tobą!

34

W salonie pali się światło, lecz kiedy otwieram drzwi wejściowe, wita mnie cisza. Czuję, że to cisza przed burzą. Po chwili z salonu dobiega głos ojca.

- Moja córka nigdy by nie zrobiła czegoś takiego. Cóż za podła insynuacja!

- Tak! - wtóruje mu Loretta. - Właśnie!

Na powrót zapada cisza, a potem rozlega się kaszel Rony. Drzwi zamykają się za mną ze szczę-
kiem.

- To ty, Sadie? - woła tata.

Wkraczam do salonu jak na salę sądową. Zastaję w nim Ronę, Toma, Lorette i ojca, który ner-
wowo przemierza pokój. Nie potrafię spojrzeć Tomowi w oczy.

- Gdzie byłaś, córciu?

- U Enid, przyjaciółki, która mieszka w St John's Wood. - Przyglądają mi się, jakbym postradała
zmysły. - Nie wiedziałam... dokąd pojechać. Wszyscy byli na przyjęciu.

- Też coś! - prycha Rona. Z jakiegoś powodu zaskakuje mnie jej widok w turkusowej wyjścio-
wej kreacji, którą miała na przyjęciu. Jej oczy nie patrzą już triumfalnie, lecz ciskają gromy.

Zerkam na Toma, a on odwraca wzrok i wygląda przez okno.

- Przepraszam, Tom - zwracam się do niego szeptem.

- Powiedz to z większym przekonaniem! - krzyczy Rona.

- Pohamuj się! - strofuje ją mój ojciec, po czym zwraca się do mnie łagodniejszym tonem: - Dobrze się czujesz, duszko?

Kiwam głową, czuję ucisk w gardle. Oby się tylko nie rozplakać. Nie chcę, żeby Tom pomyślał, iż uważam się za ofiarę. Dotykam delikatnie jego ramienia.

- Tom...

Odrąca moją dłoń, jakby go oparzyła.

- Przestań - mówi.

- Przepraszam - powtarzam. - Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Doskonale zdawałaś sobie sprawę, że miał awans na wyciągnięcie ręki - warczy Rona. - I musiałaś wszystko zaprzepaścić. Ty, która powinnaś go wspierać!

- Daj spokój, mam - ucisza ją Tom. - Daj jej spokój.

Podchodzę bliżej, chcąc go dotknąć, ale wiem, że znów mnie odepchnie. Chciałabym mu powiedzieć, że nie mogę już dłużej odcinać kawałków własnej osobowości, że bardzo długo tłumiałam gniew, który wykijał ze mnie niekontrolowanym wybuchem na przyjęciu.

- Nie uciszaj mnie - odpowiada opryskliwie jego matka. - Co masz zamiar zrobić, Tom? Udawać, że nic się nie stało?

- Nikt nie zamierza niczego udawać, kobieto - wtrąca się tata. - Uspokój się, proszę. Nie pomagasz nikomu takim zachowaniem.

Rona podchodzi ze złością do ławy.

- Nie dość, że obraziłaś najważniejszą klientkę męża, to jeszcze i to? - Podnosi do góry różowy notes. - Jak zamierzasz się z tego wytłumaczyć?

- Co, u licha, mój notatnik ma wspólnego z czymkolwiek?

- Dokładnie to samo im mówiłem, córeczko. - Ojciec obejmuje mnie opiekuńczo ramieniem.

Atmosfera gęstnieje z minuty na minutę, robi mi się duszno. Tom wygląda przez okno, wyrażnie się ode mnie separując. Zostałam sama.

- Podniosłam go przez przypadek - mówi powoli, delektując się każdą sekundą. - I przeczytałam...

- Czytałaś mój notatnik? - Dławię się z oburzenia.

- Zostawmy tę rozmowę na jutro, Rono. Dziś wszyscy najedliśmy się już dość nerwów - proponuje szybko ojciec.

- Właśnie - przyłącza się Loretta, poklepując mnie nerwowo po ramieniu. - Jak się czujesz, Sades?

Wyczuwam, że zaszło jakieś potworne nieporozumienie. Rona otwiera zeszyt.

- Nie, John, nie mam zamiaru niczego zostawiać. Chodzi o mojego syna.

- Mamo - wtrąca się rozpaczliwie Tom. - W zasadzie to sprawa między mną a Sadie.

Nie pojmuję, czemu wszyscy wydają się potwornie zdenerwowani z powodu notesu.

- To tylko zwykły notes, na litość boską. Rona podchodzi bliżej.

- Czy w tym domu w St John's Wood, w którym pracujesz, mieszka jakiś mężczyzna? - pluje jadem.

- Nie. Mąż Enid zmarł. Żadnych mężczyzn. A, jest siostrzeniec, ogrodnik. Eddie.

- Eddie! - woła triumfalnie i patrzy wymownie na Toma, który odwraca wzrok. - Eddie! - powtarza jak prokurator po złapaniu oskarżonego w pułapkę. Zerka na zeszyt. - To wszystko wyjaśnia.

- Czy ktoś może mi łaskawie wyjaśnić, jakiej zbrodni się dopuściłam poza zrujnowaniem wszystkim wieczoru, życia i nie wiem czego jeszcze poprzez wylanie drinka na dekolt kobiety, którą podejrzewałam o romans z moim mężem?!

Zapada martwa cisza, czuję na sobie zdumione spojrzenia.

- No, że kurwa! - Tom uderza pięścią w ścianę. Rona parska pogardliwym śmiechem.

- Ty masz czelność posądzać mojego Toma o niewierność. O mój Boże! Dziewczyno, ty wygrałaś los na loterii! Ty... ty... - Wymierza we mnie palec wskazujący.

- Uważaj na słowa, Rono - ostrzega ojciec. - Nie waz się obrażać mojej córki.

- Właśnie - powtarza Loretta, kładąc rękę na biodrze jak sześciolatka szykująca się do bójki.

- Twoja córka to ulicznica! - syczy moja teściowa.

- Jak śmiesz! - ryczy ojciec na cały głos, sprawiając, że wszyscy cofają się o krok. Nie słyszałam tego tonu od liceum.

- Bardzo was wszystkich proszę - mówi Tom. - Przestańcie.

- O co wam właściwie chodzi? - pytam z czystą desperacją.

Rona otwiera notes i czyta prześmiewczym tonem.

- „Trzymaj sekret blisko swego serca. Nigdy nie zdradzaj go mężowi!”. Albo to: „Udawaj, że jesteś szczęśliwa, aż sama w to uwierzysz, kochanie. E”. Przerzywa i czeka na moją reakcję.

Zamykam i otwieram usta, z których nie wydobywają się żadne słowa. Tom przyciska głowę do ściany.

- „Wyszukane igraszki. E” - czyta dalej głosem ociekającym sarkazmem. - „Cel już blisko, moja droga. E”.

- Dość! - wrzeszczy mój ojciec.

- W porządku, tato. Na litość boską, Rona, te notatki pisała Enid, nie jakiś cholerny ogrodnik.

- No widzisz - cieszy się tata. - Mówiłem, że istnieje jakieś niewinne wytłumaczenie.

Rona zerka na Toma, a on na nią. Tom szybko odwraca wzrok, nie patrzy mi w oczy.

- Mamy w to uwierzyć? - prychna pogardliwie Rona. - Sadie, uważasz nas za idiotów? Nagle zaczynasz się malować! Uśmiechasz się po raz pierwszy od wielu miesięcy... Wszystko jasne. I to nagłe zainteresowanie domem, krzątanie się. Od początku wiedziałam, że coś musi się za tym kryć.

- Głupstwa pleciesz. Notatki pisała Enid. Ona... - Zasycha mi w ustach, nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, w mojej głowie pojawia się pustka. - Ona dawała mi rady, jak być lepszą żoną.

Zerkam na Toma w nadziei, że dostrzeże ironię. Nie dostrzegł. Rona zatrząskuje notes.

- Stać cię na więcej, Sadie. Mogłabyś być bardziej kreatywna.

- Naprawdę... - Patrzę na Lorette, na tatę, wreszcie na Toma. Nagle dociera do mnie, że nawet ojciec mi nie wierzy!

Ktoś naciska klakson samochodu tuż pod oknem salonu. Rona zakłada torebkę na ramię.

- Moja taksówka przyjechała. Jedziesz ze mną? - zwraca się do Toma. - Spakuj się szybko. Teddy za mną tęskni jak szalony, biedaczek siedzi sam w domu.

- Powinien zostać i porozmawiać z żoną - mówi ojciec.

Po krótkiej chwili wahania Tom idzie na górę. W salonie zapada martwa cisza. Wraca z wypchaną torbą sportową.

- Gdzie idziesz? - Chwytam go za rękę. - Do Hampshire? Bądź rozsądny.

- Potrzebuję czasu - mówi zmęczonym głosem. - Nie wiem, co myśleć.

- Błagam cię. Za parę dni lecisz do Nowego Jorku. Nie możemy tego tak zostawić.

Wydaje się niezdecydowany, Rona otwiera drzwi i daje mu znak, aby wyszedł.

- Potrzebuję przerwy, Sadie. - Wychodzi, a ja czuję się zdradzona.

- Wszystko dobrze, skarbie. - Loretta poklepuje mnie po ramieniu.

- Nie! - Odpycham ją.

- Sadie! - upomina mnie tata.

W oczach Loretty zbierają się łzy.

- Dlaczego mnie nie lubisz, Sadie?

Czuję ból, gniew i milion innych emocji, których nie potrafię nazwać ani zrozumieć. Coś we mnie pęka, wyładowuję się na Loretcie, ponieważ na kimś muszę.

- Kiedy zaczęłaś spotykać się z moim ojcem?

- Co ty insynuujesz, moja droga? - pyta on.

- Cóż, to było dość nagłe, prawda? Mama chorowała jakiś czas. Mieliście romans? - Sama siebie nienawidzę za te słowa, chciałabym je cofnąć natychmiast po wypowiedzeniu.

- Nie - odpowiada cicho tata. Jest smutny, a nie zły. - niesprawiedliwie nas osądzasz. Kochałem mamę do samego końca. Nadal ją kocham. Kazała mi przysiąc... - Głos mu się rwie.

- Co przysiąc?

- Powiedz jej, John - mówi Loretta.

- Że będę się spotykał z innymi kobietami i ponownie się ożenię, jeśli zdołam. Nie patrz tak na mnie, córciu. Mówię prawdę. Wiesz, jaka była mama. Uważała, że sam sobie nie poradzę. Nie udźwignę żałoby. Może miała rację.

Rzeczywiście, to całkiem do niej podobne. Mama mogłaby tak postąpić.

- Ogłoszenie w prasie było jej pomysłem - dodaje.

- Jezu.

- Sadie - wtrąca się Loretta. - Wiem, że daleko mi do twojej mamy. Może masz rację i nie zasługuję na twojego ojca. Wiem jedno: bardzo go kocham. - Uśmiecha się z czułością. - I staram się go uszczęśliwić.

Prostolinijność Loretty sprawia, że uginam się pod ciężarem poczucia winy i nienawiści do samej siebie.

To jest jak przerwanie tamy. Zaczynam zanosić się szlochom, z trudem łapię oddech, drżę na całym ciele. Po raz pierwszy od wielu lat rzucam się w ramiona ojca i zalewam mu koszulę łzami, jak mała dziewczynka. Przyciska mnie do siebie i gładzi po głowie.

- Już dobrze, słoneczko. Wszystko będzie dobrze.

35

Oczywiście, że nic nie jest dobrze. Tom nie wraca i nie odbiera telefonów. Zostawiam mu mnóstwo nieskładnych wiadomości, zaczynających się od polubownego „porozmawiajmy”, stopniowo coraz bardziej desperackich w wyrazie („Zadzwoń, kurwa, do mnie!”), przechodzących w dziecinny szantaż pod wpływem alkoholu („Bo zmienię zamki!”). Wreszcie dostaję od niego w odpowiedzi wiadomość tekstową o treści: „Pogadamy później”. Jego dojrzała, spokojna reakcja doprowadza mnie do szału, czuję się paskudnie. Wspominam straszny moment, kiedy zaatakowałam Annette. Z ulgą wybieram się do pracy u doktora Prenwooda. W drodze powrotnej postanawiam odwiedzić Enid.

- Nie ma jej w domu - słyszę od Angie. - Wyszła z dziewczętami.

- Z jakimi dziewczętami?

- Pam zaprosiła ją na lunch. Mówiła, że ty także będziesz.

No tak, teraz rozumiem. Mam w telefonie mnóstwo nieodebranych wiadomości od Pam. Nie byłam w stanie do nich zajrzeć, spodziewając się zbyt wielu pytań. Żegnam się z Angie i powoli idę w stronę samochodu. Zaczyna siąpić drobny deszczyk, nad moją głową zbierają się ciężkie białe chmury. Zamykam oczy. Wracam myślami do tamtej burzy. Wicher. Kwiaty u moich stóp. Przytrzymuję się żelaznej klamki w obawie, że zemdleję.

- Sadie, co się stało? - Głos brzmi głucho, jakby dochodził z drugiej strony tunelu.

Czuję na plecach dotyk ciepłej dłoni. Otwieram oczy.

- Witaj, Eddie. Przepraszam, zamyśliłam się. Wszystko w porządku.

- Nie wydaje mi się.

- Wpadłam na chwilę, byłam w okolicy.

Eddie przygląda mi się uważnie. Przystojna opalona twarz lśni od deszczu.

- Obejrzyj ogród? Zasadziłem mnóstwo nowych roślin. - Spogląda w niebo. - Przejaśnia się, to tylko przelotna mżawka.

- Powinam wracać.

- Daj spokój. - Kładzie mi rękę na ramieniu z miłym uśmiechem. - Skoro już tu jesteś... Może poprawi ci się humor.

Wchodzimy do ogrodu, trzymając się pod rękę. Deszcz przestaje padać, słońce wychyla się zza chmur. Eddie pokazuje mi kamelie, bez i rzadki gatunek lawendy francuskiej o sztywnym jak szczoteczka do zębów kwiatostanie. Siadamy razem na starej huśtawce w głębi ogrodu. Delikatne huśtanie i ciepłe promienie słońca pomagają mi się zrelaksować po raz pierwszy od nieszczęsnego incydentu na imprezie. Oddycham głęboko.

- A zatem wreszcie powiedziała ci o Archiem? - pyta rozbawiony Eddie, odpychając się od ziemi stopami obutymi w ciężkie ogrodowe gumki.

- Dlaczego ty mi nie powiedziałeś?

- Nie wypadało mi.

- Chyba nie - odpowiadam z podziwem dla jego lojalności i dyskrecji. Czuję ciepło jego ciała tuż obok mojego, mam nieprzyzwoite myśli. - Zastanawiające, prawda? Małżeństwa bywają dziwaczne.

- Właśnie - wzdycha.

Siedzimy obok siebie w miłej ciszy, huśtając się delikatnie i wdychając intensywny zapach bzów.

- Enid bardzo dobrze sobie radzi - mówię. - Wczorajszego wieczoru naprawdę była w swoim żywiole.

- Tak - zgadza się ze śmiechem. - Słyszałem. Powiedziała mi, że dziewczęta wróciły! Oszalała ze szczęścia.

- Kładzie dłoń na moim ramieniu, a ja zamieram, nie mam odwagi się poruszyć. Dopiero kiedy zabiera rękę, wraca mi oddech.

- Bardzo jej pomagasz. Od dawna nie była tak szczęśliwa. Dałaś jej cel w życiu. Dzięki tobie chętniej wstaje codziennie z łóżka.

- Cieszę się - odpowiadam wzruszona. - Wszystkich poza nią unieszczęśliwiam.

Eddie coraz mocniej wychyla huśtawkę w obie strony, łańcuchy skrzypią, wiatr rozwiewa mi włosy i chłodzi skórę. Przybliży się do mnie, obejmuje ramieniem.

- Uuhuu! - krzyczy.

Ciało ogarnia dziwna gorączka, kręci mi się w głowie, jego zmysłowa bliskość sprawia, że moje serce zaczyna szybciej pompować krew, życie nabiera barw.

- Sadie - odzywa się, zatrzymując huśtawkę. - Jest coś...

- Wygląda na zawstydzonego. - Chciałbym cię o coś spytać. Mam nadzieję, że się nie obrazisz...

- On się rumieni! Seksowny i pewny siebie ogrodnik spłonął rumieńcem! Domyślam się, co chce powiedzieć. Nie wiem, czy będę w stanie go odrzucić. Dość mam robienia tego, co powinnam, bycia dobrą żoną. Skoro wszyscy uważają mnie za potwora, to niechże ja przynajmniej coś z tego mam.

- Nie wiem, jak... - śmieje się nerwowo. - Czuję się jak nastolatek. O. Mój. Boże.

- Bardzo cię lubię, Sadie.

Każda komórka mojego ciała śpiewa ze szczęścia.

- Masz głowę na karku.

- Wiele osób by się z tobą nie zgodziło - odpowiadam piskliwie.

- Czy jeśli zadam ci pytanie, mogę liczyć na szczerą odpowiedź? - Przygląda mi się natarczywie. - Nie staraj się mnie chronić przed prawdą.

Przetykam głośno ślinę. Jeszcze chwila, a całe sąsiedztwo usłyszy dudnienie mojego serca. Znow mam piętnaście lat.

- Tak?

Eddie odchrząkuje. Zamykam oczy w oczekiwaniu na wspaniały dylemat moralny. Nigdy nie sądziłam, że stanę przed takim wyborem. Miałam rację: wszystko może się przytrafić samotnej kobiecie w parku. Burza. Enid. Wszystko wiodło do tej jednej chwili.

- Czy sądzisz, że Chloe mnie polubiła?

- Chloe? - Prostuję się, otwierając oczy.

- Ten ton nie wróży najlepiej. Czyżby sam pomysł wydawał ci się szokujący?

- Nie, nie. Skądże znowu - jąkam się. Boże, jaka jestem głupia. - Nie spodziewałam się...

- No tak. Dziwna byłaby z nas para, ale ona naprawdę mi się podoba. Bardzo. Pierwsza dziewczyna od Bóg wie jak dawna, która... cóż, jest po prostu wspaniała. Na pewno nie może się opędzić od zachwyconych nią facetów, dlatego nie chciałbym robić sobie nadziei, ale... Zastanawiam się, czy nie popełnię gafy, zapraszając ją na randkę. To znaczy... - chrząka. - Chyba chciałbym zwyczajnie spytać, czy ona ma kogoś?

Jadąc do domu, porównuję swoje uczucia do uczuć osoby, która weszła na tor pędzącego pociągu, a ten okazał się pociągiem widmem. Ja nieszczęsna wyobrażałam sobie nie wiadomo co... Stara smutna dziwaczka, Sadie Drew. Miła jako przyjaciółka, wredna jako żona, absurdalna jako kochanka. Eddie i jego zielone oczy... Kulę się na wspomnienie własnej nieuzasadnionej pewności siebie. Spoglądam za siebie na rezydencję Enid, która jeszcze niedawno wydawała mi się szalenie imponująca, a

teraz jest jednym z wielu domów. Bardziej zaniedbanym niż inne, za to z ładniejszym ogrodem. Nie jest to bynajmniej siedziba specjalistki od rozwiązywania małżeńskich konfliktów. Mieszka tu śmiertelnie chora wiekowa dama, zakochana w mężu homoseksualście, która znajduje rozrywkę we wtrącaniu się w życie innych ludzi. A seksowny ogrodnik nie utuli mnie w ramionach, jeżeli mąż porzuci. Czarnoksiężnik z Oz okazał się nagraniem z głośnika ukrytego za kurtyną.

36

Danny jest niespokojny, towarzyszy mi nawet w łazience, gdy robię siku. Martwię się, że kiedyś wróci do tego dnia na kozetce u terapeuty. Płacze, oglądając „Tomka i przyjaciół”, Percy zмага się z żywiołem wody.

- Tatuś się nie utopi w powodzi? - pyta przez łyżę.

- Nie - odpowiadam spokojnie. - Tatuś pojechał odwiedzić dziadka i babcię...

- Ona nie lubi, jak się do niej mówi babciu, mamo.

- ...w Hampshire, a potem leci na kilka dni do Nowego Jorku. Niedługo wróci.

W nocy śpi obok mnie. Ja potrzebuję jego bliskości bardziej niż on mojej. Rano budzę się w kałuży siuszków.

W poniedziałek rano wraca Tom. Zbiegam na dół w majtkach i podkoszulku, marząc, żeby mnie przytulił. Lecz jego ramiona są dla mnie zamknięte. Postarzał się o dwadzieścia lat w ciągu dwóch dni. Nie wydaje się zachwycony moim widokiem.

- Powinniśmy porozmawiać - mówi monotonnym, beznamiętnym głosem. - Ale muszę teraz iść do pracy, jeśli nadal ją mam. Dlatego odłożmy to na później.

- Dziś lecisz do Nowego Jorku.

- Dopiero po południu. Najpierw wstąpię do biura. - Wchodzi na górę, ciężko stawiając stopy. Kiedy przechodzi obok, wyczuwam zmieniony zapach jego skóry. Pachnie potpourri i odświeżaczem powietrza w spreju. Otwiera szafę w sypialni i przegląda garnitury.

- Dlaczego mi nie wierzysz? - pytam cicho. Nasza sypialnia pachnie moczem.

- Nie wiem w co wierzyć. - Tom wkłada spodnie od granatowego garnituru.

- Daj spokój, Tom. Nie sądzisz chyba, że miałam jakiś cholerny romans. - Nie potrafię dłużej znieść niesprawiedliwych oskarżeń.

Widzę pulsującą żyłę na jego skroni, trzęsące się rękę.

- Nie jestem taka jak ty.

- Czy kiedykolwiek przestaniesz to wywlekać? - syczy przez zaciśnięte zęby.

- Nie! Zapisało się na zawsze. O tu. - Dotykam czoła. - Dziwisz się, że popadłam w paranoję?

Gwałtownie zaciska krawat.

- Popadłaś w paranoję? Ja bym to nazwał psychozą! Nie mogę uwierzyć, że przetrząsnęłaś garderobę Annette. Pojechałaś do jej domu! Jezu Chryste. - Jego oczy są zaczerwienione, jakby pił całą noc.

- A na swoją matkę się nie oburzasz, że myszkowała w moich rzeczach? Czym to się różni?

Przygląda mi się.

- Sposób, w jaki potraktowałaś Annette. I mnie... To strasznie dziwne. Co się z tobą dzieje? - pyta łamiącym się głosem. - Z nami.

- Próbowałam ratować nasze małżeństwo, Tom. Nie rozumiesz? - Dociera do mnie niedorzeczność własnych słów. Ratować małżeństwo? Jakbym była Supermanem.

- Sadie... - Patrzy na mnie jak na kogoś niespełna rozumu i mówi bardzo powoli: - Powinniśmy pójść na terapię albo...

- Albo co? Rozstać się?

Nie zaprzecza. Siadam na brzegu łóżka, chowam twarz w dłoniach, to cios w samo serce. Separacja. Przeraził mnie chłód tego słowa napawa mnie przerażeniem. Jak się znaleźliśmy w tym miejscu? Jak mogło do tego dojść?

- Ja po prostu... - Głos go zawodzi. - Czuję, że cię na każdym kroku rozczarowuję. Nie zapewniam poczucia bezpieczeństwa, nie spełniam potrzeb. - Siada obok mnie. - Mam wrażenie, że jestem bezużyteczny.

Tom czuje się bezużyteczny? Zaradny, pracowity Tom? Zupełnie mnie zaskakuje tym wyznaniem. Przecież to ja jestem bezużyteczna, to moja kwestia.

- Staram się postępować właściwie - kontynuuje szeptem. - Nie wiem, Sadie. Nie wiem, jak nam pomóc. - Patrzy na mnie pytająco. - Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek mi wybaczysz. Jeżeli rzeczywiście rozmawiałaś z Enid o tym, jak ratować nasze małżeństwo... Czuję się oszukany i zmanipulowany.

Nie potrafię wykrztusić z siebie ani słowa. Dociera do mnie cała prawda, rozpaczliwie pragnę się wytłumaczyć i nie wiem, od czego zacząć.

- Naprawdę ludziłaś się, że pudding wszystko rozwiąże? - pyta z ciężkim westchnieniem.

Nie ma sensu dłużej udawać, opadły wszystkie maski. Dom wygląda jak pobojuwisko, a ja jak nieszczęście. Nie zawracam sobie głowy prysznicem przed śniadaniem, na głowie mam poranny piorun z tłustymi kosmykami. Kosmetyki popadły w zapomnienie na dnie szuflady, gdzie w spokoju wyciekają z tubek. Czerwona szminka bardzo przypadła do gustu Danny'emu, używa jej do rysowania. Noszę luźne dresy i ulubione flanele. Nawet Danny ma na sobie wczorajsze dżinsy i górę od piżamy, ponieważ skończyły nam się czyste ubrania, a ja nie mogę wstawić prania, bo nie chce mi się kupić proszku. Wszystko wydaje się jakieś mało ważne. Robię sobie kawę z przeterminowanym mlekiem, a dziecko sadzam przed telewizorem z miską płatków i starą grzanką.

- Źle się czuję, mamusiu. - Przychodzi się przytulić. - Chcę do taty.

Boję się, że zafundowałam mu zatrucie pokarmowe. Przykładam rękę do jego czoła, jest rozpalone. Nie może się dziś rozchorować, mam dwa zlecenia. Daję mu dwie łyżeczki syropu, modląc się, by pomogło. Jak tylko temperatura spada, odprowadzam go do przedszkola, ponieważ tak robią normalne samolubne mamy. Straszna Hanna bierze go za rączkę i prowadzi na salę. Danny spogląda na mnie z wyrzutem, wspominam ten jego oskarżycielski wzrok podczas pracy. Dopiero po powrocie do domu sprawdzam telefon i odczytuję wiadomość od grubej Pat, która ogłasza swoją rezygnację. Kogo to obchodzi! I tak jej nie lubiłam, myślę, kasując tekst. Jest jeszcze informacja z przedszkola. Danny jest chory, proszą, bym po niego przyjechała. Serce podchodzi mi do gardła. To było dwie godziny temu.

Przekraczam dozwoloną prędkość, obawiając się najgorszego. Danny leży w przedszkolnej izolacji, małym zielonym pokoiku wielkości schowka na szczotki do zmiatania. Ma bardzo wysoką temperaturę.

- Nie chcieliśmy podawać żadnych leków bez uzgodnienia z panią - mówi Straszna Hanna. - Czy mały przechodził już ospę wietrzną? Ostatnio mieliśmy kilka przypadków.

- Ehm, nie. Nie sędzę.

- Wiedziałyby pani, gdyby chorował. - Kręci głową nad moją ignorancją. - Cóż, to może być ospa. Proszę tego nie lekceważyć.

Biorę na ręce swoje biedne chore dziecko, porzucone na pastwę gorączki i łez. Podczas gdy ja układałam beztrósko róże i pachnący groszek, on leżał opuszczony na różowym nylonowym prześcieradle. Po powrocie do domu okazuje się, że nie mam już więcej syropu przeciwgorączkowego. Telefoniuję do Pam, ponieważ ona mieszka najbliżej, i pytam, czy mogłaby mi trochę pożyczyć. Danny wygląda coraz gorzej, a ja umieram ze strachu. A jeśli to coś poważniejszego niż ospa wietrzna? Czy ospa wietrzna jest bardzo groźna? Ja chcę do mamy. Ona wiedziałyby, co robić.

Mama nie może mnie poratować, ale na szczęście okazuje się, że mogę liczyć na Pam. Wpada zdyszana od biegu, w zaawansowanej ciąży, krzycząc od progu:

- Gdzie jest pacjent?

Uzbroiła się w całą apteczkę, wyposażoną jakby wybierała się na misję do Afganistanu. Pędzi wprost do pokoju dziecinnego, jestem jej niewypowiedzianie wdzięczna.

Po chwili rozlega się ponowne pukanie do drzwi, których nie zdążyłam zamknąć. Wchodzą Ruth i Tara.

- Byłyśmy u Pam, kiedy zadzwoniłaś. Omawiałyśmy ten masochistyczny maraton. - Przygląda mi się dziwnie.

- Chciałyśmy cię zaprosić, ale nie odbierałaś telefonu. Nie będziemy przeszkadzać?

- Skądże. Wejdźcie. - Biegnę na górę do Pam i Danny'ego. Pam napełnia strzykawkę z wprawą narkomanki.

- Nie przestrasz się. Tak najłatwiej podać syrop - mówi, patrząc na mnie srogo. - Uspokój się, Sadie. Przestań przestępować z nogi na nogę. Wyglądasz strasznie. A jemu nic nie będzie.

Muszę jej zaufać. Ma dwoje dzieci i jest o wiele bardziej kompetentna ode mnie. Wciska syrop do buzi Danny'ego - biedaczek krztusi się i ma odruch wymiotny - po czym rozbiera go do naga.

- Musimy zbić temperaturę, żeby nie dostał konwulsji.

- Matko Boska, jakich konwulsji? Wiozę go na pogotowie!

- Nie panikuj, myślę, że dojdzie do siebie. Lekarstwo zaraz zacznie działać - uspokaja Pam, gładząc Danny'ego po główce. - Gdzie byłaś, Sadie? Dzwoniłam i dzwoniłam. Umówiłyśmy się z Enid na lunch któregoś dnia, chciałyśmy, żebyś do nas dołączyła. Dziwnie było bez ciebie.

- Nie odbierałam telefonu, przepraszam. - Odgarniam spocone włoski z czerwonej buzi Danny'ego. - Ciężki dzień. Ciężki tydzień.

- Wiem, wiem. - Obejmuje mnie pocieszająco.

- Krosty! Zobacz, Pam, jakieś dziwne krosty! - Wskazuję cztery guzki pod pachami chłopca. - Unieś rączkę, kochanie.

- No proszę, ospa - mówi z uśmiechem Pam. - Zostawię ci maść cynkową. - Podaje mi buteleczkę z różową substancją. - Smaruj tym krostki na noc i pilnuj, żeby się nie drapał. - Schodzi kołyszącym się krokiem na dół. Jestem wzruszona, ten klub żon ma swoje dobre strony. Głupio mi, że nie lubiłam Pam i zazdrościłam jej, okazała się nieocenioną przyjaciółką. Przytulam Danny'ego z całych sił, czuję nieopisaną ulgę, że nie zaatakował go jeden z morderczych wirusów, czyhających w piaskownicach, o których opowiadała Rona.

- To tylko ospa. To dobrze - szepczę w zaróżowione uszko.

- Wcale nie czuję się dobrze - marudzi.

Kładę go do łóżeczka i otwieram okno. Telefonuję do Toma, zgłasza się poczta głosowa, nie nagrywam wiadomości. Nie chcę, żeby pomyślał, że stosuję szantaż, by go zwabić do domu. Danny zasypia, a ja schodzę na dół.

Dziewczyny siedzą przy kuchennym stole i dyskutują z ożywieniem. Piją herbatę i jedzą czekoladowe ciasteczka, prawdopodobnie upieczone i przyniesione przez Pam. Opadam ciężko na jedno z krzeseł.

- Dzięki, nie trzeba było. Przepraszam za bałagan.

- Co się stało? - pyta Ruth.

- Ja. A sprzątaczką zrezygnowała.

- I tak była do niczego - konstatuje Pam.

- Uprzedzając wasze pytanie: moje małżeństwo także jest w ruinie - dodaję. - Udaję, że znów jestem singielką. Zrezygnowałam z bycia żoną i wróciłam do swojej dawnej niechlujnej postaci.

Zapada cisza, którą przerywa Tara.

- Ja także wpakowałam się w okropne kłopoty - mówi z przejęciem, mrugając niebieskimi oczami. - Właśnie opowiadałam Ruth, że przyzwyczaiałam się do niesamowitych orgazmów w wykonaniu Pana Szczęśliwe Zakończenie i teraz nie potrafię czerpać przyjemności z seksu z Nickiem. Czuję jakiś opór. Wiem, że sama zawiniłam, ale nie radzę sobie zupełnie.

Pam rzuca jej srogie spojrzenie.

- Taro, bardzo cię proszę. Nie rozmawiamy o tobie. - Pokażny brzuch daje jej pewien macierzyński autorytet.

- Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam - duka nieśmiało Tara, spuszczać wzrok.

- Wolę dyskutować o życiu seksualnym Tary. Wydaje mi się ciekawsze od mojego - mówię.

- Bądź poważna. - Pam żąda krwistych szczegółów na temat mojego zmasakrowanego małżeństwa. - Wyrzuć to z siebie, Sadie. Jestem pewna, że dasz sobie radę. Nie zrobiłaś nic strasznego. To tylko wylany szampan. Mogło być gorzej.

- No, mogła być krwawa mary. - Ruth puszcza do mnie oko.

- Tom wspomniał o separacji - wyznaję zaskoczona własną szczerością, która jeszcze kilka tygodni temu byłaby nie do pomyslenia.

- Nie! - wołają jednym głosem Tara i Ruth.

- Biedna Sadie. - Pam podrywa się z krzesła i zamyka mnie w uścisku. Jej zdrowa lśniąca skóra pachnie brzoskwiniami, jest miękka jak poduszczyk. Czuję się naprawdę podniesiona na duchu.

- Nie dziwię mu się, że nie może dłużej wytrzymać.

- A ja mu się dziwię. Gdzie on w ogóle jest? - prychnie gniewnie Ruth. - Skopię mu tyłek.

- Za oceanem. Pewnie rozmawia ze swoją matką przez skype'a. Rona nigdy mnie nie lubiła, potwierdziłam tylko jej najgorsze obawy. Nie mamy szans.

Dzwoni mój telefon komórkowy. Rzucam się ku niemu z nadzieją, że usłyszę głos Toma, ale to Chloe.

- Dzwonię kontrolnie - sprawdzić, czy nie siedzisz z głową w piekarniku.

- Piekarnik wypluły mnie z odrazą i kazał iść pod prysznic. Nie. Rozmawiam z Pam, Tarą i Ruth. Danny zachorował na ospę... Długo by opowiadać. Może wpadniesz? Dom jeszcze nie został uznany za zagrożenie przez stację sanitarną.

- Właśnie skończyłam pracę - odpowiada ze śmiechem Chloe. - Dzień jak co dzień. Obląkany model i wściekły pitbull imieniem Kicia. Przekłeta Kicia zżarła mi najlepszy puder. Szkoda gadać. Mam dla ciebie świeżą porcję plotecek i jestem niedaleko. Do zobaczenia za dziesięć minut.

Rozmowa schodzi na dylematy moralno-seksualne Tary. Idę na górę, zajrzeć do Danny'ego. Siadam na brzegu łóżeczka i wpatruję się w niego z czułością, kocham go nad życie. Kilka minut później do kuchni wkracza Chloe, słyszę śmiechy i podekscytowane głosy. Przypominam sobie pytanie Eddiego. Schodzę do gości. Chloe opiera się o zlew, ma na sobie obcisłe dżinsy, sportowe buty i bluzę. Jest piękna, radosna i pełna życia. Oczywiście, że Eddie oszalał na jej punkcie, podobnie jak każdy zdrowy mężczyzna.

- Dobra. - Przytula mnie mocno na powitanie. - Opowiadaj.

- Masz wielbiciela - mówię od razu.

- Uuu! - piszczy Tara.

- Tak? Kogo? - pyta podejrzliwie Chloe.

- Eddiego.

Nie dostrzegam żadnej reakcji. Biedny Eddie. Chloe z pewnością w ogóle go nie pamięta.

- Seksowny ogrodnik Enid ma na ciebie chętkę. Pytał, czy jesteś do wzięcia.

- Uuu. Ogródnik. - Ruth wymierza Chloe żartobliwego kuksańca w bok. - Jak w „Gotowych na wszystko”.

- Cudownie - wzdycha Tara.

- Dobry materiał na męża? - chce wiedzieć Pam.

- Bardzo - zapewniam.

- Powiedział ci? - Chloe wygląda na przerażoną.

- Pytał, czy jesteś wolna.

- Lubię go, ale nie jest w moim typie - oświadcza Chloe, jakby chciała zamknąć temat.

- Uuu - chichocze Tara. - Przyjmujemy postawę obronną.

- On chyba jest strasznie miły - rozplýwa się w zachwycie Pam.

- Przestańcie mnie swatać, wstrętne baby. Do cholery, nie zamierzam dołączyć do kółka gospodyń. Możemy porozmawiać na ciekawsze tematy?

Wszystkie jesteśmy nieco zaskoczone reakcją Chloe.

- Jakie ploteczki nam przywiozłaś? - Szybko zmieniam temat, żałując, że poruszyłam drażliwą dla przyjaciółki kwestię.

- A tak, ploty. - Krzywi się i wzdycha. - Powinam ci powiedzieć, choć to nic przyjemnego. Znajomy fryzjer słyszał o przyjęciu...

- Świetnie - mówię. - Wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy.

- Podobno wszyscy w firmie o tym mówią, ma tam paru klientów. Mniejsza z tym. Chodzi o to, że Annette podobno rezygnuje z usług agencji. Przykro mi, kochana. Wołałam ci powiedzieć.

38

Potrzebuję odwagi, żeby przeprowadzić pewien plan. Dzwonię do Trish z prośbą, by zaopiekowała się Dannym. Smaruję wypryski na jego ciałku różową maścią.

- Mamusia przyniesie ci śniadanko do łóżka, a jak zjesz, zasłonimy z powrotem żaluzje - szepczę mu do uszka. - Pośpisz sobie. Potem mamusia wyjdzie na chwileczkę, a Trish z tobą posiedzi.

- Tęsknię za tatusiem. - Danny zaczyna płakać.

- Tatuś wróci za parę dni, maleńki - mówię przez zaciśnięte gardło. Mnie także brakuje Toma. Tęsknię nawet za tym, co wcześniej drażniło: porannym marudzeniem, demonstracyjnym rozkładaniem gazety, robieniem zbyt mocnej herbaty i zostawianiem w zlewie parujących torebek po niej. Brakuje mi tego, jak przekręcał się na drugi bok, spychając mnie z łóżka. Jego chrapania. Całego naszego popapranego małżeńskiego życia. Świadomości, że wróci wieczorem. Wszystkiego, czego wcześniej nie doceniałam.

Wracają do mnie piękne wspomnienia z czasów narzeczeńskich. Jak życie, które przelatuje przed oczami umierającego, tylko że w tym wypadku umiera związek. Wyciągam z zakamarków pamięci dawno zapomniane szczegóły; kolor jego skarpetek na pierwszej randce (obrzydliwy odcień zieleni i szare paski), to, że piliśmy wtedy wytrawne martini, choć było wczesne popołudnie, kawałek oliwki, który przylgnął mi do zębów, zawstydzając śmiertelnie. Wyjął go i zjadł, a ja z miejsca się zakochałam. Wspominam także ważniejsze miłe gesty, które pogrzebałam w ostatnich miesiącach wśród morza pretensji. W zeszłym roku na moje urodziny sprawił mamie przelot pierwszą klasą do Toronto, chociaż ledwie mógł sobie na to pozwolić finansowo. Zjawiała się w progu, promieniejąc szczęściem, mimo przeraźliwej chudości i obwiązanej chustką łysej głowy. To był najpiękniejszy prezent urodzinowy w moim życiu. Wtedy po raz ostatni widziałam ją żywą.

Ocieram łzy rękawem, nie mam czasu na sentymenty. Muszę spróbować naprawić, co zepsułam. Przetrzęsam szafę w poszukiwaniu czegokolwiek czystego i niepogniecionego. Nie mam zbyt dużego wyboru. Wkładam czarne spodnie i białą bluzkę, połączenie, w którym wyglądam jak kelnerka. Staję przed lustrem. Staram się wcielić w rolę, jak radziła mi niegdyś Enid.

W powietrzu wiruje pełno pyłków, moje oczy schowane za ciemnymi szklami okularów zaczynają łzawić. Wsiadam w autobus jadący do Belsize Park. Obok mnie siada staruszka, wokół której unosi się nikła woń uryny, wyjmując paczkę chipsów bekonowych i zaczyna jeść. Niespokojny mężczyzna w czapce z daszkiem agresywnie zaczepia żółtą poręcz. Wsiadam i ruszam wolno w stronę mieszkania Annette, krzywiąc się na wspomnienie mojej ostatniej w nim wizyty. Nie mogę się zdecydować, żeby wejść do środka. Chodzę tam i z powrotem przed drzwiami budynku. Portier przygląda mi się podejrzliwie, zapewne podejrzewając, iż jestem ogarniętą obsesją fanką. Biorę głęboki oddech i przekraczam próg.

- W czym mogę pomóc? - pyta uprzejmie.

- Przyszłam do... - Nagle robi mi się słabo. - Do pani Eastern.

Portier próbuje się bezskutecznie połączyć z numerem.

- Przykro mi. Zdaje się, że jej nie ma w domu. Wychodzę z poczuciem porażki, ze spuszczoną głową.

Słyszę jakiś hałas, kroki i głosy.

- A, to pani. Przed chwilą ktoś o panią pytał. Nie nie zostawiła swojego nazwiska. Miłego dnia, pani Eastern - Obcasy uderzają w marmurową posadzkę. Staję pod ścianą i odwracam twarz, żeby mnie nie zauważyła. Wystraszyłam się, nie jestem przygotowana.

W polu mojego widzenia pojawia się najpierw stopa w szpilce z wężowej skóry, opalona szczupła kostka. Następnie szerokie niebieskie spodnie i zakiet w marynarskim stylu. Kaskada lśniących włosów. To ona. Przyciskam plecy do ściany, pragnąc z całych sił wtopić się w tło. Patrzę bezradnie, jak wychodzi na ulicę. Zrób coś, Sadie, ponaglę sama siebie. Idź za nią! Przez chwilę przebieram w miejscu nogami, zbierając się na odwagę. Wybiegam.

- Annette! - wrzeszczę. - Annette!

Zatrzymuje się w pół kroku, odwraca powoli, odgarniając włosy z twarzy.

- Tak? Znamy się? Zdejmuję okulary.

- Sadie. Żona Toma Harrisona. Florystka.

- Ty! - Wykrzywia się w gniewnym grymasie.

- Czy mogłabyś poświęcić mi chwilę? Chciałabym przeprosić.

Prycha pogardliwie i zaczyna odchodzić.

- Dziękuję. Wysłałam Tomowi rachunek za pralnię. Muszę bieć, żeby za nią nadążyć.

- Zajmę ci tylko pięć minut, Annette.

- Nie, dziękuję.

- Błagam.

Chyba wyczuwa moją desperację, ponieważ zatrzymuje się i spogląda na mnie z mniejszą złością.

- Pięć minut.

Stoimy tuż obok wejścia do dość przytulnie wyglądającej kawiarenki.

- Mogę postawić ci kawę?

Nie odpowiada, ale wchodzi do środka, kiedy otwieram przed nią drzwi. Siadamy przy małym żółtym stoliku, zamawia espresso. Idę za jej przykładem, choć zazwyczaj wybieram cappuccino. Espresso wydaje się bardziej odpowiednie, mocne i szybkie.

- Mam mało czasu - mówi. Przez moment dostrzegam w niej sympatyczną osobę. Charyzmatyczną i dość ciepłą, Głośno przetykam ślinę.

- Bardzo cię przepraszam, Annette. Nie ma usprawiedliwienia na to, co zrobiłam. W twoim mieszkaniu i na przyjęciu.

- Nie ma - zgadza się, beztrąsko popijając swoją kawę.

- Myślałam, że mieliście... - Słowo „romans” nie chce mi przejść przez gardło, brzmi całkiem niedorzecznie.

Nie muszę kończyć. Annette przez chwilę przygląda mi się z niedowierzaniem, po czym wybuchą szczerym, serdecznym śmiechem. Uśmiecham się z zażenowaniem.

- Dopiero potem dowiedziałam się, że masz dziewczynę.

Przestaje się śmiać, wzdycha, patrzy na mnie jak na irytujące dziecko.

- Niezależnie od tego, nie wdałabym się w romans z żonatym mężczyzną, Sadie. Dziękuję ci bardzo. A już z pewnością nie z Tomem.

- No tak. Oczywiście. Czuję się okropnie z powodu swojego zachowania na przyjęciu.

Wygląda na niewzruszoną.

- Twoje odejście z firmy uderzy w Toma, nie we mnie. A on przecież nic nie zawinił. Był taki dumny, że jesteś jego klientką.

- Sadie... - Odstawia filiżankę i rzuca mi surowe spojrzenie.

- Z agentem chcę mieć relację czysto zawodową. W chwili kiedy pojawiają się jakiegokolwiek wątki osobiste...

- Annette, błagam cię, żebyś jeszcze przemyślała swoją decyzję.

- Nie. Ona już została podjęta. - Jest w niej coś niezwykle pociągającego. Żelazna konsekwencja, pewność siebie i brak jakiegokolwiek chęci przypodobania się.

- Będzie zdruzgotany i będzie mnie obwiniał.

- I słusznie - potwierdza z uśmiechem.

- I słusznie.

Szybko wypija kawę, na białej porcelanowej filiżance zostają ślady czerwonej szminki.

- Mam nadzieję, że zrzuciłaś z siebie część ciężaru winy. Ja już muszę lecieć. - Zakłada na ramię dużą czarną torbę, ozdobioną mnóstwem srebra.

- Mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie? - ryzykuję, wyczuwając, że atmosfera między nami nie jest już napięta do granic możliwości.

- Byle szybko. - Zerka na zegarek.

- Radziłaś mu, żeby... - Uśmiecham się z zakłopotaniem.

- Żeby oczyścił swoje serce na wiosnę lub coś w tym rodzaju? Pozbył się ludzi, którzy go ograniczają i niepotrzebnego bagażu emocjonalnego? - Bawię się solniczką.

- Powinam była! - Pochyla się ku mnie. - Sadie, wyświadczę ci jedną jedyną przysługę. Dla dobra Toma będę z tobą szczerą. Tak, Tom bez przerwy prosił mnie o rady. Bardzo go lubię, lecz chwilami stawało się to irytujące. Odesłałam go do moich księżek.

Czuję ogromny smutek.

- Jeżeli chcesz usłyszeć moje zdanie: on się miota. Należy do rzadkiego gatunku mężczyzn zakochanych we własnych żonach. Chciałby, żebyś była szczęśliwa.

Wpatruję się w nią, niczego nie rozumiejąc.

- Naprawdę muszę wszystko tłumaczyć? Powinam cię za to skasować.

- Nie rozumiem - mówię bezradnie.

- Tom potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie po stracie dziecka. Panicznie boi się, że moglibyście stracić kolejne. Przeraził go twój ból. Umiera ze strachu na myśl, że mógłby stracić także ciebie. - Dodaje łagodniej: - Powiedziałam już wystarczająco dużo. Teraz pójdę. - Wrzuca pełną garść monet do słoika na napiwki i wychodzi, powiewając jasnymi włosami.

39

Delikatnie i z obawą otwieram drzwi niemowlęcej sypialni, do której nie zaglądałam od kilku dni. Jak zwykle, w odróżnieniu od reszty pomieszczeń, tutaj panuje nieskazitelny ład. Na kominku stoi wazonik z żółtym mleczem. Biorę głęboki oddech. Czyżbym zupełnie zatraciła kontakt z rzeczywistością? Przecież to była róża. Biała, jeszcze nierozwinięta, która powinna zachować świeżość co najmniej przez tydzień. Dotykam palcami sztywnych drobnych płatków. Nikt, oprócz mnie i Toma, tutaj nie zagląda.

Czuję się bardzo dziwnie, świat, który dotąd uważałam za realny, nagle zaczyna chwiać się w posadach, odsłaniając zupełnie inny obraz. Wracam pamięcią do poniedziałkowego poranka przed wylotem Toma do Nowego Jorku. Długo płakałam po naszej kłótni, siedziałam na limonkowej kanapie w salonie i zalewałam się gorzkimi łzami. Tom wyszedł do ogrodu, potem wrócił na górę. Myślałam, że się pakuje. Tak, to musiał być on, myślę chaotycznie. Ten mały kwiatek wszystko zmienia. Nie tylko ja oplakuję śmierć naszego dziecka. Nie potrafię oderwać wzroku od żółtych płatków, aż zlewają mi się w jedną plamę.

Wyciągam dłoń ku szafie, ale nie jestem w stanie jej otworzyć. Wolno wychodzę z pokoju, kręci mi się w głowie, ale nie mam już przejmującego wrażenia, że zostawiłam część siebie za zamkniętymi drzwiami. Wynurzam się na powierzchnię, do światła. Zaglądam do Danny'ego, całuję go w pstrokate czołko. On mi wystarczy, nagle doznaję olśnienia. Mam wspaniałego synka, który jest tuż obok! Powinnam jemu poświęcić całą energię, zamiast ją tracić na desperackie próby wypełnienia pustego miejsca po utraconym maleństwie. Całuję go jeszcze raz i jeszcze. Nie budzi się, lecz w kącikach jego ust przez chwilę drga uśmiech.

Dostaję wiadomość tekstową, gdy akurat trzymam telefon w ręku. Podskakuję z nadzieją, że Tom zapowiada swój powrót, ale nadawcą okazuje się Pam: „Chłopiec, trzy i pół kilograma, urodzony o 4.15, 2-godzinny poród bez znieczulenia! LOL Pam i Seth x.”

Czytam kilka razy. Chłopczyk. Ku własnemu zaskoczeniu i nieopisanej uldze nie czuję ani cienia zawiści czy goryczy, tylko ogromną radość ze szczęścia Pam, która urodziła zdrowego synka. Odślaniam zasłony w pokoju Danny'ego, wpuszczając promienie słońca.

Danny po raz pierwszy, odkąd zachorował, budzi się z uśmiechem. Nie ma już gorączki, uciążliwe swędzenie ustało, powoli wraca mu energia. Na śniadanie zjada cztery grzanki.

- Chcę na spacer - oświadcza.

- Och, skarbie. Na to chyba jeszcze za wcześnie.

- Jestem już dużym chłopcem, a nie dzidziusiem. - Przygważdża mnie karcącym spojrzeniem.

- Wiesz co? Masz rację. - Rzeczywiście, myślę z dumą. Mój synek dorasta i muszę mu na to pozwolić. - Chodź, łobuzie. Ruszamy w drogę.

W samochodzie Danny zerka we wsteczne lusterko i ostrzega mnie przed autobusami. Śpiewamy razem z Rolling Stonesami. Zatrzymujemy się przed elegancką, nieprzyzwoicie drogą kwiaciarnią, gdzie kupuję bukiet z jaśminu, irysów i glicynii. Wstępuję do kiosku obok po dużą paczkę żelków. Jedziemy w odwiedziny do Enid.

- Duży dom - mówi, odgryzając głowę zielonego misia.

- Należy do mojej przyjaciółki Enid. Opowiadałam ci o niej.

- Jest stara. Starsza od babci w niebie.

- Tak, to ona. - Uśmiecham się.

Powietrze pachnie kapryfolium. Danny staje na paluszkach i naciska dzwonek.

- Przyszłaś z synkiem! - woła z zachwytem Angie. - A co ci się stało w buzię, kochanie? - Dotyka delikatnie jego policzka.

- Ospa - wyjaśnia Danny.

- Ospa wietrzna. Już nie zaraża - dodaję pośpiesznie. - Enid zgodziła się, żebym go zabrała. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie! Wchodźcie. Enid czeka w ogrodzie. Ale... jest dziś w kiepskiej formie.

- Nie zabawimy długo - zapewniam, zastanawiając się, czy dobrze zrobiłam, zabierając energicznego trzylatka z ospą w odwiedziny do śmiertelnie chorej staruszki. Enid wierzy, że lubi dzieci, ale - jak wiele bezdzietnych osób - może się zmęczyć po pięciu minutach. Przejście przez dom zajmuje całe wieki, gdyż Danny na każdym kroku odkrywa nowe cuda, które ja zazwyczaj mijam zbyt szybko: kosz na śmieci w kształcie nogi słonia, miecz na ścianie, fotografie tygrysów. Dziś patrzę na wszystko jego oczyma i popadam w zadumę nad niezwykłym życiem Enid.

Moja wiekowa przyjaciółka jeszcze nas nie widzi, siedzi wyprostowana na krześle z kutego żelaza pod powyginaną gałęzią starej jabłonki. Wygląda bardzo mizernie, jest o wiele za szczupła. Kimono z papugami, ściągnięte w kok srebrne włosy, zamknięte oczy, blada skóra. Uśmiecha się, wystukując palcami rytm melodii, której ja nie słyszę.

Po raz kolejny przypomina mi babcię, która robiła dokładnie to samo: siadała w ulubionym fotelu, zamykała oczy i słuchała swojej wewnętrznej muzyki. Mama przewracała wtedy oczami i szeptała: „A babcia znowu na dyskotecę”. Zaczynałam się śmiać, wytrącając ją z zamyślenia i narażając siebie oraz mamę na karcące spojrzenie.

- Enid. - Kładę delikatnie rękę na jej ramieniu. - To ja, Sadie.

Zmarszczki na jej twarzy pogłębiły się, otwiera powoli oczy i rozpromienia się na widok Danny'ego.

- Przyprowadziłaś synka! - Przywołuje go do siebie gestem upierścienionej dłoni.

Danny spogląda na mnie pytająco, niepewnie przestępuje z nogi na nogę. Biorę go za rączkę i podchodzimy razem. Wpatruje się w Enid, jakby była jakimś eksponatem muzealnym.

- Mam ospę - oświadcza bardzo poważnym tonem.

- I tak mi się podobasz - odpowiada Enid, uśmiechając się szeroko. - Weź sobie krzesło, usiądź obok mnie i opowiedz coś o sobie. Popatrz, Angie przyniosła nam poczęstunek.

Na poczęstunek składa się bogactwo ciast, kolorowych pianek i rogalików ociekających kremem. Danny rozluźnia uchwyt, rozdarty między potrzebą trzymania się maminej spódnicy a wielkim apetytem na słodczyce.

- Angie, czy mogłabyś odszukać stare zabawki? - prosi Enid.

- Już to zrobiłam. Zaraz przyniosę - odpowiada skwapliwie, a kilkanaście sekund później przed Danny'ym stoi kuferek pełen zabytkowych samochodzików, ręcznie malowanych klocków i piłek.

Jest zachwycony, natychmiast puszcza moją dłoń, uśmiecha się do Angie i Enid, po czym z zapalem rozpakowuje zawartość pudła.

- Zdobyłaś jego serce - mówię.

- Zabawkami i słodczymi. Chłopcy tak mało potrzebują do szczęścia - wzdycha. - Miło patrzeć, jak dziecko się cieszy. To były moje zabawki, a potem bawił się nimi Eddie.

Wzdrygam się lekko na wzmiankę o Eddiem. Wolałabym go dziś nie spotkać, mógłby spytać o Chloe, a ja nie wiedziałabym, co odpowiedzieć.

Enid obserwuje Danny'ego, jest bardziej milcząca niż zazwyczaj, jakby oszczędzała energię lub zużywała ją na rozmowy z samą sobą. Rozpoznaję ten spokój, mama zachowywała się podobnie nie-
długo przed odejściem.

- Przywieźliśmy ci jaśmin, glicynie i irysy. Poukładałam je w wazonach.

- Wspaniale - odpowiada, nie spuszczać wzroku z Danny'ego.

- Masz wszystko, czego potrzebujesz? - zwracam się do synka.

Danny kiwa głową, zbyt zaabsorbowany drewnianym dinozaurem, by poświęcić mi większą uwagę. Wstawiam kwiaty do ceramicznych naczyń ze Sri Lanki, pozwalając im opadać swobodnie, jak polnym bukietom. Wyglądam przez kuchenne okno. Enid mówi coś do Danny'ego, a on z uśmiechem wręcza jej zabawkę, którą starsza pani bardzo uważnie ogląda. Przez chwilę dyskutują, Danny wybuch-
cha śmiechem. Dziwna z nich para: szykowna starsza pani i mały chłopiec z ospą.

- Śliczny obrazek - słyszę za plecami głos Eddiego. Stoi tuż za mną, bez koszulki, z odsłonię-
tym pięknie wyrzeźbionym i opalonym torsem. Wbrew obawom nie wzbudza to we mnie żadnej reak-
cji.

- Prawda?

Eddie podchodzi do zlewu, żeby umyć ubłocone ręce.

- Jak się masz, Sadie?

- W porządku. Cieszę się, że mogłam wyjść z domu. Danny ma ospę, a Tom jest w Nowym Jor-
ku.

- Enid nie zostało już wiele czasu - mówi cicho. - Mama rozmawiała dziś rano z jej lekarzem.

- Och, nie. - Przykładam dłoń do ust. - Przecież jest taka... pełna życia.

- Silna z niej kobieta. Powinna leżeć w łóżku, ale nie ma mowy, żeby dała się do niego zapę-
dzić.

Leżący na stole telefon komórkowy zaczyna wibrować.

- Chwileczkę - mówię i odbieram połączenie. - Słucham?

- Katastrofa! - krzyczy mój ojciec. - Cholernie niewyobrażalna katastrofa!

- Przepraszam cię, Eddie. - Odsuwam aparat od ucha, aby oszczędzić słuch, wychodzę na ze-
wnątrz, siadam na ławeczce niedaleko Enid i Danny'ego. - Zaraz, zaraz. Uspokój się, tato, na litość
boską. Co się stało?

- Remiza, którą wynajęliśmy na sobotę, doszczętnie spłonęła!

- Cholera.

- Podejrzewają podpalenie. Świat zbzikował - denerwuje się ojciec. - Loretta odchodzi od zmy-
słów. Martwię się o nią.

- Wyprawicie przyjęcie w innym miejscu, tatusiu. To impreza na jakieś trzydzieści osób. Tak od razu nic mi nie przychodzi do głowy, ale...

- Muszę kończyć, córciu - mruczy tata po wyrzuceniu z siebie strumienia przekleństw. - Zadzwoń później. Loretta znowu dostała szału. Lorciu, skarbie, wszystko będzie... - Rozłącza się.

- Kto to był, mamusiu? - Danny spogląda na mnie znad zabawek.

- Dziadziuś. Jest zdenerwowany, bo miejsce, w którym miało się odbyć sobotnie przyjęcie, spłonęło w pożarze.

- Co za pech - mówi ze współczuciem Enid. - Biedny twój tata.

- Biedna Loretta - dodaje Danny.

- Oczywiście, musicie wyprawić przyjęcie tutaj - oświadcza spokojnie, wystawiając twarz do słońca i zamykając oczy. - Do dyspozycji jest ogromny ogród i znajome Angie, które z entuzjazmem powitają okazję dodatkowego zarobku. Świętowaliśmy tu trzydzieste urodziny Eddiego. Było fantastycznie.

- U ciebie? - śmieje się. - Rany, strasznie to miłe z twojej strony, ale... Obawiam się, że nie mogę skorzystać. Nie znasz ich. Loretta to... - Gryzę się w język. Nie mam ochoty przedstawiać Enid kompromitujących krewnych. Nic dobrego nie może wynikać ze zderzenia zupełnie różnych światów.

- Nie mów mi, że jeszcze ci nie przeszło - mówi rozbawiona. - Czyżbym niczego cię nie nauczyła? Moja droga, mężczyźni zawsze będą kochać Loretty tego świata. Po to je Pan Bóg stworzył.

- Będzie hałas i zamieszanie. To dla ciebie zbyt wiele, Enid.

- Jeszcze nie umarłam, skarbie.

- Ale... przyjęcie ma być w sobotę. Nie ma czasu, żeby cokolwiek zorganizować.

- A po co się tak napinać? Wystarczy szampan, truskawki i bita śmietana.

- Jeszcze tort - dodaje Danny, wspierając się na kolanie Enid.

- Słuszna uwaga, Danny. Nie możemy zapomnieć o torcie. - Staruszka gładzi go po głowie sękatą dłonią.

- Ale...

- Ja tak kocham przyjęcia - wzdycha, po czym zerka na mnie przebiegle. - To może być moje ostatnie.

W domu straszy pustka po Tomie, nie podoba mi się ani trochę ta wolność, skwapliwie wykorzystuję każdą okazję, żeby się czymkolwiek zająć i nie myśleć zbyt wiele. Pakuję torbę, wybieram się do doktora Prenwooda, jestem już dwie godziny spóźniona, ponieważ Trish miała u siebie problem z kanalizacją i czekała na hydraulika, a ja na nią. Nie denerwuję się, ponieważ doktor Prenwood pracuje cały dzień, więc nie ma znaczenia, o której godzinie przyjadę.

Otwieram mieszkanie własnym kluczem, mam go od czasu niefortunnego incydentu z zatrzaśniętymi drzwiami. Zdejmuję buty i stąпам po miękkim dywanie. Kończę właśnie układanie drugiego bukietu, kiedy dociera do mnie czyjś śmiech i szmer rozmowy. Zamieram. Do licha. Czyżby był w domu? Odgłosy zdają się dobiegać zza zamkniętych drzwi sypialni. Śmiech staje się głośniejszy, drzwi otwierają się powoli i w progu staje Rona! Nie mogę uwierzyć własnym oczom.

Stoi przede mną bosa, rozczochrana, w długim białym szlafroku. Wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami, jest purpurowa.

- Sadie - udaje jej się wreszcie wykrztusić. - Ja... ja...

Doktor Prenwood wystawia głowę, przerzedzone włosy sterczą mu na wszystkie strony, twarz pokrywa warstewka potu.

- Och, przyniosłaś kwiaty, Sadie? Świetnie. - Spogląda na mnie, potem na Ronę i wreszcie dociera do niego niezręczność sytuacji. - No tak... my...

- Ja już kończę, doktorze Prenwood - mówię, rozwiązując fartuch. - Przepraszam za najście, sądziłam, że będzie pan w pracy.

- Nie, dziś nie. - Pośpiesznie cofa się do sypialni.

Rona kurczowo zaciska poły szlafroka, nie patrzy mi w oczy, jej twarz nadal jest ogniście czerwona.

Pakuje się i sprzątam po sobie, choć z przyjemnością przeciągnęłabym torturowanie teściowej.

- Sadie... - mówi błagalnym tonem. - Wszystko ci wytłumaczę.

- Zachowaj tłumaczenia dla Toma.

- Nie, proszę cię. Nic nie rozumiesz...

- Rozumiem tyle, ile potrzebuję. - Zamykam torbę z przyborami do pracy

- Ted i ja... - Kuli ramiona, wygląda, jakby uchodziło z niej powietrze, niczym z przekłutego balonu. - Nasze życie pod tym względem od lat nie było udane. Od czasu kiedy zaczął mieć problemy z ciśnieniem...

- Dziękuję bardzo za szczegóły.

- To... - Wskazuje drżącym palcem zamknięte drzwi sypialni. - Jest bez znaczenia. Jesteśmy z Tedem szczęśliwi razem. Naprawdę. Nic się nie zmieniło. - Przerzywa i bierze głęboki oddech. - Tom nie powinien się dowiedzieć, Sadie. Proszę, obiecaj, że mu nie powiesz.

Moje milczenie jest dla niej męczarnią. Chcę, żeby się męczyła. Wygląda żałośnie, zgarbiona i wystraszona, w za dużym szlafroku. Zła czarownica została pokonana. Zarzucam torbę na ramię.

- Przepraszam, Sadie. Bardzo mi przykro z powodu tego, jak cię wtedy potraktowałam. - Jest zdesperowana, doskonale zdaje sobie sprawę z beznadziejności własnego położenia.

- Przynajmniej byłaś szczerą. - Wzruszam ramionami, przekręcając zasuwę w drzwiach wyjściowych. - Nie jestem idiotką, Rono. Nie lubiłaś mnie od początku. Odkąd Tom rozstał się z Lucindą Lawn, żeby związać się ze mną.

Robi kilka kroków w moją stronę. Zerkam na jej białe stopy i po raz pierwszy zwracam uwagę, że są opuchnięte i zniekształcone.

- Uważałam, że Lucinda byłaby idealną żoną dla Toma. Ale Tom wybrał ciebie, kocha cię. Zaakceptowałam to. Zawrzyjmy rozejm. - Opiera rękę na moim ramieniu. - Obie mamy na sumieniu różne rzeczy, których żałujemy.

- Nie, ja nie mam. - Patrzę jej prosto w oczy. - Nie chcę się godzić w ten sposób.

Wychodzę. I pomyśleć, że uważałam się za gorszą od niej. Nigdy więcej, nie ma już nade mną władzy, złe zaklęcie zostało przerwane.

41

- Tom! - wołam z ulgą, słysząc jego głos. Przyciskam słuchawkę do ucha trzęsącą się dłonią. - Cześć. - Patrzę na Danny'ego. - Tatuś dzwoni!

- Cześć, tatusiu! - krzyczy i uśmiecha się od ucha do ucha.

- Jak on się czuje? - W tle słychać hałas, prawdopodobnie ruchliwej nowojorskiej ulicy.

- Dużo lepiej. Prawda, Danny? Pomaga mi w pracy. Chcesz z nim porozmawiać?

Danny podskakuje ochoczo i zabiera mi słuchawkę.

- Cześć, tatusiu! Jadłem żelki. I byłem u Enid, ona jest okropnie stara, i bawiłem się dinozaurami!

Rozmawiają przez chwilę, dopóki Danny nie traci zainteresowania. Rzuca telefon pod nogi i wraca do zabawy kolejką. Schylam się po słuchawkę.

- Remiza, w której miało się odbyć przyjęcie zaręczynowe, spłonęła. Całkowicie. Nie uwierzysz, ale Enid uparła się, żeby przenieść imprezę do jej ogrodu. - Mój głos brzmi zadziwiająco normalnie w porównaniu z zamętem, jaki czuję w środku. Nawet nie wiem, czy za kilka miesięcy nadal będę mężatką.

- Coś ty? - śmieje się Tom.

- Tata i Loretta są zachwyceni pomysłem. Zanosi się na to, że połowa Milton Keynes zjawi się w St John's Wood. Zaprosiłam też Ruth i Pam - Pam właśnie urodziła, więc pewnie nie przyjdzie, chłopiec - i Tarę, i...

- Słusznie postępujesz, pomagając tacie i Lorecie.

- Tak? - Spodziewałam się, że będzie miał obiekcje z powodu Enid.

- Dobrze, że jest szczęśliwy i ma kogoś. Dużo lepiej, niż gdyby rozpaczał w samotności. Albo tak jak mama - dodaje z goryczą.

- Co masz na myśli? - pytam nerwowo.

- Widząc ich razem w Hampshire, mamę i tatę, nie mogłem się oprzeć przykreemu wrażeniu, że żyją obok siebie. Ojciec zamknął się we własnym świecie. Mama musi się czuć potwornie samotna. Przykro mi było na to patrzeć. Czy wy... rozmawialiście od tamtego czasu?

Nie odpowiadam od razu. Kiedyś opowiem mu o doktorze Prenwoodzie, z pewnością zrozumie. Prawdopodobnie i tak coś podejrzewa. Postanawiam na razie zostawić ten temat, ostatnio zbyt wiele się wydarzyło. Robię to ze względu na Toma, a nie dla niej.

- Nie, nie rozmawialiśmy.

- Byłoby dobrze, gdyby przyszła na przyjęcie taty - mówi ostrożnie. - Dobrze dla wszystkich.

- Zadzwoń do niej.

- Dziękuję, Sadie. Wiem, że zachowała się... - Przerywa. Lojalność wobec matki nie pozwala mu dokończyć. - Po prostu dziękuję.

- Nie ma sprawy.

- Mam nowinę.

- Tak?

- Zaproponowano mi objęcie posady dyrektora.

- Co takiego?! O Boże. Nie do wiary! Fantastycznie!

- Porozmawiamy o tym później. Muszę kończyć. Jeszcze tylko jedna rzecz...

- Ale Tom... - Chcę go spytać o Annette, czy zdecydowała się zostać w firmie.

- Jestem na lotnisku - przerywa mi. - Będę wieczorem w domu.

Za osiem godzin! Tom wraca do mnie za osiem godzin! Doznaję przyływu nadludzkiej energii. Rzucam się do sprzątanía. Zamiatam okruszki ze stołu i podłogi, zbieram porozrzucane buty i ubrania z wiecznie pograżonego w chaosie korytarza, po czym upycham je w schowku pod schodami. Wszystkie zbłąkane akcesoria kuchenne wrzucam na oślep do zmywarki. Powinnam coś ugotować... Nie, pogódź się z tym, Sadie, mówię sobie. Nie masz na to czasu. Pracujesz, a poza tym i tak jesteś kiepską kucharką, zazwyczaj robisz więcej bałaganu niż jedzenia. Nie zdręczaj się! Kup coś gotowego! Biegniemy z Dannym do delikatesów po przepyszne ośmiorniczki, grecką sałatkę i luksusową szynkę. W

ogóle nie mam poczucia winy, że nie przygotowałam niczego sama. Brak puddingu także nie stanowi problemu. Zupełnie beztrzesko powlekam poduszkę w poszewkę wygrzebaną z kosza na brudną bieliznę i podkopuję zabawki Danny'ego pod kanapę.

Pędzimy na lotnisko, oczywiście spóźnieni. Na szczęście samolot z Nowego Jorku także ma opóźnienie. Mam treść, Tom się nas nie spodziewa, jeszcze nigdy nie witałam go na lotnisku po podróży służbowej. Nie wiem, czy dostanę całusa, czy papiery rozwodowe. Danny szaleje z podniecenia, nie może ustać ani chwili w jednym miejscu. Pojawiają się pierwsi pasażerowie: dwie eleganckie kobiety z tlenionymi włosami, mężczyzna w garniturze z teczką, kłócąca się rodzina... Dlaczego nigdy wcześniej nie przyjechałam po Toma na lotnisko? To takie romantyczne i proste. Przypominam sobie wszystkie okazje, kiedy wracał zmęczony po długim locie do uspiętego domu, potykał się o coś w ciemnej sypialni, a ja robiłam mu wyrzuty, że mnie budzi.

- Tatuś! Tam! - Danny przeskakuje z nogi na nogę.

Tom ciągnie za sobą małą walizkę na kółkach, jeszcze nas nie zauważył. Dla postronnego obserwatora wygląda jak zwyczajny mężczyzna po trzydziestce, w garniturze, z lekko zarysowanym brzuszkiem, drugim podbródkiem i początkami łysiny. Dla mnie i dla Danny'ego jest najwspanialszy na świecie. Sam jego widok napełnia moje serce spokojem, kawałek dysfunkcyjnej rodzinnej układanki wrócił na swoje miejsce. Ten niedoskonały mężczyzna to mój mąż, myślę z dumą. Wstawił mlecz do wazonika w dziecięcej sypialni. Jest zakochany w swojej żonie, we mnie. Cała złość i wszystkie pretensje znikają.

- Tato! - woła Danny.

- Danny! Sadie! - Tom jest zdumiony. - Co tu robicie? - Danny skacze na niego jak mały piesek.

- Chciałam cię przywitać na lotnisku. - Wycieram spocone dłonie o dżinsy.

- Nigdy nie witasz mnie na lotnisku - mówi z pewną dozą czułości.

- Wiem - przyznaję cicho, nie ośmielając się liczyć na pocałunek.

- Fajne są lotniska! - piszczy Danny. - Możemy zostać cały dzień?

- Wiesz co, synku? - Tom spogląda na mnie ze smutnym uśmiechem. - Marzę o powrocie do domu.

Idziemy do samochodu ramię w ramię. Oczywiście, jestem rozczarowana brakiem hollywoodzkiego happy endu, który powinien wyglądać tak: para skłóconych kochanków rzuca się sobie w ramiona na lotnisku, w tle sączy się rzewna melodia, a potem pojawiają się napisy końcowe. Jednocześnie przypominam sobie, że powinnam się cieszyć, gdyż mogłoby być o wiele gorzej. Tom mógłby uciec z krzykiem do najbliższej taksówki. Prowadzę w milczeniu, Tom rozmawia z Dannyem.

Jakiś czas później Danny zasypia jak aniołek w swoim łóżeczku, a Tom siada obok mnie na kanapie, popijając piwo z puszki. Zaczęły się wiadomości, lecz nikt ich nie ogląda.

- Tom - odzywam się cicho. - Wierzysz mi, że wiadomości w różowym notesie pisała Enid, a nie Eddie?

- Ten przeklęty ogrodnik?

- Do niczego nie doszło.

- Wiem. - Tom uśmiecha się szeroko. - Grzebałem ci w telefonie.

- Co takiego?! - wołam z oburzeniem. Jednocześnie czuję się mile polechtana, że był o mnie zazdrosny. - Kiedy?

- Kiedy pakowałem się do wyjazdu. Zostawiłaś telefon w łazience, na mydelniczce. Znalazłem jedną wiadomość od niego - mówi z uśmiechem. - W której prosił o numer Chloe. A z Nowego Jorku zatelefonowałem do Enid.

- Nie!

- Nie wspominała ci?

- Nie. A to spryciara. Na pewno była zachwycona, uwielbia brać udział w cudzych sprawach.

- Sadie... - Wyłącza telewizor. - Wiem o twojej rozmowie z Annette.

- Chciałam ją tylko przeprosić. Chyba nie pogorszyłam sytuacji?

- Nie, skąd. Postanowiła nie rezygnować z usług firmy. - Dotyka delikatnie mojej dłoni, wpatruje się w moją twarz, jakby chłonał każdy szczegół. W jego oczach dostrzegam ciepło i czułość. - Awans zawdzięczam wyłącznie tobie i jej.

Czuję okropny ucisk w gardle, trudniej mi przyjąć jego pochwałę niż krytykę. Nie potrafię się obronić ciętą ripostą. Myślę o wszystkich kłótniach, niepotrzebnych słowach, które padły, i straconym czasie, kiedy mogliśmy zwyczajnie być razem.

- Mam zamiar go odrzucić - mówi, popijając piwo.

- Jak to? Nie możesz!

- Właśnie, że mogę.

- Tom, nie rób tego. Proszę.

- Dostałem propozycję innej pracy - oznajmia radośnie.

- Sami się do mnie zgłosili. Udało mi się wynegocjować świetne warunki. Mniej pracy za tyle samo pieniędzy. Jeden dzień w tygodniu będę mógł pracować w domu. W firmie panuje luźniejsza atmosfera, bardziej w moim stylu. - Uśmiecha się przepraszająco. - W naszym stylu.

- Naprawdę? - Nie jestem do końca przekonana. - Przecież marzyłeś o tym, żeby zostać dyrektorem u Andersona. Własną matkę byś za to sprzedał.

- W tym problem. - Spuszcza wzrok. - Sadie, w Nowym Jorku miałem przeraźliwie dużo czasu na przemyślenia. Budziłem się w środku nocy z lękiem, że straciłem wszystko, na czym mi w życiu zależy. - Patrzy mi w oczy i gładzi po policzku. - Okropnie mi wstyd za moje zachowanie. Nie wspierałem cię po śmierci mamy... naszego dziecka... - Urywa. Wygląda bezradnie jak mały chłopiec. - Opę-

tała mnie myśl o awansie. Wychodziłem z siebie, żeby udowodnić tobie i rodzicom - zwłaszcza mamie - że mogę osiągnąć sukces, jestem dobrym mężem... - Z przerażeniem dostrzegam łzy w jego błękitnych oczach. Jedna z nich spływa po policzku, wyciera ją pośpiesznie wierzchem dłoni. Po raz pierwszy jestem świadkiem jego łez.

- Dobrym mężem? - powtarzam z niedowierzaniem. - Ale ja nigdy nie chciałam...

- Wiem, wiem. - Potrząsa głową. - Wszystko to jakieś pokręcone. Udawałem kogoś, kim nigdy nie chciałbym być. Wybacz mi, Sadie. Także to, co zaszło przed laty w Toronto. I jeszcze, że przeze mnie nie czułaś się wystarczająco dobrą żoną. Nigdy nie chciałem innej. Nie chcę innej.

- Już dobrze. - Tak bardzo chciałam usłyszeć jego przeprosiny. Powinnam triumfować, cieszyć się, że miałam rację. Nie cieszę się. Oboje zawiedliśmy, każde z nas było skupione na sobie, schowane za własną maską. On obsesyjnie pragnął awansu, a ja kolejnego dziecka. Nie pamiętałam o tym, że nie tylko ja kogoś straciłam.

- Chcę, żeby było jak dawniej. Nie chcę idealnej żony.

- Ciii. - Kładę mu palec na ustach. - Za chwilę zaczniesz żądać z powrotem bałaganu w korytarzu.

- Będę cierpliwy, skarbie - odpowiada, całując opuszkę mojego palca. - Jestem pewien, że za kilka godzin korytarz samoistnie wróci do swego naturalnego stanu.

- Tęskniłam za tobą, Tom. - To najszczerze słowa, jakie wypowiedziałam od dawna. Najprawdziwsza prawda.

- Bałem się, że mnie nienawidzisz - mówi cicho.

- To swoją drogą.

- Wzajemnie. - Gryzie mnie lekko w palec.

- Aua! Zawsze już tacy będziemy? Jak dzieciaki udające dorosłych?

- Całkiem możliwe. A wiesz, co w tobie kocham najbardziej?

- Kochasz mnie? - Mam ochotę krzyknąć, żeby to powtórzył.

Przewraca oczami.

- Inaczej po co miałbym się z tobą użerać?

- Nie narzekaj. Poprawiłam się - odpowiadam ze śmiechem.

- Czyżby? - Promienieje szczęściem, które rozświetla cały dom.

- Tak, Tom. - Kokieteryjnie opuszczam powieki. - Odnalazłam w sobie kapłankę ogniska domowego. Rozejrzyj się. Dom jest nietknięty ręką sprzątaczk.

Uśmiecha się łobuzersko.

- Domyśliłem się. Sprzątaczk nie wcisnęłaby zabawek pod kanapę ani nie zostawiła paczki gnijących pomidorów za puszkami z piwem. - Sadza mnie ze śmiechem na swoich kolanach. - Grrr.

Chodź tutaj. - Zanurza twarz w moich włosach, wkłada rękę za pasek dżinsów. - Boże, jak to dobrze, że moja dawna Sadie wróciła. Tęskniłem za tobą, moja mała niezdolna kwiaciarczyko.

42

Dzień jest piękny i pogodny, błękitne niebo gdzieniegdzie poprzetykane białymi pierzastymi chmurkami. Łagodny wiatr bawi się fałdami mojej sukienki. Mam na sobie srebrno-zieloną sukienkę ze zdjęcia z miesiąca miodowego. Nie czuję się w niej jak żona, osoba, która kupuje papierowe ręczniki. Jestem lekka i szczęśliwa, jak dziewczyna, która tańczy bosą na plaży.

Ogromne wazon, wypełnione po brzegi różowymi tulipanami, drżą od tubalnego głosu Franka Sinatry, dobiegającego z kuchni przez otwarte okno. Ogród zappełnił się przyjaciółkami Loretty z Milton Keynes. Są już lekko wstawione - Angie wraz z koleżankami napełniają co chwila kieliszki gości szampanem - i odbywają częste wizyty w toalecie, aby mieć pretekst do obejrzenia domu. Donna, siostra Loretty, wraca z jednej z takich wycieczek, wachlując się ogromnym wachlarzem z pawich piór, należącym do Enid. Zawadza obcasem o schodek i wpada w kępę lawendy.

Loretta także nie zawiodła. Wystroiła się w białą ślubną suknię, wyszywaną sztucznymi perłami, którą szura głośno po ziemi. Ojciec wygląda jak mafioso w kremowym lnianym garniturze i kapeluszu, który przywiózł z wycieczki do Ameryki Łacińskiej. Zanudza Ruth pełnymi przestrog opowieściami z podróży.

- Ostrożnie z kostkami lodu, moja droga. Dostałem od nich potwornego rozwolnienia w Meksyku. Męczarnia, męczarnia.

Mąż Ruth staje u jej boku i ściska ją pokrzepiająco za rękę. Alex zdecydował się wrócić do domu, dają sobie kolejną szansę.

- Nie stać nas na rozwód - szepnęła mi wcześniej z charakterystycznym dla siebie pozornym cynizmem. - Jesteśmy na siebie skazani. Co się całkiem nieźle składa, bo kiepsko sobie radzimy oddzielnie - dodała z błyskiem w oku.

Tara zaśmiewa się z dowcipów Nicka, swojego męża, zerkając jednocześnie ukradkiem na Eddiego. Tymczasem Eddie nie widzi świata poza Chloe, która siedzi na ławeczce u jego boku ubrana w zieloną jedwabną sukienkę i złote buty na platformach. Moja przyjaciółka zakłada jedną opaloną smukłą nogę na drugą, rzucając Eddiemu prowokujące spojrzenie z ukosa. Śmieje się i przysuwa bliżej.

Enid także jest w swoim żywiole. Nie ma już siły stać, siedzi na wózku inwalidzkim jak na tronie, wsparta na jedwabnych poduszkach, w turkusowym turbanie na głowie. Otacza ją tłumek wielbicieli, który zabawia rozmową, trzymając cienkiego papierosa w jednej dłoni, a kieliszek szampana w drugiej. Rona przygląda jej się niepewnie, nie wiedząc, jak ją zasufladkować. Tak jak należało się

spodziewać, moja teściowa nie jest dziś sobą. Ma na sobie szarą sukienkę z małym dekoltem, buty na płaskim obcasie. Odnosi się do mnie z wielką uprzejmością.

- Och, Sadie, kiedy się postarasz, wyglądasz naprawdę pięknie!

Niemal na krok nie odstępuję swojego męża, który zgodził się jej towarzyszyć.

Pam siedzi na huśtawce pod jabłonką, trzymając w ramionach synka otulonego w niebieski koc, który sama zrobiła w zeszłym miesiącu. Seth stoi dumnie za jej plecami, niczym centurion. Może i mogłaby wybrać lepiej, myślę, lecz teraz wygląda na przeszczęśliwą. Unikałam jej przez całe przyjęcie w obawie, że zaproponuje mi, żebym pottrzymała dziecko. Że powiem coś niewłaściwego albo się rozplaczę, że wszyscy będą z niepokojem obserwować moją reakcję.

- Sadie, kochanie! - Enid macha do mnie ze swego tronu.

Podchodzę razem z Tomem. Wiekowa dama podsuwa mu dłoń do pocałowania.

- Fajny turban - mówi beczelnie mój mąż.

- Dziękuję. Winna ci jestem przeprosiny, drogi chłopcze.

- Ależ skądże znowu - uśmiecha się Tom.

- Niestety, próbowałam pouczać Sadie, tak jak ci wyznałam przez telefon, kiedy byłeś łaskaw zadzwonić z Nowego Jorku. Muszę ci jednak powiedzieć, że nigdy nie miałam równie odpornej uczennicy.

- Enid! - Chichoczę. - Przecież ostrzegałam, że nie jestem najbystrzejsza.

- Raz dostałam śniadanie do łóżka - wspomina Tom. - I pyszny pudding. Powinienem ci podziękować. A jednak... - Obejmuje mnie ramieniem. - Wolę ją taką, jaka jest.

Enid kiwa głową z aprobatą, uśmiecha się.

- Teraz rozumiesz, Sadie?

- Co takiego, Enid? - Z czego ona tak się cieszy? Jasno zdaję sobie sprawę, że Enid od początku walczyła o jedno: o uwagę. Ma siedemdziesiąt siedem lat, ale pod pewnymi względami pozostała dziewięciolatką.

- Od początku wiedziałam, że ci się nie uda - oświadcza wyniośle, wydmuchując chmurę papierosowego dymu.

- Dziękuję ci bardzo!

- Nie widzisz, że cię wrobiłam? Byłam pewna, że nie masz zadatków na idealną gospodynię. Miałam plan, żeby ci dowieść, iż możesz być najgorszą żoną na świecie i nadal zasługiwać na miłość. - Poprawia turban, chowając niesforny kosmyk siwych włosów, i uśmiecha się przekornie. - Rety. Tobie się wydaje, że jesteś kiepską żoną? Szkoda, że nie widziałaś mnie w akcji! Idź się przywitać z dzieckiem, moja droga. Niemowlęta są o wiele bardziej zajmujące niż marudne staruszki.

Patrzę na nią z wahaniem, Enid opiera chłodną wątlą dłoń na moim przedramieniu i szepcze nagle:

- Musisz iść.

Wypijam dla kurażu kieliszek szampana i idę razem z Tomem stawić czoło sielankowej scenie pod jabłonią.

- Jest śliczny - mówię, zaglądając przez ramię Pam.

- Prawda? - Odślania rąbek kocyka, żebym mogła lepiej się przyjrzeć. - Chcesz go potrzymać?

Głośno przełykam ślinę. Chłopczyk jest drobniutki, Danny chyba urodził się większy. Ma czarne włoski, granatowe oczka, małe piąstki i czerwoną skórę. Przeraza mnie jego kruchość i bezbronność.

- No, nie wiem. Nie znam się za dobrze na nie swoich dzieciach.

Zerkam błagalnie na Toma, niech mi jakoś pomoże, zabierze to niemowlę!

- Śmiało, Sadie - zachęca mnie szeptem.

Pam podaje mi swój bezcenny skarb, nie czekając na moją zgodę. Dziecko zaczyna się kręcić, boję się, że zacznie płakać, lecz ono tylko ziewa, zamyka oczka, uśmiecha się przelotnie i zapada w sen. Tom przygląda mu się z zaciekawieniem.

- Jest piękny.

- Tak - potwierdzam ze łzami w oczach. Nie użalam się nad sobą, wzrusza mnie piękno nowego życia. Chcąc uniknąć powszechnego zażenowania i płaczliwej sceny, prędko oddaję Pam jej synka.

Tom przesuwając lekko palcem po mojej dłoni.

- My też sobie zrobimy następne? - szepcze mi do ucha.

Patrząc na niego z niedowierzaniem, pewna, że się przesłyszałam. Całuje mnie w czubek nosa.

- Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, Sadie.

- Panie i panowie! - rozlega się donośny głos mojego ojca, który kołysze się niebezpiecznie, stojąc na ogrodowym krześle. Loretta stoi obok niego i z paniką w oczach próbuje zetrzeć z sukni rozmazany pyłek kwiatowy. - Przemowa!

Goście gromadzą się w rozchwianą grupkę. Chwytam Toma za rękę. Tata dziękuje Enid za gościnność, po czym zaczyna opowiadać o Lorecie. Tłum wydaje pełne aprobaty okrzyki. Loretta płacze i ociera chusteczką rozmazany tusz do rzęs. Trzymają się za ręce i patrzą sobie w oczy jak zakochane po uszy nastolatki. Nie mogę przestać myśleć o mamie, choć próbuję. Olśnienie uderza we mnie niczym fala, pozbawiając tchu, podnoszą mi się włoski na karku. Doznaję przedziwnego, graniczącego z pewnością wrażenia, że mama stoi na trawie tuż obok mnie. Czuję ciepły dotyk jej ramienia, powiew oddechu, charakterystyczny świeży zapach. Nie budzi to we mnie lęku, a nawet zdziwienia. Powietrze wokół przepelnia jasna energia. To ty mnie tu przywiodłaś? - mruczę cichutko.

- Cześć, mamusiu. - Danny chowa małą rączkę w mojej dużej dłoni, spogląda w górę z uśmiechem.

- Cześć, synku. - Ściskam drobne kosteczki i odwzajemniam uśmiech. Teraz ja jestem mamą, uświadamiam sobie. Pałeczka w sztafecie pokoleń została przekazana. Dziwne wrażenie znika. Czuję wokół siebie jedynie ciepłe letnie powietrze, pachnące bzem, dotyk słońca na ramieniu. Mama odeszła, a ja się rozluźniłam.

- Proszę, abyśmy wszyscy wznieśli toast - huczy tata, zdejmuje kapelusz i przykłada go do piersi. - Za kobietę, dzięki której życie znów nabrało barw, która mnie podniosła i otrzepała z kurzu! Za moją przyszłą żonę, Lorette!

Wznoszę do góry kieliszek, Tom obejmuje mnie ramieniem.

TLR